TEODOR TOMASZ JEŻ

# DYPLOMACJA SZLACHECKA

»CZYTELNIK«

CZYTELNIK

T. T. JEŻ

# DYPLOMACJA SZLACHECKA

T E O D O R  T O M A S Z  J E Ż

# DYPLOMACJA SZLACHECKA

SZKICE Z POZNAŃSKIEGO

POWIEŚĆ

1 9 4 9
• C Z Y T E L N I K •
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

*Wydanie skrócone, oparte na pierwodruku;*
*„Wędrowiec" r. 1884 (nr 10 - 49)*





*Kwiecień — 1949*
*Drukarnia Nr 2 w Warszawie*
*Marszałkowska 3/5*
*B-67547*

## I

Wsi tam nie było — wsi w tym znaczeniu, jakie do wyrazu tego przywiązują powszechnie.

W miejscowości nazwę Śródborza noszącej i jako wieś na mapie zaznaczonej znajdowały się oznaki takie, jakby wieś stamtąd znikła albo jakby się tam nie zabudowała jeszcze.

Przywykłemu do oglądania w osadzie wiejskiej chałup w nieładzie rozrzuconych a otoczonych ogrodami i sadami dziwnym się nieco wydawał widok dworu — pałacu raczej — wznoszącego się samotnie prawie. Osamotnienie nie było absolutne, wszystko to jednak, co je usuwało, odnosiło się do pałacu i nie stanowiło sioła właściwego.

Pałac zajmował stanowisko panujące, ale nad polami; stał na wzgórzu, z którego oko sięgało dosyć daleko i spotykało pejzaże mniej lub więcej ponętne. Tło onych stanowiły lasy i pola uprawne w perspektywie dalszej; w bliższej zaś — w jednej stronie widzieć się dawał kościołek murowany, pozostający pod świerków strażą, w drugiej smugę zieloną, przerzniętą grobelką z upustem i budowlą dużą, w której od pierwszego oka rzutu rozpoznać się dawała gorzelnia, tam mury długie, zdradzające owczarnię, ówdzie grupę domów na wzór miejski budowanych, dalej zabudowania gospodarskie, wszystko to jedno od drugiego

oddalone, a mimo to domyślać się każące przynależności do domu przez to, że budynki te osnuwała sieć dróg i drożyn, sprowadzająca wszystkie do jednego ogniska, którym był dwór.

Dwór panował podwójnie: raz wyniesieniem nad okolicą prawie płaską, po wtóre tym, że się odznaczał pokaźnością okolumnioną i upiększoną. Kolumny i piętra nadawały mu cechę pałacową, którą uzupełniała wieża z prawego wyskakująca rogu i nazębiona u góry krenelowaniem. Przyczyniał się do tego do pierwszego piętra przyczepiony balkon kamienny i płaski, z balustradą, Włochy przypominający dach. We Francji, w Belgii, w Szwajcarii nazwano by go zamkiem (château). Pod względem pojęcia, jakie sobie w krajach tych o zamkach robią, nic mu nie brakowało, albowiem poprzedzał go nawet podwórzec zamkowy, obszerny, osztachetowany, wstęp do którego otwierała brama murowana, zaznaczona olbrzymimi, na słupach w kamieniu kutymi wazonami. Do bramy przylegał elegancki dla odźwiernego domek, noszący nazwę loży. Dwie strony podwórza zajmowały budynki parterowe, znajdujące się w architektonicznym w odcieniu do pałacu stosunku, a pełniące funkcje jedne oficyn, drugie wozowien. Zdobiły je frontony odpowiadające co do stylu frontonowi pałacowemu, narysowane w półkole, które miały pozór oranżeryjny. Podwórzec przedstawiał się pod postacią trawnika, okolonego drogą dla pojazdów, wysypaną żwirem. Spoza dachów galerii wyglądały drzewa, które należały do parku angielskiego, zajmującego przestrzeń znaczną.

Czy to wieś?

A przecie — wieś to była.

Z wieży pałacowej widok obejmował horyzont, na którym w dali ukazywały się lasy, bliżej pola uprawne i na nich, niby kępy, bukiety drzew z przeglądającymi spomię-

dzy takowych strzechami słomianymi. W rozkładzie bukietów tych postrzegać się dawała regularność pewna pod względem wzajemnej onych odległości, tak że w perspektywie wydawało się, jakby stanowiły one całość organiczną. W rzeczy samej tak było. Strzechy, które się z wieży widzieć dawały — a widzieć się dawały w jednej tylko stronie, w stronie północnej — pokrywały chałupy; chałupy zaś owe wchodziły w skład wsi zaznaczonej na mapie, wraz z pałacem, gorzelnią, owczarnią i kościołkiem, pod nazwą Śródborza. Jedna od drugiej leżała o staj parę. Dzieliły je pola uprawne.

Wieś w okolicy tej inaczej się uformowała aniżeli gdzie indziej. Była ona niegdyś skupiona; rozeszła się jednak. Nastąpiło to wskutek warunków szczególnych, w jakich znalazła się ta część kraju. Wieśniacy odosobnili się jeden od drugiego. Dwór jeno i kościół na dawnym pozostały miejscu; włościanie zaś wynieśli się i zabudowali na gruntach swoich po odparcelowaniu takowych. Powstała stąd rozsypka; potworzyły się osady pojedynczo w polu stojące, które by się odosobniły bardziej jeszcze, gdyby nie potrzeb kilka, urabiających czucie ku pewnym punktom środkowym, takim jak dwór, kościół, jak karczma i szkoła. We dworze znajdowały się źródła zarobków dla włościan; kościół czynił zadość potrzebom religijnym; karczma potrzebom towarzyskim; szkoła stanowiła punkt ogniskowy dla dziatwy i za pośrednictwem dziatwy interesowała rodziców.

[W Wielkopolsce urobiły się, pod wpływem warunków odmiennych, odmiany i cechy pewne, ciekawe dla tych, co jej z bliska nie znają.]

Nie jestże ciekawością w rodzaju swoim taki pałac osamotniony? Pałac w polu. Miał on pozór zamku zaklętego, a pozór ów usprawiedliwiała zewnętrzność pokaźna i maniaczna. Kolumny, balkon, dach płaski, balustrada, fronton

zresztą wspaniały, imponowały widzowi, co budowlę tę pierwszy raz oglądał. Często się atoli zdarza, że pozory zawodzą. Zawód tego rodzaju spotykał w pałacu śródborskim, jak skoro człek stosunków miejscowych nie znający przekraczał próg gmachu, prezentującego się wspaniale. Wewnętrzność nie odpowiadała zewnętrzności. Pomiędzy jedną a drugą zachodziła dysharmonia, rzucająca się w oczy od razu. Świat inny, świat sztuki i elegancji wiał nad domem, inny w domu, w którym sprzęty i meble, ozdoby i porządki przypominały przeszłość ani trochę niepodobną do tej prezencji, o której mówiły formy zewnętrzne. Salony i apartamenty jedne pustką stały, jak się to zdarza w domach miejskich, przeznaczonych do wynajmowania pomieszkań bez mebli, drugie zapełniały sprzęty staroświeckie, niewymyślne, błyszczące nie od politury, ale od używania długiego, okryte materiami jedwabnymi i wełnianymi, w części spłowiałymi, w części przetartymi. Pustką stała połowa jedna pokojów parterowych; na piętrze w jednym tylko skrzydle trzy pokoje świadczyły o obecności mieszkańców; we wszystkich innych echo jeno brzmiało, gdy kto przez nie przechodził. Pomiędzy sprzętami wszakże widzieć się dawały przedmioty cenne: makaty drogie, kobierce perskie, zwierciadła weneckie, na meblach i ramach rzeźby, wobec których by się archeolog zastanowił, na ścianach malowidła, z których kilka nie zeszpeciłyby ścian galerii drezdeńskiej. Wszystko to jednak mówiło o przeszłości i stanowiło kontrast w odniesieniu do architektury całkowicie nowoczesnej, wedle której zbudowanym był pałac. Do sprzętów tych odpowiedniejszym by był dwór staroszlachecki. Pod strzechą słomianą byłyby one na miejscu swoim, pod blachą pałacową wyglądały jak okazy w muzeum archeologicznym.

Nie o samych jeno sprzętach atoli powiadać się to dawało. Pan domu, gospodarz, wyglądał także jak zabytek

czasów minionych, zabłąkany śród murów budowli nowożytnej. Był to ecce homo polonus, z miny i z czupryny — jeden ze stających się coraz to bardziej rzadkimi okazów prawdziwego szlachcica polskiego. Poroda koni polskich zaginęła; poroda szlachciców polskich ku zaginieniu się ma, świadcząc się jeno, że istniała, portretami i przerzucającymi się tu i ówdzie okazami tego rodzaju jak właściciel Śródborza, pan Krzysztof Gracki, przyozdobiony tytułem grafa. Graf Krzysztof Gracki. Tytuł ten przystawał do niego tak samo jak pałac do sprzętów.

— Graf?

Patrząc na niego chciało się zatytułować go chorążym lub miecznikiem, ze względów nie tyle wąsów zawiesistych i postawy rycerskiej, co wyrazu typowego. Wąsy takie i postawa taka nie zdarzają się u Niemców. Polaków natura wyróżniła cechując ich piętnem, którego przedstawicielem czystym był właśnie ów graf, człek okryty już mocną szpakowacizną, świadczącą, jako dla niego wiek młodzieńczy przeminął już dawno, a nawet i wiek męski przemija. Trzymał się jednak ostro, krzepko; tuszy miał w samą miarę; wzrostu był więcej aniżeli miernego; postawa jego nadawała się do kirysa ze skrzydłami i do kontusza z wylotami. Mianował się jednak grafem, właścicielem „dóbr rycerskich“ i z tej racji nosił nazwisko podwójne, które po niemiecku brzmiało: Graf Gracki Ritter von Sródburz. W wymawianiu niemieckim „Śródborze“ przeistaczało się na „Śródburz“, co nadawało majątkowi znaczenie dwojakie, odnoszące się jedno do „borów“, które wieś otaczały, drugie do „burz“, które nad nią przechodziły. Jedno i drugie było nie bez racji. Co do borów, to widniały w stronie każdej — na północ i na południe, na wschód i na zachód, te bliżej, owe dalej — od wschodu z parkiem się prawie stykały, oddzielone od onego jedynie rzeczułką, co wody swoje do Noteci niosła. Co do burz zaś — o to historii po-

pytać należy, historii nie tej, co się układa wedle dokumentów oficjalnych, ale tej, co się przeżywa na gruncie, poza wiedzą historyków.

Graf Krzysztof Gracki był okazem w rodzaju swoim osobliwym, mienił się grafem, hrabią, comte, stosownie do tego, w jakim języku nazwisko swoje produkował. Dla Niemców był grafem, dla Polaków hrabią, dla Francuzów comte, tak się podpisywał na biletach wizytowych; nad herbem koronę z odpowiednią gałek ilością odbić kazał, słowem, we względzie tym postępował tak jak ten, co się doszczętnie dumy szlacheckiej pozbył.

Tak wszakże nie było. Jeżeli kto na zarzut dumy zasługiwał, to on chyba. Dowodem pałac, bez którego obejść by się mógł i z powodu którego zanoszonymi były protesty ze strony przyjaciół.

— Do czego ci pałace?... — powiadał jeden z tych ostatnich.

— Do czego?... ahm!... Niech Niemcy wiedzą...

— Że szlachcic polski zrujnować się potrafi...

— Zrujnować się?... o... na chałupę?...

Chałupa ta, wedle mniemania pana Krzysztofa, być miała czymś na kształt jednego z onych cudów świata, którymi się starożytność chlubiła.

— Będą się Niemcy gapiły... — powiadał żonie.

Hrabina się temu nie sprzeciwiała. Przeciwnie. Miała ona powody swoje w pochwalaniu zamiaru mężowskiego, a powody jej odnosiły się do córki na wydaniu, która w ramach pałacowych lepiej, w mniemaniu jej, przedstawiała się światu aniżeli w ramach zwyczajnego domu szlacheckiego. Kalkulowała, że to, jeżeli nie pomoże, to w żadnym razie nie zaszkodzi, a bądź co bądź dla hrabianki właściwszym jest od strzechy staroświeckiej, pomimo że na strzesze owej bocian gniazdo miał. Co tam bocian! — przesąd. Nieborak wynosić się musiał jak niepyszny. Żałowała za

nim panna Tekla; żal jej atoli ustąpić musiał przed względami ważnymi, którymi się kierowali rodzice.

Względem jednym z nienajmniej ważnych dla pana Krzysztofa było — któż by się domyślił tego! — zwycięstwo przez Prusaków nad Austriakami pod Sadową odniesione. Tego by się nikt nie domyślił, a przecie tak było. Powinowactwa idei w umysłach ludzkich dziwnym a do pojęcia trudnym niekiedy podlegają regułom. Jak skoro wieść o zdarzeniu tym pod strzechę domu jeszcze podonczas śródborskiego doszła, wnet pan Krzysztof zawołał:

— Kiedy tak... pałac buduję!...

Wymówił to tonem takim, jakby chodziło o warownię, o którą się rozbić miały zapędy pruskie. Z determinacją taką stawiali zapewne dawni możnowładce nasi zamki na kresach, celem powstrzymania najść tatarskich.

— Pałac buduję... Niech diabli porwą!...

Urzędnicy pruscy, sami o tym nie wiedząc zapewne, przyczynili się w części znacznej do wywołania w panu Krzysztofie postanowienia wzniesienia pałacu. Doszła go była razu pewnego wiadomość, jako naczelnik powiatu bankrutem go nazwał i wyraził nadzieję, że z torbami pójdzie.

— Ja mu torby pokażę!... — krzyknął.

Gdy zaś pałac stanął, rzekł tonem zadowolenia wewnętrznego:

— Niechże Niemiec przychodzi i ogląda, jak wyglądają torby Grackiego...

Pałac wyglądał cale dobrze, bardzo pokaźnie, zadawalniał grafa miłość własną i imponował Niemcom. Ci ostatni domyślali się, że graf posiada kapitały.

Graf posiadał nie kapitały, ale fantazję i wiarę — wiarę w to, że na wszystko złe koniec kiedyś przyjdzie. Na poparcie i usprawiedliwienie wiary tej miał w zapasie

przysłowia takie jak: „Do czasu dzban wodę nosi", „Przyjdzie kreska na Matyska" itp.

Przekonania te podzielała w części hrabina, w części, to jest o tyle, o ile się one tyczyły strony politycznej, która ją głównie obchodziła. Obchodziła ją nieco i strona towarzyska, w odniesieniu do której uczuwała się jakby pod uciskiem, a to z tej przyczyny, że się nie dosyć uwydatniała osobistość jej na tle stosunków. Hrabianka z domu, hrabina za mężem, uważała siebie za powołaną do przodowania w towarzystwie, do nadawania tonu i akcentu, do odbierania hołdów na drodze pochodu życiowego. Na drodze tej jednak coś zawadzało. Co?

— Prusacy... — powiadał graf Krzysztof.

— Prusacy... — uznawała hrabina.

Miała przeto do Prusaków pretensją i żal, które się w ten tłumaczyły sposób, że potakiwała mężowi, gdy ten tak lub inaczej niechęć swoją okazywał, i przesiadywała we Śródborzu jak najmniej. Gdzież przebywała? Gdzież!... — nie tu, to ówdzie, we Wrocławiu, w Dreźnie, w Paryżu, latem gdzieś w kąpielach, w jesieni w Ostendzie. Do Śródborza zajeżdżała w charakterze gościa i odjeżdżała niekiedy na długo, tak że rok cały upływał, a nie oglądali jej ani domownicy, ani mąż, ani dzieci. Dzieci ze sobą nie zabierała przez... oszczędność.

— Oszczędzać się nam bowiem potrzeba... — mawiała.

Podróżowała jednak, podróżować musiała przez... patriotyzm. Prusaków ścierpieć nie mogła. Prusacy wypędzali ją ze Śródborza w strony, gdzie się z takowymi nie spotykała. Z powodu tego wieczną wędrówkę swoją uważała jako ofiarę i mąż rzecz tę tak samo uważał. Miał żonę za jak najzupełniej usprawiedliwioną; nieobecność jej przyjmował jako utrapienie konieczne — konieczne z tego względu, że żona jego poza granicami kraju reprezentowała Polskę znakomicie.

Pod względem tym miał rację jak najzupełniejszą, biorąc reprezentację w znaczeniu obrazowym. W rzeczy samej, hrabina Gracka służyć mogła za model dla malarza takiego np. jak Robert Fleury, który odtwarzanie na płótnie scen z życia polskiego za specjalność sobie wziął. Słuszna, pokaźna, muszkularna, kształtnie zbudowana, rysów oblicza regularnych i wdzięcznym a powagą tchnącym wyrazem okraszonych, miała w sobie coś królewskiego, imponowała nie tylko ludziom, ale i mężowi, przekonanemu, że żona jego od siły jakiejś tajemniczej dostała posłannictwo, którego bliżej zdefiniować nie umiał, które atoli wydawało się mu bardzo ważnym. Hrabinie również się coś podobnego wydawało. Spełniała posłannictwo. Przesiadywała w Dreźnie, widywała się z osobami rozmaitymi i notowała sobie ich miny i wyrazy. Toż samo czyniła w Paryżu. Była z niej skończona niewiasta polityczna — dyplomatka, sama niezbadana i niedocieczona, ale gotowa, gdyby się okazja nadarzyła, wchodzić w umowy, zawierać traktaty, podpisywać układy zaczepne i odporne. Nikogo nie zaczepiała i nic nie odpierała dlatego tylko, że się okazja nie nadarzała. Działalność jej przeto ograniczała się na szukaniu okazji, która wedle zgodnego we względzie tym jej i grafa zdania nie znalazłaby się w Śródborzu do świata skończenia. Przesuwała się tu, tam i ówdzie, poważna i harda, zapędzała się aż do Rzymu, zawadzała od czasu do czasu o Frohsdorf, pojechałaby do Madrytu lub do Nowego Jorku, gdyby jej to na myśl było przyszło.

Rozumie się samo przez się, że podróże te grubo kosztowały, pomimo że pani Gracka odznaczała się nie to oszczędnością, ale skąpstwem — skąpstwem, które się w niej z marnotrawstwem kojarzyło. Skojarzenie to na tym polegało, że nigdy na nic nikomu nie dała szeląga złamanego, ale za to wydawała na siebie. Miało to rację swoją. Nie byłaż ona reprezentantką? Jako taką przeto, zaopa-

trywała siebie w atrybuty mające znaczenie tła i draperii na malowidle, ram przy obrazie, okładek w albumie. Wydawała na stroje i przyjęcia, na hotele pierwszorzędne i na różne bez wartości drobiazgi, które się opłacają bardzo drogo.

## II

Hrabstwo Graccy, gdy się o nich opowiadało ludziom, co ich nie znali, przedstawiali się jak dziwaków para. Hm! — dziwaków? Nie byli oni dziwakami większymi jak każdy człowiek przeciętny, człowiek bowiem każdy bez wyjątku jest zbiornikiem sprzeczności, układających się w jednym w sposób taki, w drugim w inny. Sprzeczności te, ostre z natury, tępieją pod wpływem otoczenia, pod naciskiem konieczności, w jakiej się ludzie w uspołecznieniu znajdują, czynienia sobie ustępstw wzajemnych. W osobnikach, na które nacisk ów słabiej działa, następuje wybujałość dziwactwa wrodzonego. Skutek podobny wynika z wyjątkowości położenia. Stąd w ludziach bardzo bogatych, w ludziach zajmujących stanowiska bardzo wysokie albo bardzo niskie, postrzegać się daje powszechnie zajączek jakiś troskliwie hodowany. Możnowładcy polscy, którzy na kartach dziejów naszych wybitniejsze zajmują stanowiska, każdy zajączka hodował. Zamiłowania szczególne, namiętności, nałogi wreszcie są to wszystko dziwactwa manifestujące się rozmaicie, stosownie do tego czegoś niewytłumaczonego, tkwiącego u jednego we krwi, u drugiego w duszy, które je na wierzch wysadza i to sprawia, że ten ma się za pełzającego na ziemi robaka, ów za istotę powołaną do przeznaczeń najwyższych, inny za coś stojącego pośrodku pomiędzy pierwszym a ostatnim, ale odmiennego od wszystkich ludzi, jacy byli i jacy będą. Rozmaitość w dziwactwach zachodzi wielka, pomimo że wszystkie z jednego i tegoż

samego wypływają źródła: z natury człowieczej sprzecznościami naszpikowanej.

A zatem, hrabstwo Graccy nie byli większymi aniżeli inni dziwakami.

Graf Prusaków nie lubił — dziwactwoż to? Hrabina posłannictwo uprawiała, co z uwagi na posłannictwa, jakie sobie takie mnóstwo ludzi płci obojej przyznaje, także się do kategorii dziwactw zaliczać nie może. Szli oni drogą, na którą ich w części okoliczności wprowadziły, którą sobie w części sami wybrali, a droga ta różniła się nieco od tych, jakimi kroczyli sąsiedzi i znajomi ich, spółobywatele, zmierzający do celu, który i dla nich w perspektywie tkwił: do ruiny majątkowej — do wypuszczania spod stóp ziemi ojczystej. Inni ostateczność tę sprowadzali inaczej; oni za pomocą architektury i dyplomacji.

Wyznać należy, że wiodło się im cale dobrze. Ruina zbliżała się krokiem powolnym, ale pewnym — pewnym tak dalece, że ją hrabina przewidziała w chwili, kiedy mąż oznajmił jej o postanowieniu wzniesienia pałacu.

— Ależ... — odparła. — Pałac?

W wyrazie ostatnim zdziwienie się czuć dało.

— Cóż?... — zapytał graf.

— Koszta wielkie...

— Ii... — odrzekł przeciągle, oczy przymrużając i dłonią z lekka kiwając.

— Czym je opędzisz?...

— Prusacy zapłacą...

Hrabiną pomyślała chwilkę i zrozumiała. Zrozumiała i odrzekła:

— Do Paryża mi jechać potrzeba...

— Naturalnie... Pomów tam z Józefem, z Sewerynem: oni... wiesz?...

— O tak... Chciałabym jednak z Napoleonem pomówić sama, oni bowiem...

— Miękko się do rzeczy biorą... — podchwycił — pomimo że, zdaje się... ludzie wytrawni...

— Najlepiej dotrzeć samej do źródła...

— To prawda! wielka prawda!... — zawołał. — Ty, Gidulciu, co powiesz, to tak, jakby się Salomon sam odezwał... Prawda.... niezawodnie: nie ma jak źródło...

— Tylko że źródło to zmącone trochę...

— A toż jak?...

— Cesarzowa tam dolewa...

— No, to jeszcze nieszczęście niewielkie...

— Księża...

— A!... Cesarzowa, księża, powiadasz... Hm?... Ale ty przecie potrafisz się pomiędzy nimi przeszmyrgnąć tak, że oni nawet duchu twego nie poczują... O, ty!... Ty, Gidulciu, jak zechcesz, potrafisz wszystko... księża sęk!...

Westchnął i głową pokręcił, w owym bowiem czasie rzeczy stały tak, że nowy arcybiskup gnieźnieński, ksiądz hrabia Ledóchowski, okazywał się w interesie kościoła germanizatorem, polityki pruskiej poplecznikiem zdeklarowanym. Wiatr był w stronę tę chorągiewkę obrócił i wiał mocno w oczy poczciwym Grackim. Dyplomaci autoramentu ultrakatolickiego, w których Wielkopolska obfituje, znaczyli za arcypasterzem krok, do którego Windhorstowi takt wybębniali. Dyplomaci atoli tego rodzaju co nasz graf pogodzić się nie mogli z ideą przeistoczenia się na Niemców, celem zachowania w nietykalności hierarchii kościelnej. Korzyść ta korzyścią się im nie wydawała. Doniosłość onej do głów im nie przystawała. Krzywili się na stan kapłański, podejrzywając takowy o zamiary nieczyste, o zamachy jakieś i z tej to racji graf Krzysztof w rozmowie z żoną, ożenił dwa wyrazy: „księża“ i „sęk“.

— A to sęk... sęk, mości dobrodzieju...

— Na uwagę wszakże wziąć należy — zaczęła hrabina — że to księża katoliccy.

— Tym ci gorzej... — podchwycił hrabia. — Wiesz, co o księżach Włosi powiadają?... Do kobiety nie przystępuj z przodu, do konia z tyłu, do księdza ani z przodu, ani z tyłu... Ot, co jest...

— Księża katoliccy nie mogą się wiązać z protestantami... — wtrąciła hrabina.

— Prawda!... — podchwycił. — Nie pomyślałem o tym...

— Pomimo że arcybiskup nasz...

— O!... a co!... Arcybiskup katolik, a mimo to... A!... od tego głowa pęka... Ja — zaczął, ręce wpół podniesione rozkładając — ja, wyznam otwarcie, gmatwaniny tej nie rozwikłam... Rozwikłuj ją sobie sama... Tyś od tego... Pomów zresztą z Józefem, z Sewerynem...

— O! i z nimi trzeba ostrożnie...

— No?... Alboż co?... — zapytał ze zdziwieniem.

— Na wydatki wyciągają: na bibliotekę, szkołę dla chłopców, na szkołę dla dziewcząt, na weteranów, na...

— Wszystko to rzeczy pożyteczne... — wtrącił graf.

— Ależ my łożymy już na jedno, zdaje się przeto, że uwolnieni być możemy od wydatków na rzeczy mniej ważne...

— Masz rację!... zawsze i we wszystkim masz rację!... Chciałbym poznać tego, co by cię złapał na czymś, w czymś, w czym byś racji nie miała, kiedy ja ciebie na niczym złapać nie mogę!...

— Przesadzasz... — odezwała się hrabina.

— Co?... ja?... Ja przesadzam?... Co ty powiadasz, kobieto! Gdzieżeś to widziała męża przesadzającego w opinii o żonie, zwłaszcza we cztery oczy!.. To rzecz niepraktykowana...] [Mężowie zazwyczaj żonom nie dowierzają... I ja nie dowierzam tobie we wszystkim: nie spuściłbym się na ciebie w sprawach z prezydium, w interesach pro-

cesowych, w gospodarce, ale... co do tego... ano... Są tu sprawy tego rodzaju, w których... wiesz?... gdzie diabeł nie może... Ja nie mogę. Bóg widzi... Na głowie mam tyle...

— Pałac... — bąknęła hrabina.

— Ano... Widzisz?...

— Pomysł to dobry...

— A co... Przyszedł mi znienacka... Palę sobie fajeczkę i medytuję: czym by tu im dogodzić?... Różne mi do głowy przychodziły koncepty... aż ten nagle strzelił... Zawalę pałac!... Powściekają się... Będzie się im wydawało, żem kot, który, rzucany tak i owak, zawsze na nogi staje... Pomiędzy nami mówiąc — dodał głosem zniżonym — koło nas diablo kręto... Nadzieja cała niedopuszczenia do subhasty w tobie, Giduleczko... Wyszturchaj Francuzów na Prusaków; niech im srogiego łupnia dadzą, a wszystko się na dobre obróci... Jam jest ten pływak, co tonie, ale się nadął, wyprężył i sił ostatek zebrał, ażeby rzutem jednym do brzegu się dostać... Ja tu pałac wydmuchnę, a ty tam Napoleonika wydmuchaj...

Taką była historia pałacu — smutna historia, ale za to wesoło się dokonywała. Rzemieślnicy rozmaitego rodzaju, śpiewając, wznosili mury, ciosali, heblowali, piłowali i stawiali budowlę z przeszkodami, pochodzącymi stąd, że od czasu do czasu doznawali przerw w wypłatach. Zdarzyło się to razy kilka; raz nawet na całe pół roku roboty stanęły i zachodziło podobieństwo do prawdy, że mury nie dokończone, wystawione na działanie zęba czasu, rozsypią się. Graf przez ten czas przesiadywał najczęściej we Wrocławiu, trochę w Poznaniu i Berlinie. Zajęty był ogromnie. Kręcił się niby mucha w ukropie, zaglądając od czasu do czasu do Śródborza, gdzie we dworze starym, pamiętającym — jak powiadano — czasy wojen ze Szwedami, przemieszkiwali dwaj synowie jego i córka jedyna,

Teklusia, Lucią przez doprowadzane w Wielkopolsce do granic ostatecznych spieszczanie imion chrzestnych zwana. Na mocy zwyczaju tego syn jeden grafa zwał się Bysiem, drugi Masiem, sam zaś graf Krzysztof w ustach hrabiny przemieniał się na Sztofeczka, jak hrabina w ustach grafa na Gidulcię. Bysio tłumaczył się przez Bolesława, Masio przez Maurycy, Gidulcia zaś przez Gertrudę.

Jak wiemy, hrabina rzadkim w domu bywała gościem. Do rzadkości również należał pobyt pod strzechą ojczystą młodych hrabiów, z których jeden, Bolesław, w wojsku służył, drugi, Maurycy, starał się, to znaczy oddawał się poszukiwaniu posady, do zajęcia której posiadał tytuły wszystkie: wychowanie stosowne, kształty odpowiednie, wiek, nazwisko i pustki w kieszeni. W domu przeto jedyną w rodzinie istotą, co stale przemieszkiwała, była hrabianka, która w pamiętnym roku 1866 lat siedemnaście zaczęła.

Wymieniamy lata jej nie bez racji. Kobieta w tym wieku staje niejako na progu światu nowego, otwierającego się przed nią w ten mniej więcej sposób, w jaki przed oczami zgromadzonych w teatrze widzów odkrywa się scena za podniesieniem kurtyny. Dramat życiowy staje przed nią na kształt zagadki, do rozwiązania której klucza szuka. Gdzie ów klucz? — w sercu? czy w głowie? Dotychczas ani myślano o nim — nie obchodził jej zgoła: zajmowały ją rzeczy bez porównania ważniejsze: lalki, ptaszki, kocięta młode, kurki, dzieci małe, dzieci zwłaszcza, za dostarczyciela których matkom uważała bociana, co dachu pilnował, na zimę dokąd ci odlatywał, po łąkach za czymeś poszukiwania pilne czynił i godzinami całymi na jednej nodze stawał. Bocian intrygował ją mocno. Zwracała na niego uwagę szczególną i przywykła w końcu do ptaka, istoty jedynej, co jej towarzystwa dotrzymy-

wała lepiej aniżeli rodzice i bracia, którzy często w domu nie bywali, aniżeli służba, co się ustawicznie mieniała, aniżeli guwernantki, które jej niby czegoś uczyły, w istocie zaś rzeczy wskazówki dawały i wedle wskazówek tych dziewczyna sama zaopatrywała umysł we wiadomości i talenta, do których ją serce ciągnęło. Czytała dużo, a że na szczęście jej nie wprawiła się w biegłe języka francuskiego rozumienie, lektura jej przeto składała się przeważnie z rzeczy ojczystych. Nauczyła się na fortepianie grać. Jedno i drugie za kierownika miało własne jej upodobanie — upodobanie idące pod miarę śpiewności, która całą jej napełniała istotę. Stąd w muzyce melodia ją pociągała, w książkach poezja i to nie tylko w formie, ale i w treści, zachwycało ją piękno, rozrzewniały nieszczęścia, oburzały zbrodnie, ujmowało dobro, wszystko to odzywało się w duszy jej wtórem harmonijnym, a wtór ten ze swojej strony harmoniował z jej postacią, okraszoną wdziękiem naturalnym i wyrazem, który świadczył o spółczuciu dla skrzywdzonych i strapionych. Wyraz ten piękną ją czynił, postać jej opromieniał, sprawiał to, że patrząc na nią wydawało się, jakby nad gładkim jej czołem tkwiła w powietrzu gwiazdka i blaskiem szczególnym złote jej warkocze oblewała. Jasność jakaś, łagodna a ponętna, oświecała postać jej w oczach tych nawet, co nie wiedzieli o prawie jej do „jasnego państwa". Rysami oblicza i kształtami ciała przypominała trochę ojca, trochę matkę, którzy oboje byli typowymi okazami tej rasy, co wydawała z siebie wzory piękności takie jak Jan III, książę Józef, jak Barbara Radziwiłłówna, Giżanka, owa Roksolana, która całym trzęsła wschodem. Złociste warkocze, fiołkowego koloru oczy, długie, czarne rzęsy, kibić kształtna i wyniosła, rysy oblicza poprawne a regularne, delikatność płci a jędrność ciała czyniły z niej istotę uroków pełną, wcielenie piękna w kształty niewieście.

Taką była panna Tekla, gdy w mierze stanęła, taką, gdy szukać poczęła klucza do zagadnień życiowych.

Zamiar ojca wzniesienia pałacu podobał się jej wielce, stanął bowiem w wyobraźni jej pod postacią piękna, w dłonie klasnęła, gdy się o nim dowiedziała, i wykrzyknęła:

— Ach, pałac!...

— Kontentaś, co?... — zapytał ojciec.

— Pewnie...

— Wolisz pałac aniżeli dom nasz stary?...

Zastanowiło ją to. Pomilczała i po chwili odpowiedziała:

— Cóż przeszkadza jeden drugiemu!...

Nie wyobrażała sobie, ażeby ten stary dom ponieść miał szwank jaki na tym, że obok niego wzniesie się budowla nowa.

Graf sprowadził architektę. Architekt umiarkował i plany kreślił, z grafem rozmowy i narady długie miewał. W naradach panna Tekla udziału nie brała i nie wiedziała, jaki ostatecznie plan przyjęty został. Roboty się rozpoczęły. Zwożono drzewo, kamienie, cegły i układano tuż obok domu starego; rozebrano płot, co ogród otaczał; kopano rowy głębokie w kwadraty i zapełniano takowe murowaniem. Rowy podchodziły pod dwór stary tak blisko, że odsłaniały z jednej strony podwaliny onego. Panna Tekla widziała to, ale bądź dlatego, że zajęły ją ruch i gwar, bądź też, że nie przypuszczała możliwości zamachu na dwór, nie przeczuwała, ażeby temu ostatniemu zagrażać co miało. Spokojnie przypatrywała się powolnemu roboty postępowi i jeżeli ją co niepokoiło, to bocian chyba. Wydawało się jej, że gwar ptakowi zawadzać będzie. Uspokoiła się atoli pod względem tym, przekonawszy się, że bocian z obojętnością zupełną przyjmował huki i stuki, jakie się rozlegały na warsztacie budowla-

nym. Strzeliła jej nawet w głowie myśl jedna, która ją uradowała. Bocianom rodziły się małe, które wyrastały i wraz ze starymi na zimę odlatały. Panna Tekla nie oglądała ich z powrotem, nie wiedziała, co się z potomstwem bocianim dzieje; domyślała się jeno, że młode gdzieś sobie gniazda zakładają; ale — gdzie? Zapytanie to często umysł jej zaprzątało i często myślała o tym, że gdyby mogła, budowałaby w roku każdym obok dworku starego domki dla młodych bocianów, powracających z krajów obcych, a to w tym celu, ażeby dzieci gniazda sobie nie opodal od rodziców zakładały.

— Jakżeby to było dobrze!... Ach, jak dobrze!...

Martwiła ją niemożebność dogodzenia bocianom pod względem, który jej się bardzo ważnym wydawał, a któremu uczynienie zadość w części bodaj ukazało się jej w perspektywie, gdy się mury pałacu podnosić zaczęły. Na pałacu stanie dach, a na dachu — owa bocianów młodych para, co ze starymi na wiosnę powróci, miejsce na gniazdo znajdzie. I będzie przynajmniej ta para obok rodziców mieszkała. Bardzo ją to radowało. Przemyśliwała o kole owym, które na dachu obok komina położyć należy, ażeby bociany zwabić. Spokojną więc co do kwestii tej była, spokojną do chwili ostatniej.

Zajęły ją mocno przenosiny, które jej nic jeszcze zatrważającego nie zwiastowały, a to dlatego, że dwór stary stał. W pałacu skończonym był korpus główny i jedno ze skrzydeł; pozostawało jeszcze do wzniesienia skrzydło drugie, którego fundamenta dotykały domu starego. Zagrażały one temu ostatniemu, ale panna Tekla nie wiedziała o tym. Przywykłszy przez lat parę do oglądania tych murów, nad powierzchnią gruntu nie wystających przestała się nimi interesować i interesowała się najmniej w chwili, kiedy niebezpieczeństwo nieochybnym się stało. Przenosiny zadziwiły ją trochę, ale bardziej zajęły.

Sprzęty, które dwór zapełniały, znikły w pałacu; starczyły zaledwie na umeblowanie jakie takie części parteru. Dla niej ojciec przeznaczył apartament na piętrze, składający się z trzech pokoi. We dworze zajmowała jeden i było jej przestronnie, pomimo łóżka, szafy, komody, kanapki, krzeseł paru, stolików, krosienek, które w izbie każde na miejscu odpowiednim stały. W pałacu, gdy wszystko to wniesiono, pokazało się, że nie było gdzie czego postawić! Miejsca jednak nie brakło. Każdy z pokoi zajmował przestrzeni na łokcie więcej aniżeli izdebki we dworze. W pokojach tych wszakże okna, drzwi, kominki i piece w takim znajdowały się rozkładzie, że przeszkadzały ustawieniu sprzętów, które ich zapełnić nie mogły. Kłopot z tym był wielki. Ledwie nie ledwie z takowego wybrnąć potrafiła, spędziwszy całych dni trzy na przestawianiu i przesuwaniu mebli, na zawieszaniu firanek i obrazków, na porządkowaniu sprzętów w sposób taki, ażeby się harmonijnie oku przedstawiały. Nie było to zadanie do rozwiązania łatwe. Panna Tekla nie rozwiązała onego tak, jakby chciała. Wysztukowała jednak w rozkładzie symetrią, zestawiając jedne z drugimi sprzęty, które się do takowej nadawały, i maskując przerwy za pomocą bądź doniczek z kwiatami, bądź też improwizowanych stoliczków. Wyszykowała sobie apartament jako tako i przez cały czas szykowania o bocianach ani pomyślała. Przyszły jej one na myśl nagle i niespodzianie rano dnia czwartego pobytu na mieszkaniu nowym, jak skoro się obudziła. Przyszły jej na myśl pod postacią zapytania, wysnutego stąd, że dwór pustką pozostał:

— Jak się one względem pustki zachowają?...

Nie przypuszczała, ażeby tak pozostawać miało na zawsze. Ktoś przecie w domu zamieszka: kto jednak? Ekonom zapewne. Ale — myślała — nim to nastąpi, czas jakiś upłynie i przez czas ten zabraknie bocianom towarzy-

stwa ludzkiego. Zafrasowało ją to, ale nie zaniepokoiło. Przykrość jej robiła myśl o przykrości, jakiej doznają bociany wskutek osamotnienia, pocieszała się jednak tym, że to długo nie potrwa, i nie spieszyła się ze wstawaniem z łóżka, w którym jej dobrze było z powodu zmęczenia, jakiego doznała przez czas porządkowania w apartamencie pałacowym. Nie wstawała, pomimo że słońce świeciło już potęgą całą i do niej przez okna zaglądało. Zrywać się zresztą potrzeby nie miała. Po co? Ani braci, ani rodziców w domu nie było, pozwalała więc sobie, wyciągała się pod okrywami, które postać jej wpół zaledwie, z powodu gorąca, osłaniały. Powodziła oczami po ścianach tapetowanych, szerokich i wysokich, na których obrazki symetrycznie pozawieszane wyglądały niby w grunt nieodpowiedni poprzesadzane rośliny. Potrzeba było do ścian takich obrazów dużych, sztychów lub malowideł, w ramach jeżeli nie złoconych, to suto rzeźbionych. Potrzeba było zwierciadeł i etażerek, ach! i rzeczy innych wiele jeszcze, ażeby to tło tapetów osłonić przyzwoicie. Jedyną osłoną dokładniejszą było malowidło spore, przedstawiające patronkę hrabianki, świętą Teklę, dziewicę i męczenniczkę. Miało ono i rozmiary poważniejsze, i ramy pokaźniejsze; pędzel, co je stworzył, nie należał do poślednich, przy tym panna Tekla przyozdabiała je w draperie z muszlinu szafirowego, upinane bukiecikami na Boże Ciało święconymi. Obraz ten nad łóżkiem jej wisiał i służył za rodzaj wytycznej do nadawania kierunku modlitwom, za rodzaj wartownika moralnego, co nad młodą, samej sobie prawie zostawioną dziewczyną czuwał. Panna Tekla wierzyła w to, że Bóg ją widzi i najtajemniejsze jej myśli zna, że święta Tekla opiekuje się nią. Wmówiono to w nią i ona wierzyła tą wiarą naiwną, dziecinną, tą samą, którą odnosiła do bociana jako do rękojmi pomyślności gospodarskiej. I to w nią wmówiono. Jak nie analizo-

wała krytycznie jednego, tak nie analizowała drugiego. Opinia publiczna w sferze słowiańskiej przywiązuje do pobytu bociana na dachu znaczenie rękojmi; ona nie wchodziła w racje mniemania tego; nie zastanawiała się nad nim; brała je in crudo i leżąc na wznak z ramieniem nagim pod głowę założonym i smugami włosów złocistych okrytym, o bocianach myślała.

Zamierzała stworzyć dla nich taki modus vivendi, ażeby im pustka we dworze czuć się nie dawała. We względzie tym przesuwały się jej przez głowę projekta rozmaite. Można by tymczasowie osadzić kogoś, gdyby się zaś nikt do osadzenia nie znalazł, w razie takim ktoś ze służby mógłby bodaj nocować. Służba składała się w jednej połowie z mężczyzn, lokajów, stajennych, kredensarzy, w drugiej z kobiet, pokojówek, piekarnianych. Do mężczyzn w kwestii tej ufności nie miała. Uważała ich za psotników, gotowych dla zbytków wystraszyć. Zatrzymała się myślą na kobietach; kiedy pomiędzy nimi wybierała najpewniejszą, do pokoju weszła dziewczyna, co u niej w usługach była, prawie jej rówienica. Marysia, zwana powszechnie Maryś, częścią dla zwyczaju, częścią dlatego, że końcówka męska lepiej aniżeli żeńska odpowiadała krępej, przysadzistej i na przebranego chłopca wyglądającej dziewusze. Maryś luboć była boso, chód jej słyszeć się dawał z daleka. Weszła niosąc w ręku wyprasowaną hrabianki sukienkę.

— O?... — odezwała się tonem zdziwienia, próg przekroczywszy. — A ja się z prasowaniem nadaremnie spieszyła.

— Przecież to już późno...

— Toż to... Myślałam, że panienka od dawna już wstała i wydziwia na mnie, ze nie przychodzę... A jam nie przychodziła dlatego, że się dusza zagrzać nie chciała...

— Cóż jej się stało?...

— Panienka Przenajświętsza wie co... Ja nie wiem... — westchnęła. — Wetknęłam ją w węgle i co wezmę, zimna... Zimna i zimna...

— Skądżeby to?... — zapytała panna Tekla dlatego tylko, ażeby rozmowę podtrzymać.

— We dworze tego nie bywało... W tamtym piecu żelazko grzało się we dwa zdrowaśki... a w tym dogrzać się niesposób... Nie wiem, co tu dalej będzie...

— Ognia może rozpalać nie umiecie...

— Jeszcze co!... Rozpala się ogień tak, jak się rozpala... ale tam się palił, a tu nie... Dmuchał Józef, dmuchała Magda, dmuchałam ja...

— Rozpalił się jednak w końcu...

— A o...

— I dusza się zagrzała...

— Zagrzała się...

— I wszystko dobrze poszło...

— Poszło... Zawsze jednak we dworze lepiej było...

— A cóż tam — zapytała panna Tekla — porabiają bociany nasze?...

— Bociany?... — odparła Maryś składając ostrożnie suknię na krześle. — I cóż by porabiać miały?...

— Widziałaś je?...

— Jam tam na nie nie spoglądała, ale gdybym i spoglądnęła, to cóż by im przyszło z tego!...

— Im nic, alebyś mnie o nich wiadomość dała...

— Ich już tam chyba do wieczora nie będzie...

— Nie odlecą przecie nie odchowawszy małych, które się niedawno z jaj wykluły...

— I małe porzucą... — wtrąciła dziewczyna.

— O nie... nie... bociany nigdy tego nie robią...

— Nie robią same z siebie, ale... nie same z siebie...

Wyrazy ostatnie w uchu panny Tekli zabrzmiały tonem zagadkowym. Zmiarkować nie mogła, co pokojówka jej przez to rozumie. „Nie same z siebie?“

— Co ty powiadasz, Maryś?... — zapytała.

— A cóż... Ludzie się zabierają do rozbierania dachu...

Na słowa te jakby miną wysadzona wyskoczyła hrabianka z łóżka i w koszuli nocnej, boso, do drzwi się rzuciła. W pokoju przyległym z okna dwór stary widać było. Do okna tego pędem podbiegła, spojrzała, odwróciła się — miała oczy szeroko otworzone i oblicze od przerażenia tak zmienione, że się Maryś zlękła i coś przemówić chciała, ale nie mogła.

— Maryś, pończochy!... Maryś, trzewiki!... Maryś... — poczęła panna Tekla rzucać wyrazy, chwytając z pośpiechem drżącymi rękami części odzienia jedną po drugiej i wciągając na siebie.

Spieszyła się, szarpała; wdziała wreszcie szlafroczek, zawiązała na głowie nie czesane warkocze, włożyła kapelusz i poszła zapinając i zawiązując na sobie to, co do zapięcia i zawiązania jeszcze pozostawało.

## III

W rzeczy samej, ludzie się do rozbierania dachu zabierali, drabiny poprzystawiali i kilku stało jakby w oczekiwaniu na znak do rozpoczęcia destrukcji. Coś ich jeszcze wstrzymywało. Trzymając w rękach narzędzia do zrywania snopków, spoglądali jeden na drugiego i zapytywali:

— A cóż?... a?...

— Ano... — była odpowiedź. — Czekać kazał, póki ze środka nie wyńdzie...

Odpowiedź ta odnosiła się do dozorcy robót, który, wyznaczywszy robotników do rozbierania dachu, wszedł sam do wnętrza domu, powiedziawszy im.

— Czekajcie!...

Czekali tedy i doczekali się tego, że hrabianka nadbiegła. Policzki jej pałały, oczy błyskawice ciskały.

— Schodźcie stamtąd!... schodźcie!... — wołać się jęła, ręką wymachując.

Robotnicy poczęli się po drabinie z dachu spuszczać.

Panna Tekla przebiegła na drugą domu stronę, gdzie drabina druga przystawioną była, i ten sam rozkaz powtórzyła. Robotnicy zeszli.

— Coście czynić zamierzali?... — zapytała.

— A cóż... — odpowiedział jeden. — Taże wedle dachu...

— Wszak na dachu tym bocian!...

Spojrzeli jeden na drugiego i ramionami ściskali.

— Kto wam to kazał?...

— Kto?... Aże pan Piotr, on zaś robotę rychtuje...

— Gdzie on?...

— Tam... — odrzekł jeden, na wnijście do starego dworu wskazując.

Panna Tekla zwróciła się do drzwi otwartych, próg przekroczyła, przez sień przeszła i znalazła się w izbie obszernej, ruiną już trącącej. Trzy dni dokonały przeistoczenia tego na komnacie, w której brzmiały wesela, której ściany bywały za szczupłe na pomieszczenie licznych gości, ale... „rozszerzały się“. Na sam czas atoli nie można było składać dzieła zniszczenia. Trzy dni byłoby to, bądź co bądź, za mało. Potężny ów destruktor nie działa tak szybko. Czasowi przyszli z pomocą ludzie, najprzód ci, co dom ze sprzętów wypróżniali, co meble wynosili, obrazy i zwierciadła zdejmowali, ćwieki ze ścian wyrywali. Ci poobtłukiwali piece, odźwierki i futryny, połamali drzwi, powybijali szyby w oknach, porobili dziury w murach. Po nich przyszli robotnicy, którzy podłogi odrywali. Ci także dla ścian, pieców, drzwi i okien miłosierdzia nie mieli. W sposób ten ruina tworzyła się szybko, widzieć ją

było można nie tylko na ścianach, ale i na sufitach, gdy zaś panna Tekla weszła i nie zastawszy w pierwszej komnacie nikogo rzuciła wyrazy „gdzie on?“, te wyrazy to echo podchwyciło i razy kilka, przedrzeźniając je, powtórzyło.

— Aha... — odezwało się, z akcentem zaznaczenia rzeczy.

— Cha — cha — cha... — zaśmiało się echo.

Pannę Teklę trwoga ogarnęła. Zdjęła ją ochota cofnąć się i byłaby to zrobiła, gdyby nie obawa o bociany, która jej odwagi dodała. Poszła naprzód — pobiegła, minęła pokojów kilka, oglądała się, pana Piotra nie spotkała. Obchodząc dom wewnątrz znalazła się w kurytarzu bocznym, w którym schody na strych prowadziły. Na strychu tym mieścił się pokoik jej trzy dni temu opuszczony. Zatrzymała się na chwilkę, wahając się, w którą się zwrócić stronę w celu odszukania dozorcy robót, gdy o słuch jej uderzył skrzyp butów męskich na schodach. Szedł ktoś z góry na dół i niespieszno mu było; zatrzymywał się, za zatrzymaniem się każdym słyszeć się dawał szelest przesuwanych w ręku papierów i ucinkowe uwagi, takie jak na przykład:

— Zgubiła... Uhm... No, proszę... A?

Po „a“, z akcentem zapytania wydanym, nastąpiło dłuższe nieco przemówienie:

— Widocznie przepisała ręką własną...

Panna Tekla zmieszała się. Widocznie ów, co ze schodów schodził, ze strychu powracał i wielkim było prawdopodobieństwo, że z pokoiku jej zabrał szpargały, które ona jako niepotrzebne rzuciła. Że pomiędzy szpargałami tymi znajdowały się własnoręczne jej rękopisy, o tym wiedziała. Nie spodziewała się, ażeby dostały się one do rąk człowieka, co na nie uwagę zwróci. To ją właśnie zmieszało, a zmieszanie spotęgowało się, gdy usłyszała

czytanie, które, zrazu ciche, stawało się coraz to głośniejsze i szło w takt rytmiczny. Wyraźnie była to poezja. Czytelnik na stopniu schodów zatrzymując się wygłaszał strofy z naciskiem, zdradzającym przejęcie się treścią. W słuchu panny Tekli zabrzmiało nareszcie:

„. . . . . . . . . . . . . . . grota
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać,
I ma Elektry głos. Ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: Jak mi smutno!"

Czytanie przerwał i odezwał się sam do siebie:

— Cha, cha!... Pomiędzy ową grotą a tym domostwem zachodzi podobieństwo niejakie... Są to szczeliny do tego, ażeby przez nie wiatr wzdychał... i puchy, co latają jak duchy; znalazłby się i promień, naprowadzający na myśl strunę złotą z harfy Homera i...

Przerwał sobie zoczywszy nagle pannę Teklę, ze schodu ostatniego zeskoczył, kapelusz zdjął i kapelusz w jednym, plik szpargałów w drugim ręku trzymając przybrał postawę winowajcy na gorącym schwytanego uczynku.

Takąż samą postawę miała panna Tekla.

Uczynek gorący odnosił się jednakowo do obojga. Jeżeli tu zachodziła wina jaka, winni byli oboje: ona, dlatego że pisała, on, dlatego że czytał. Żadne z nich nie dopuściło się zbrodni, spadającej całym ciężarem swoim na autora, co „fantastycznie nastrojoną lutnią wtórował myśli ponurej i ciemnej"; spadała na nich wszelako do stopnia pewnego spółwina, która ich kompromitowała jedno w oczach drugiego, kompromitowała i to sprawiała, że tak panna Tekla jak pan Piotr czuli się jedno wobec drugiego w położeniu fałszywym.

Położenie to, tym gorsze, że oboje byli młodzi, oniemiało ich. Ani on, ani ona nie wiedzieli, od czego zacząć. Należało jednak z położenia tego wyjść; potrzebę tę snadź

silniej aniżeli panna Tekla poczuł pan Piotr, on bowiem milczenie przerwał wyrazem:

— Przepraszam...

— Panie... — zaczęła hrabianka.

Właściwie po przeprosinach pana Piotra panna Tekla powinna się była ukłonić obojętnie i odejść. Może by tak uczyniła była, ale miała do dozorcy interes, który zwłoki nie cierpiał. Nie odchodziła przeto, ale nie umiała przystąpić do rzeczy, która się jej bardzo prostą i naturalną wydawała i z którą by się była załatwiła po prostu a naturalnie, gdyby nie gorący ów uczynek, dotykający ją i jego, a zaszły całkiem niespodzianie.

Panna Tekla nie dziesięć i nie sto razy pana Piotra widywała — pana Piotra, dozorcę, co się przy robotnikach często pojawiał, rozmawiał z nimi, skazówki im dawał, gniewywał się na nich niekiedy, a niekiedy fartuchem się osłaniał, rękawy zataczał, murował, ciesał, piłował. Przedstawiał się jako starszujący w sferze poziomej, na którą hrabianka nie wyobrażała sobie, ażeby spoglądać można inaczej jak dobrotliwie, ze spółczuciem, łaskawie, ale z góry. Dozorca — cóż to? coś na kształt starszego mularza lub starszego cieśli, rzemieślnik w każdym razie, bliźni wreszcie, mogący posiadać zalety ogromne, ale w zakresie odgradzającym liniami wyraźnymi pojęcia i uczucia właściwe onemu od pojęć i uczuć tej sfery, do której hrabianka należała. Ta ostatnia przeto ani przypuszczała, ażeby pan Piotr interesować się mógł utworem poetycznym tego znaczenia jak ten, którego kopia do rąk mu się dostała. Zaczęła więc:

— Panie... — i zamilkła i po chwili dodała: — pan przecie nie dopuści się tego...

— O, pani... — odparł w przekonaniu, że wyrazy te tyczą się rękopisów znalezionych.

— Pan prośbie mojej zadość uczyni...

— Co pani rozkaże...

— Więc spokojną być mogę...

— Ależ, pani... Jeżeli o spokój pani chodzi, to ja gotów jestem... gotów jestem...

Mówiąc to ręką ze szpargałami ku pannie Tekli pomykał.

— Chodzi mi najbardziej o to, ażeby wyrosły młode...

Pan Piotr rękę ze szpargałami cofnął i zrobił minę taką jak ten, co w przekonaniu, że wszystko rozumie, dowiaduje się nagle, iż nie zrozumiał nic.

— Chodzi mi najbardziej o to... — dodała. — Mając więc ze strony pańskiej zapewnienie, nie pozostaje mi jak podziękować panu...

— Pani...

— Dziękuję... — podchwyciła wychodząc.

— Ależ... — zaczął dozorca młody.

Panna Tekla poszła przodem, on za nią skonfundowany nieco i rozmyślający nad tym, za co mu się podziękowanie dostało. Razem z dworu wyszli, zawrócili; panna Tekla pospieszała; pan Piotr kroku nie dotrzymywał; odległość pomiędzy nimi wzrastała i kiedy ganek mijali, panu Piotrowi wpadli w oczy robotnicy, którzy nie tylko z dachu zeszli, ale i drabinę odstawili.

— A to co!... — krzyknął. — Drabinę przystawić i... na dach!...

Panna Tekla zatrzymała się i zwróciła.

— Skąd wam do głowy strzelił ten koncept mądry?...

— Kazali... — odpowiedział jeden.

— Kto kazał?...

Robotnicy spoglądali jeden na drugiego, a mieli miny takie, jakby posiadali tajemnicę i nie wiedzieli, co z nią począć. Ton, jakim im dozorca zapytanie zadał, domyślać się kazał, że zaszło przekroczenie zasługujące na naganę. Nagana tyczyła się ich — czemu posłuchali? — ale tyczyła

się nie mniej i tej, co rozkaz dała. Obecność jej robotnikom języki święciła. Była to nie tylko panienka, hrabianka, ale taka śliczna, stała od nich o kroków kilka w postawie ofiary. W wyrazie oblicza jej przebijały się: smutek, żal i strach.

— Ano... — zaczął pan Piotr zaniechając indagacji, która by do niczego nie doprowadziła. — Drabinę przystawcie i dalej na dach!... Zaczynajcie, jakem mówił, od góry, od grzbietu, odkładając i spychając snopki ku dołowi...

U góry, na grzbiecie znajdowało się właśnie gniazdo bocianie.

— Panie... — zaczęła panna Tekla do dozorcy bliżej przystępując.

Ten, zawsze z kapeluszem w jednym, ze szpargałami w drugim ręku, ku niej się zwrócił.

— A bociany?...

— Bociany? — odparł uzagadkowiony.

— Co się z nimi stanie?...

— Co?...

— Przecież ich wyrzucać nie można!... Przecież tam w gnieździe są młode, małe, zaledwie opierzać się poczynające, które poginą!... Byłoby to... panie! okrucieństwem... Miłosierdzie mieć potrzeba...

Wyrazy powyższe wyrecytowała tchem jednym, tonem podniesionym, w natchnieniu niby, które strzelało jej z oczów i opromieniało oblicze potęgując piękność i bez tego potężną.

— Tak nie można... To się nie godzi... — dodała.

Pan Piotr wyglądał, jak wygląda ten, komu nagle i niespodzianie kłopot wielki na łeb spada. Domyślił się, że to hrabianka robotników z dachu ściągnęła i drabiny poodstawiać kazała. Nie dziwił się, że ją robotnicy posłuchali, i on bowiem posłuchać by chciał.

Posłuchać? Byłaż to rzecz możliwa?

— Pani... niesposób... — odezwał się tonem modlitewnym prawie.

— Co, niesposób?... — odrzuciła.

— Pani o zachowanie gniazda bocianiego chodzi?...

— O niewyrządzanie krzywdy ptakom biednym...

— Ażeby im krzywdy nie wyrządzić, potrzeba by dachu nie ruszać i domu nie rozbierać, bez czego nie można kończyć budowli rozpoczętej... Jedno drugiemu ustąpić musi: albo dom budowli, albo budowla domowi... Niech pani zważy sama...

— Można by się z budowlą powstrzymać, aż się bociany opierzą i latać poczną...

— To znaczy... do jesieni...

— Do jesieni... — powtórzyła tonem prośby.

— A!... — głową wstrząsnął i ramionami wzruszył dodając po chwilce: — Gdyby to ode mnie zależało...

— Od pana coś zależy przecie...

— Nic innego, pani, jak ścisłe rozkazów wykonanie...

— Więc?... — zapytała.

— Więc oto... przyszedł moment na rozbieranie domu starego i rozbierać takowy potrzeba, inaczej bowiem roboty staną, a robotnikom płacić należy...

— Ależ... bociany... Panie... bociany...

— Cóż ja pocznę!...

Wykrzyknik ten wymówił z naciskiem, który się w sercu panny Tekli odbił. Spojrzała na młodego człowieka ze spółczuciem.

— Rady nie ma?... — lekko drżącym zapytała głosem.

— Rady?... — zastanowił się i rzekł po chwili: — Ha!... chybaby przenieść to gniazdo...

— Ach!... — wykrzyknęła uradowana.

— Tylko... nie ręczę, czy bociany miejsce inne przyjąć zechcą... Ptaki się przywiązują do gniazda... jak lu-

dzie... Zostawiłbym je, to by najpewniej i najbezpieczniej było; ale... cóż robić!... Spróbujemy.

Rzekłszy to wnet kapelusz na głowę włożył, szpargały do kieszeni od paletota wpakował, na drabinę skoczył i na dach się wdrapał. Na dachu robotników ustawił w dwóch przeciwległych rogach, polecając im, ażeby zrywali snopki okrywające pochyłości boczne, sam zaś do gniazda podszedł, dokoła je obejrzał, przez chwilkę miarkował i w dół się spuścił ku przypatrującej się mu pannie Tekli.

— Sam nie podołam... Pomocy potrzebuję...

Rzuciwszy wyrazy te oddalił się i niebawem powrócił niosąc drąg, nosze i prowadząc za sobą chłopaka wyrostka, używanego do posługi pobiegowej przy robocie. Za chwilkę, obydwa przy gnieździe się znajdowali. Nastąpiła scena wzruszająca. Stare bociany broniły gniazda, krążyły nad nim, spuszczały się nagle, zaglądały, klekotały dziobami długimi, jakby za pomocą klekotu napastników odstraszyć miały, okrzyki wydawały; była chwila, w której samica na gnieździe usiadła i skrzydłami je osłoniła, lecz się wnet zerwała, podleciała, spuściła się, skrzydłem pana Piotra uderzyła i znów się w powietrze wzniosła, a samiec tymczasem krążył, raz wyżej, znów niżej.

— Matka... — odezwał się młody człowiek do stojącej na dole w niepokoju najwyższym hrabianki.

— O Boże!... — odpowiedziała.

Gniazdo już podważone było.

— Czyby nie wyjąć młodych?... — zawołała.

— Zdaje się, że potrzeba, ażeby stare gniazdo i w gnieździe młode swoje widziały... — odpowiedział. — W sposób ten nie stracą może gniazda i dzieci z oczów...

Uwaga ta racjonalną się wydała.

Wyjęte z osady gniazdo położył pan Piotr na noszach, które przy murowaniu służyły do przenoszenia cegły i kamieni, i ująwszy je obiema rękami z przodu, polecił

chłopcu, ażeby ujął z tyłu, uważając na utrzymanie takowych w położeniu horyzontalnym. Jak skoro ruszył, bociany się spuściły i na chłopca uderzyły, aż ten krzyknął z bólu.

— Odstąp!... sam będę nosze spuszczał... — przemówił pan Piotr do niego.

Gdy się spuszczanie rozpoczęło, stare uderzyły na gniazdo, wykonując manewry takie, jakby chciały młode porwać lub wyrzucić.

— Odpędzaj je!... odpędzaj!... — wołał pan Piotr na chłopca.

— O Matko przenajświętsza!... — odzywała się panna Tekla.

Chłopiec drąg pochwycił i na ptaki się zamierzył.

— A nie uderz jeno którego!... Nie rób im nic złego!... — przestrzegała. — Czy nie dosyć dla nich krzywdy jednej!...

Na krawędzi dachu chłopiec znów nosze ujął i nie miał już z bocianami do czynienia, te bowiem odleciały. W chwilę później gniazdo zniesione zostało.

Panna Tekla nie gniazdem, ale starymi się interesowała. Ścigała je oczami, aż para znikła w dali.

— Och!... — westchnęła strapiona.

Strapienie jej i pan Piotr podzielał.

— Czy powrócą?... — zapytała.

Ramionami ścisnął.

— Powrócą... — odrzekła na własne odpowiadając zapytanie — jeżeli gniazdo swoje poznają...

— Trzeba je w taki wystawić sposób, ażeby poznały... — zauważył młody człowiek.

— Gdzie?...

— Gdzieś w pobliżu i dosyć wysoko...

Dokoła się obejrzał, zatrzymując wzrok kolejno na dachach, które się widzieć dawały. Żaden się nie nada-

wał. Jedne, jak np. strzecha na probostwie, bociany inne zajmowały, inne okrywały budowle, jak gorzelnia np., na których się bociany gnieździć zwyczaju nie mają.

— Co tu począć?... — odezwała się panna Tekla tonem zafrasowania wielkiego.

— Wszak bociany istniały, zanim się ludzie na ziemi pojawili...

— A tak... — odrzekła. — Pan Bóg ludzi na ostatku stworzył.

— I nie było wówczas domów ani dachów, a bociany się gdzieś gnieździły...

— Nie... — odparła — trwało to bowiem krótko, dzień jeden tylko...

— Dłużej chyba trochę... — odpowiedział pan Piotr z uśmiechem. — A przy tym trzymając się nawet legendy biblijnej, ludzie pierwotni mieszkali w lasach, jaskiniach, w szałasach, nie zaś w domach dachami krytych...

— Zdaje się... — bąknęła panna Tekla.

— Na czymże w czasach onych gnieździły się bociany?...

— Na czym?...

— Niezawodnie na drzewach... Uczyłem się zoologii niegdyś i jeżeli mnie pamięć nie myli, drzewa wymienione są jako miejsca gnieżdżenia się bocianów... Wszak u grafa biblioteka jest; widziałem, jak ją przenoszono: w bibliotece znajduje się może zoologia jaka...

— Może... nie wiem... — odrzekła hrabianka głosem niekoniecznie pewnym.

— Ale wyszukanie onej zabrałoby czasu dużo, a tu... czas nagli... Trzeba gniazdo wystawić jak najprędzej... Biorę więc, jeżeli mi pani na to pozwoli, odpowiedzialność na siebie, gniazdo na drzewie wystawię; w razie zaś gdyby bociany stare nie powróciły, bocianięta sam odkarmiać będę... Przystaje pani na to?...

Panna Tekla, zamiast odpowiedzi ustnej, odpowiedziała spojrzeniem, należącym do spojrzeń tego rodzaju, dla których w epoce romantyzmu ludzie wieku pana Piotra do cyrku pomiędzy lwy i tygrysy po rękawiczkę chadzali. I w wieku naszym niemało się dla spojrzeń czyni. Do spojrzenia dodała jednak:

— O, dziękuję panu...

— Chodzi jeno o wybranie jakiego na widoku drzewa...

Spojrzenie, jakie on na pannę Teklę zwrócił, znamionowało wezwanie do narady.

Potrzeba było warunków pewnych, którym by drzewo odpowiadało, a mianowicie: znajdować się powinno było w promieniu attrakcji dworu starego, być dosyć wysokim i nie zanadto liściastym. Warunki te przedstawił młody człowiek hrabiance i ta jęła się nad nimi rozmyślać. Oczy do góry nieco wzniosła, obliczu nadała wyraz poważny i po chwili zawołała:

— Jest!... jest drzewo takie...

— Gdzie?... — zapytał pan Piotr.

— Niedaleczko... Proszę pana...

Ruszyła przodem. Obiegli dwór dokoła. Po drugiej stronie palcem wskazała.

— O...

— Prawda... — młody człowiek na to.

Nie opodal, na granicy przestrzeni pod park zakreślonej, wyrastał dąb stary, w połowie zeschły, obwinięty do góry prawie powojem dzikim, zgarbiony, pokaleczony, zgrzybiało wyglądający. Zieleniła mu się czupryna z jednej strony, z drugiej zaś sterczały, niby ramiona nagie, suche gałęzie, z których jedna tkwiła horyzontalnie, a dwie inne wyrastały pod kątami w górę.

— Doskonale... — dodał pan Piotr popatrzywszy przez chwilę.

Wrócili. W gnieździe bocianięta, na których pałki odrastać dopiero poczynały, łebki wyciągały i dzioby długie szeroko otwierały.

— Jeść chcą biedne — westchnęła panna Tekla.

— Pokarmiemy je później, tymczasem zaś pośpieszać trzeba z wystawieniem ich na przynętę rodzicom, które gdy je tylko zoczą i do gniazda przylecą, same się odzywianiem swoich małych zajmą...

Rzekłszy to, na chłopca krzyknął:

— Jaśku, o sznur długi się postaraj, drabinę chwytaj i za mną pomykaj!... Słyszysz?...

— A dyć-em nie głuchy...

Młody człowiek nosze z gniazdem dźwignął, na głowę wziął i rękami je podtrzymując, do drzewa się udał.

Hrabianka z nim poszła.

Zajmowało ją żywo wszystko, co się protegowanych jej tyczyło. Chciała przy nich być i widzieć, co się z nimi dzieje; rada by pomagać, gdyby pomoc jej przydać się mogła na co obok gorliwości, jaką rozwijał młody dozorca w uratowaniu potomstwa bocianiego. Jak skoro chłopiec drabinę i sznur przyniósł, wnet drabinę do drzewa przystawił, wlazł po niej, wymiarkował i pokazało się, że trzeba przekładzin do zrobienia z takowych fundamentów pod gniazdo. Niezwłocznie posłał po drzewo, topór, piłę i świder i sam się do roboty wziął. W rękach jego topór i piła w chwili jednej dzieła dokonały. W niespełna kwadrans wywindowane gniazdo spoczęło na mocnych fundamentach pomiędzy zeschłymi gałęziami drzewa.

— A teraz — rzekł, z drzewa zeskakując i drabinę odejmując — będę bocianięta doglądał, ażeby się odchowały...

— Będziemy doglądali... — odparła panna Tekla.

## IV

„Dziwnie się plecie na tym tu bożym świecie“, powiedział Kochanowski, a przysłowie mu na to odpowiedziało: „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Babanowiecka karczma“. Hrabiance Grackiej ani się śniło, ażeby na drodze żywota swego spotkać miała jakiegoś tam Piotra Ostróżkę. Że spotkała, to pół biedy, ale ze spotkania tego wyszła historia taka, że człowiek ten, ten dozorca przy robocie budowlanej, uwagę jej zatrzymał na sobie. W sposób ten proste spotkanie komplikowało się, postać p. Ostróżki nabierała znaczenia niejakiego, które przeminąć mogło jak śnieg wiośniany, mogło jednak rosnąć, potęgować się i doprowadzić do rezultatów takich jak te, do których doszli skojarzeni przez jakąś istotę romansową Numa i Pompiliusz. Znaczenia spotkań tego rodzaju modyfikują się do nieskończoności.

Pan Piotr ułatwiwszy się z gniazdem bocianim kazał chłopcu zabrać drabinę, sznur i narzędzia ciesielskie i do panny Tekli się zwróciwszy następujące wygłosił słowa:

— No... nie pozostaje nam nic innego jak odejść...

— I zostawić tak bocianięta?... — zapytała.

— Nie można inaczej... Stare zapewne nadlecą niebawem... Obecność nasza straszyć by ich mogła...

Dokoła się obejrzał po horyzoncie i dodał:

— O... widzę je z daleka.

Rękę wyciągnął. Hrabianka w kierunku ręki jego okiem poszła i ujrzała ważące się na szerokich skrzydłach ptaki.

— Chodźmy... Naglądać możemy z daleka... Pani w pałacu na piętrze masz obserwatorium doskonałe...

Grzeczny kawaler może by tak nie wypraszał panny z towarzystwa swego. Grzeczna panna może by kawalera do obserwatorium zaprosiła. Nie nastąpiło nic podobnego.

Razem odeszli na wysokość dworu starego, na którym robotnicy dach z poszycia obdzierali, i w punkcie, w którym się drogi ich rozchodziły, pan Piotr kapelusz uchylił i pokłonił się. Panna Tekla za ukłon ukłonem odpłaciła w sposób taki, jakby się rozstawała nie z dozorcą, ale z młodzieńcem dostojnym. Nagle się zarumieniła, a powód rumieńca był osobliwy. Wydawało się jej, że pan Piotr dłoń jej do uściśnienia poda. Tego nie uczynił. Zmieszało ją to, jakby było zapewne zmieszało, gdyby ją był pożegnał w sposób angielski. Uczuła się prawie obrażoną — obrażoną przez człowieka, co dla dogodzenia jej nie wahał się po dachach i drzewach łazić, ciężar dźwigać, rąbać, piłować, wiercić — przez człowieka, co... rękopisy jej czytał i znajdował analogię pomiędzy dworem szlacheckim opuszczonym a „grotą, w której wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać“. Ażeby analogii podobnej dopatrzeć, być potrzeba... nie prostym dozorcą przy mularzach i cieślach.

— Nie prostym dozorcą...

Z tą w głowie myślą do pałacu weszła, po schodach na piętro wbiegła i do tego przystąpiła okna, z którego widok się otwierał na dwór stary i na drzewo na wpół uschłe. Okiem powiodła. Na dworze szkielet dachu wynurzał się już wyraźnie śród kurzawy, jaką urywanie snopków sprawiało; na drzewie gniazdo bocianie pozostawało w spokoju pomiędzy szkieletami konarów. I to, i owo nasuwało do głowy obfitą do rozmyślania treść. Szkielety te mówiły dużo — przypominały życie minione, gwaru pełne, tu szlachty wesołej, tam ptasząt. Panna Tekla — przypuszczać można — oddawałaby się rozmyślaniu temu przy oknie otwartym stojąc i na szkielety patrząc, gdyby jej dystrakcji nie sprawiał dozorca ów, co ze szkieletami tymi w związku jakimś pozostawał. W jakim mianowicie? Na pytanie to odpowiedź nie była łatwa,

wymagała zastanowienia się głębokiego, któremu hrabianka byłaby się zapewne oddała, gdyby nie dystrakcja jeszcze jedna. Ta ostatnia wprost się do gniazda odnosiła — do gniazda, a raczej do bocianów, nadlatujących od strony lasów. Nadlatywały — najprzód jeden.

— To matka... — szepnęła panna Tekla. — O, byleż ona gniazdo zoczyła...

Pokazał się następnie bocian drugi.

— To ojciec... — znów szepnęła.

Za drugim nadleciał trzeci, za trzecim czwarty, piąty, szósty itd. — mnogość, tłum.

— Co to?...

Wyraz oczu i oblicza panny Tekli wyobrażały zapytanie to, przedstawiające się pod postacią zagadnienia ogromnie do rozwiązania trudnego. Po co się ptaki te w mnóstwie takim ściągały i krążyły, i mijały? Krążyły nad dworem starym, do którego się zbliżały, i wyraźnie widać było, jak wyciągały łby i usiłowały przejrzeć przez kurzawę do dachu, kierując wejrzenia w ten punkt, w którym gniazdo się przed godzinami paru znajdowało.

— Gniazda... Gniazda szukają... — powiedziała panna Tekla w głos, tak że przebywająca w pokoju przyległym Maryś usłyszała.

— Słucham!... — odezwała się wchodząc.

— Patrzaj jeno, co się dzieje...

Dziewczyna do okna podeszła i zawołała.

— O! la Boga!...

— Widzisz?...

— Widzę... Co tu boćków!...

— Czemu się one tak zleciały?...

— Czemużby!... Panienka przenajświętsza wie...

— Na dachu było gniazdo...

— A!... — zawołała dziewczyna tonem domyślności. — To one tak wedle gniazda...

— Na nim siedziało dwoje jeno starych...

— Ano dwoje...

— Dlaczegoż zleciało się tyle?...

— To tak jak ludzie: kiedy się jednemu chałupa pali, wszyscy biegną...

— Na ratunek... — dodała panna Tekla głosem wzruszonym.

— Kto na ratunek, a kto tak sobie...

Panna Tekla, cała niejako we wzrok zmieniona, patrzała śledząc za ruchami ptaków, które krążyć nie przestawały. Środkowym krążenia ich punktem był dach zrywany. Zdawało się, jakby się przypatrywały czynności robotników, nie zważając zgoła na drzewo, na które pan Piotr przeniósł gniazdo. Niepokoiło to pannę Teklę. Serce jej mocno biło.

— Czemu do gniazda nie zaglądają!... — odezwała się.

— Ludzie gniazdo zrzucili... — odrzekła Maryś.

— Ono tam... — odpowiedziała panna Tekla na drzewo palcem wskazując.

— O?... — wykrzyknęła dziewczyna ze zdziwieniem.— Któż je tam przeniósł?

Hrabianka na zapytanie to nie odpowiedziała. Odpowiedziała na nie Maryś sama sobie.

— Nie bociany chyba... gdyby bociany, to nie robiłyby one gwałtu takiego... Stare snadź znać dały innym i zleciały się wszystkie, jakie gdzie jeno były... Eh... — dodała w rodzaju uwagi — bociany rozumieją się między sobą jak ludzie... klekocą i mówią jeden do drugiego... Klekot to ich mowa...

— Ach!... — krzyknęła panna Tekla radośnie.

Z bocianów jeden do gniazda się zbliżył, na chwilę nad nim w powietrzu zawisł, na skrzydłach się ważył;

zdawało się, że ot — ot, usiędzie już, bocianięta do niego łebki wyciągały, dzióby otwierając.

Hrabianka doznała potrzeby podzielenia się uradowaniem z kimś, co by je na równi z nią odczuć umiał, i dlatego oczy od gniazda oderwała zwracając je w dół i wodząc nimi po ziemi, jakby czegoś lub kogoś szukała. Szukała w rzeczy samej i znalazła. Za jednym z węgłów domu rozbieranego, na zwalonym dylu siedział pan Piotr trzymając w ręku papier jakiś, który odczytywał i od którego od czasu do czasu oczy odrywał, dla zwracania takowych na gniazdo. Gdy się do gniazda bocian zbliżył, on wstał i wpatrzył się. Widocznie zainteresowało go to żywo. Wnet jednak na powrót usiadł i oczy na papier spuścił.

— Czemuż to?.. — szepnął głos cichy w hrabiance.

Odpowiedź na zapytanie to znalazła w powietrzu, gdzie nastąpiło tłumne krążenie ptaków, śród których wmieszał się ów, co się do gniazda był zbliżył, ale na takowym nie usiadł. Wmieszał się; rozpoznać go panna Tekla nie mogła; zauważyła jednak osobliwość pewną, która uwagę jej pochłonęła całkowicie. Jeden spomiędzy bocianów stał się przedmiotem gonitwy wszystkich innych. Nie uciekał wszakże. Leciał, a ptak po ptaku ku niemu podlatał i to dziobem go potrącał, to skrzydłem uderzał, to łapą dostać się starał. On się nie bronił. Trzymał się zrazu na poziomie, potem się wzbił wyżej, potem zdawało się, jakby do gniazda na drzewie przez szlaki powietrzne drogi szukał i nie znalazł takowej, wreszcie skierował lot w stronę łąk, w którą go poprzedzały inne bociany i w którą za nim pociągnęły wszystkie. W manewrach tych było coś zagadkowego i przejmującego.

Gdy bociany ku odlotowi się miały, panna Tekla wzrokiem zapytanie wyrażającym na dozorcę spojrzała. Pana Piotra jednak nie było już za węgłem domu. Widziała go

z kijem pod pachą idącego szybkim krokiem, biegnącego prawie w kierunku tym samym, w którym bociany leciały.

— Maryś... — odezwała się tonem, w którym niecierpliwość brzmiała — prędzej: kapelusz!... parasolkę!... narzutkę!... rękawiczki!...

Dziewczyna podała jej przedmioty żądane i ona w chwilkę później ze schodów zbiegała, a gdy z pałacu wyszła, puściła się w kierunku, w którym się pan Piotr udał. Szła prędko. Uczucie, któremu się powodowała, było uczuciem pośpieszania na ratunek. Przed nią w dali szedł pan Piotr. Pomimo jednak, że pośpieszała, odległość pomiędzy nią a młodym człowiekiem zwiększała się ustawicznie, a to tym bardziej, że linia prosta, której się oboje trzymali, przechodziła przez pola uprawne i rowy. Pan Piotr rowy susem jednym przesadzał, przez pola uprawne szedł, jak się idzie po drodze bitej. Nic mu nie przeszkadzało, podczas kiedy przed hrabianką zawady stawały co moment i tak ją opaźniały, że w końcu za gruntu załomem młodego człowieka z oczów straciła, a zarazem i bociany gdzieś znikły, jakby zapadły. Doszła do drożyny, co pola dzieliła. Była zgrzaną, czuła się znużoną: mogłaby iść dalej, ale byłby to wysiłek pozbawiony racji pozornej nawet. Pomyślała o powrocie; zatrzymała się jednak, raz dla uczynienia zadość potrzebie spoczynku, po wtóre dlatego, że się spodziewała mieć na polu rychlej aniżeli w pałacu rozwiązanie zagadki, która się zawiązała w powietrzu.

Na drożynie wznosił się kopiec niewysoki, trawą, chwastami i polnym kwieciem porosły. Na kopcu tym usiadła i stworzyła na takowym obrazek wdzięczny, który by był zachwycającym, gdyby efektu nie psuły parasolka, kapelusz i odzież nie sielska. Z tym wszystkim, gdyby ją widział który z poetów epoki stanisławowskiej, bi-

skup Naruszewicz szczególnie, gdyby przy tym była ona córką z potentatów którego, wpływ na rozdawnictwo prebend i orderów wywierającego, wątpliwości nie ulega, iżby z siedzenia jej na kopcu, w otoczeniu traw i chwastów, wziął assumpt do napisania ody na cześć hrabianki. Przyrównałby ją do Danfe, do Armidy, do Lucyny, Cytery, Minerwy, zaklinałby się na bogi wszystkie, że nie jest „rymobajem", nazwałby ją boginią ziemską; na muzy by wołał, ażeby ustąpiły „z płonnym kwieciem Flory"; wyekspensowałby na rachunek jej mnóstwo wielkie słów pochwalnych mową wiązaną; mimo to wszystko nie oddałby uroku, jaki od tego na kopcu obrazka bił. Ani kwiatów nie zrywała, ani wianka nie wiła. Chwasty ją otoczyły; maki i groszki obok niej się wdzięczyły to barwą pąsową, to mnóstwem gron kwietnych, bławatki i kąkole miały minę wyzywającą: ona na nic nie zważała. Zadumana siedziała. Zrazu policzki jej okrywały rumieńce żywe, pierś podnosiła się pod naciskiem znużenia, oddychała prędko i mocno; z czasem jednak, powoli oddechanie jej uregulowało się i z policzków ustąpiły barwy, które z barwą maków o lepsze szły. Wypoczęła. Wstała, na szczycie kopca stanęła i w kierunku, w którym jej młody człowiek z oczu zniknął, spoglądać poczęła. Oczy sobie dłonią przysłaniała i wzrok natężała. Po chwili znów usiadła; po chwili znów wstała. Wyglądała z powrotem pana Piotra, którego — powiedzieć należy — z nazwiska ani z imienia nie znała, a wiedziała o nim tyle tylko, że robotom dozorował i że w chwili obecnej zeszedł się z nią na polu troski o losy wygnańców skrzydlatych.

Wyglądała; raz wstawała, znów siadała; niecierpliwiła się, czekała jednak.

— A!... — usłyszała nagle okrzyk za sobą.

Obejrzała się. Nie opodal za nią stał pan Piotr, który nadszedł ze strony nie tej, z której się go spodziewała. Odszedł przez pola, powracał drożyną.

Na miejscu się zwróciła i zmieszała. Na myśl jej przyszło, że może to nie wypada, ażeby ona z młodym człowiekiem sam na sam pozostawała. Przyszło jej to jednak na myśl nie w porę. Fakt się stał. Odrobić onego nie można już było. Zresztą myśl tę zneutralizowała ochota dowiedzenia się o rezultacie wycieczki młodego człowieka, który po wydaniu okrzyku, dodał:

— Przepraszam... Nie spodziawałem się spotkać pani...

— Wyszłam... — zaczęła z zająknięciem lekkim.

— Pociągnęło panią to co i mnie...

— Jakże się to skończyło?...

— Byliśmy świadkami dramatu, który się rozwiązał bardzo smutnie...

Panna Tekla wejrzenie pytające na młodego człowieka zwróciła.

— Bociany... zadzióbały... — odpowiedział.

— O Boże!... — zawołała. — Na śmierć?

— Na śmierć...

— Przewidywałem albo raczej przeczuwałem coś podobnego, gdym patrzał na ów sejm ptasi w powietrzu... Zainterweniować chciałem; niestety... przybiegłem za późno, pomimo że... widzi pani...

Siebie pokazał. Odzież jego napojona była wodą, która z rękawów i z pół ociekała.

— Pan?... co?... — odezwała się zdziwiona.

— Egzekucja odbywała się na trzęsawiskach, za rzeką, tam gdzie wiklina rośnie... Nie miałem czasu rozbierać się... Na nic się to jednak nie zdało... Znalazłem ją bez życia....

— Ją?...

— Bocianicę... matkę...

— Och!... — jęknęła hrabianka głucho i dodała głosem wzruszeniem nabrzmiałym: — Zgrcza...

— Ha... Tak się wyraziła sprawiedliwość ptasia... Dowód to, że ptaki posiadają pojęcia mające niejakieś do pojęć ludzkich podobieństwo...

Panna Tekla na razie nic na uwagę tę nie odpowiedziała. Zwróciła się i iść poczęła ku Śródborzu w towarzystwie pana Piotra. Towarzystwo to nie zawadzało jej, na co dowodem ta posłużyć może okoliczność, że kiedy się pan Piotr przyzostał nieco celem strzepnięcia z odzieży wody, ona się zatrzymała i poczekała, a gdy się on do niej przyłączył, zaczepiła go w sposób następujący:

— Oburza mnie to...

— Nie dziwię się... oburza to bowiem i mnie, pomimo żem na rzeczy takie zahartowany lepiej zapewne aniżeli pani...

— To więc tłumne nad gniazdem latanie był to sąd?...

— Więc... sąd... coś podobnego, co się skończyło wyrokiem...

— Okropnym... — dopowiedziała hrabianka z naciskiem.

— Okropnym?... zapewne... Wszelako rzeczy takie ściśle zależą od pojmowania sprawiedliwości...

— Jak można pojmować sprawiedliwość podobną!...— odrzekła tonem protestacji.

— Bocianica nie umiała obronić gniazda, pozwoliła je na miejsce inne przenieść i dzieci sobie zabrać...

— Czyż?... — zapytała panna Tekla, wykładem tym zafrasowana.

— Inaczej chyba wytłumaczyć niesposób faktu, któregośmy świadkami byli... Pani może ma tłumaczenie inne?...

— Ja?... nie...

— Znajduje pani moje trafnym?...

— Ach, panie... — westchnęła panna Tekla.

Pan Piotr zamilkł tak nagle, jakby się za język ugryzł, i szedł dalej w milczeniu. Milczenie przerwała panna Tekla.

— Która to godzina?... — odezwała się.

Młody człowiek w zanadrze ręką sięgnął, zegarek srebrny wydobył i odpowiedział:

— A?... zamókł i stanął... Stanął na dziewiątej i kwadrans, to znaczy, żem się o kwadrans na dziesiątą do wody rzucił... Zatem nie może być więcej jak pół do jedenastej... Nie ma więcej... — dodał na słońce spojrzawszy.

— Paneś się do wody rzucił niepotrzebnie...

— Nie zapytywałem siebie, czy potrzebnie, czy nie...

— Mogłeś utonąć...

— Nie pomyślałem o tym...

— To źle...

— Źle.. to prawda... ale.. — zaczął, jakby chciał coś na usprawiedliwienie własne rzec.

— Szlachetnie... — podpowiedziała hrabianka głosem jakby spod pedału wychodzącym.

— I o tym nie myślałem... Wydawało mi się jeno, że na czas zagrożonej bocianicy z pomocą przybędę...

— Rzeka w miejscu tym głęboka?... — zapytała.

— No... niepłytka...

— Pan pływasz doskonale?...

— Nie doskonale; pływam jednak... Zawadzała mi odzież trochę, ale oparłem się prądowi.... Silny jestem...

Usłyszawszy wyrazy ostatnie panna Tekla mimowolnie zmierzyła go okiem z ukosa, jakby dla przekonania się, czy nie jest to przechwałka. Sprawdzenie od oka rzeczy tej trudnym było z powodu, że budowa młodego człowieka nie zdradzała kształtów atletycznych. Zbudowany był mocno, regularnie, szykownie nawet, ale nie tak, ażeby się śród ogółu ludzi młodych we wieku jego wyróż-

niał. Wyróżniał się jednym chyba: zacięciem zuchowatym, świadczącym, iżby nie pozwolił nikomu w kaszę sobie dmuchać, a zarazem, że na niego jak na Zawiszę liczyć można. Zresztą nic w nim osobliwego nie było. [Miał włosy płowe jak Polaków tysiące,] oczy siwe, zarost na twarzy blond; wąsy mu bujnie wargę zwierzchnią okrywały, co było znakiem, że epokę młodości pierwszej pozostawił już za sobą, wkraczając we wiek młodzieńczej dojrzałości, przychodzący w mężczyznach po skończeniu lat dwudziestu pięciu. Pięknością się nie odznaczał, luboć do przystojności męskiej zupełne posiadał prawo; tak dzięki wzrostowi przechodzącemu nieco mierny jako też rysom oblicza regularnym i wyrazem otwartości a szczerości nacechowanym. Gdy przeto powiedział „silny jestem", panna Tekla okiem go zmierzyła i prawdę słów jego uznała. Uważała jednak za potrzebne dodać:

— Wszelako... I najsilniejszym nieszczęścia się zdarzają...

— Zapewne... — odrzekł. — Rozważnym być potrzeba... Zdarzają się jednak wypadki tak naglące, w których na rozwagę czasu nie ma... Ten na przykład...

— Ach!... — przerwała hrabianka. — Wypadek ten pamiętnym mi na zawsze pozostanie...

— I mnie... Jest on nie tylko dramatyczny, ale znaczenia głębokiego pełen w stosunku do nas, ludzi, na mocy tego pokrewieństwa, jakie pomiędzy nami a zwierzętami zachodzi... Fenomeny jedne tłumaczą się za pomocą drugich... Granice się schodzą i przenikają... Na mnie wielkie sprawiła wrażenie ta sprawa bociania, przedstawiająca ideę miłości ziemi w pierwocinach onej... Hm, hm?...

Głowę spuścił i w milczeniu a zamyśleniu szedł przez czas jakiś. Po chwili odezwał się:

— I tak tedy, na odpowiedzialności naszej mamy sieroty.

— Czym się one żywią?... — zapytała hrabianka.

— Żabami, wężami, konikami polnymi, rybami...

— Skądże im dostarczę tego?...

— Niech to panią nie obchodzi... Biorę bocianięta na siebie i upewniam panią, że je odhoduję, jak należy... Obecność moja w Śródborzu jak raz starczy na to, ażeby dzieło te do końca doprowadzić...

## V

Nikogo to nie zdziwi zapewne, gdy powiemy, że pan Piotr wywarł na hrabiankę wrażenie niejakie. Wrażenia tego rodzaju są rzeczą naturalną; w tym zaś razie naturalność wsparła prawo znane pod nazwą prawa kontrastów. Gdyby pan Piotr nie był członkiem warstwy towarzystwa poziomej; gdyby to był jaki gentleman, płynący wierzchem fal społecznych w łodzi, z rudlem lub bez rudla, gdyby gentleman ów zainteresował się sprawą bocianów i dla niej odbył biegiem przez pola przechadzkę, uprzyjemnioną spławieniem się w rzece w odzieży: panna Tekla uważać by to mogła jako rzecz prostą i naturalną — jako objaw uczucia pokrewnego uczuciu, które ją do wzruszania się losem ptaków przyprowadzało. Z nastroju jednakowego jednaki wynikłby dźwięk. Byłoby to w porządku. Porządek ów — do jakich prowadziłby następstw? Najprawdopodobniej do żadnych, chyba iżby zachodziły racje jakie, towarzyskie, majątkowe, sercowe itp. i te by następstwa na innej sprowadziły drodze. Tu zaś racje owe nie istniały, a fakt przedstawiał się na kształt odkrycia nadzwyczajnego i niespodzianego. W sercu człowieka znalazło się nie tylko uczucie, ale i oświetlenie uczucia pojmowaniem, ilustrowanie onego wiedzą. Z kil-

ku młodego człowieka wyrzeczeń poznała, a raczej odczuła w nim panna Tekla osobistość, co się uczyła i myślała. Wynikająca stąd dostojność zaimponowała jej i podniosła w jej oczach prostego dozorcę do znaczenia, którego określić nie umiała. To ostatnie najbardziej ją zajmowało.

A nie wiedziała, jak rzekliśmy wyżej, kto on i skąd.

— Maryś — rzekła do pokojówki swojej po powrocie z wycieczki — czy ty znasz kogo z robotników?...

— O, a jakże!... — odpowiedziała dziewczyna. — Jakżebym znać nie miała!...

— Mularzy?... cieślów?...

— Wszystkich...

— I dozorcę?...

— A nie... Znam tych, co się z ludźmi wdają...

— Onże się nie wdaje?...

— No... ot... Nie chowa się jak pies przed muchami, ale...

— Ale co?...

— Kiedy nie przy robocie, to przy książce: czyta i pisze, pisze i czyta; albo... z fuzją chodzi, a nosi ze sobą torbę i młotek i kamyki zbiera... U niego w stancji, słyszę, kamyków siła... Nie wiedzieć, na co mu to...

— Jak się nazywa?...

— Nazywają go panem Piotrem...

— A więcej...

— Nijak...

— Być nie może!...

— No tak... Nie słyszałam, ażeby kto nazwał go inaczej...

— Nie wiesz, skąd on?...

Nie umiała na to dziewczyna odpowiedzieć. Wiedziała o pochodzeniu robotnika każdego prawie: ten z Bydgoszczy, ów od Torunia, inny z Poznania; o nim wiadomości

tej nie posiadała; zdawało się jej tylko, że „skądsik“ z daleka, bodaj czy nie zza kordonu. Nie była wszakże pewna.

— On tu od początku roboty?...

— Dyć od początku... — odpowiedziała. — On tu wszystkim sam rozporządza. Ludzie powiadają, że on tak jakby warfitekt...

— Kontenci z niego?...

— Ano... zdaje się...

Indagacja ta koniuszczka nawet zasłony nie podniosła, owszem, gęstszym postać dozorcy skryła obłokiem i otoczyła ją zagadkowością. Panna Tekla dowiedziała się tylko, że mu na imię Piotr. Imię nic nie mówi. Piotrem być może syn chłopa, mieszczanina i księcia udzielnego. Domysł, że on zza kordonu, otwierał szerokie dla przypuszczeń pole. Katastrofy rozmaite wyrzucały stamtąd ludzi różnych i stawiały ich częstokroć w położeniu kondycji ich społecznej nie odpowiednim. Hrabianka słyszała nieraz o potomkach wojewodów, zmuszonych biciem kamieni na życie zarabiać; wiedziała też nieco o położeniu ojca, znajdującym się także w stanie opłakanym, mającym w perspektywie katastrofę, a za powód onej przyczyny analogicznie podobne do tych, co tam katastrofy sprowadziły. Czyż matka nie uprawiała dyplomacji? A zatem — kto wie, co za figura kryła się pod postacią dozorcy? Może to jaki Jagiellonów potomek. Kto wie!...

To „kto wie“ potęgowało interesowanie się młodej dziewczyny młodym człowiekiem i pobudzało do utrzymywania stosunku, który się nie chcący nawiązał.

Jakże stosunek ów utrzymywanym być mógł?

We względzie tym nastręczały się sposoby rozmaite, a pomiędzy nimi jeden tylko miał pewność za sobą. Młodzi ludzie opiekowali się bocianiętami osieroconymi. Był to ich, że tak powiemy, mianownik wspólny. Poza nim sposób najprostszy przedstawiał się pod postacią wprowa-

dzenia dozorcy do towarzystwa rodziny. Co do tego atoli, zachodziła komplikacja. Wprowadzenia panna Tekla sama dokonać nie mogła; nie pozwalała na to przede wszystkim przyzwoitość, z którą by zerwać należało, gdyby hrabianka przyswoiła sobie prawo, do którego się nie poczuwała. Uczynić to należało za pomocą pośrednictwa czyjegoś. Czyjegoś? — ojca, matki albo jednego z braci, albo wreszcie księdza proboszcza.

Przegląd osobistości tych przedstawiał się, jak następuje.

Ksiądz proboszcz, człek w wieku, duszpasterstwa pilnował i do niczego się nie mieszał.

Bracia, jeden w służbie rzadko do domu zaglądał, drugi zaglądał częściej, lecz, sobą zajęty, nie nadawał się na pośrednika w tej mierze.

Matka uprawiała — jak rzekliśmy wyżej — niwę dyplomatyczną, poza którą jeżeli myślą wybiegała, to myśl jej przybierała znaczenie życzeń tyczących się „dobrego" pożenienia synów i „dobrego" wydania córki za mąż. Były to jeno pia desideria. Ważnymi zajęta sprawami nie miała ani czasu, ani sposobu zajmowania się losem dzieci.

Ojciec — ten jeden pozostawał tylko, raz dlatego, że w domu najczęściej przebywał, po wtóre dlatego, że panna Tekla odczuwała w sobie miłość jego. Graf kochał jednakowo córkę i synów. Różnicy we względzie uczuć rodzicielskich pomiędzy dziećmi nie czynił. Różnica atoli nie nasuwała się sama, a pochodziła stąd, że synowie nie byli po myśli grafa, że mu się nie udali, że wyobrażenia ich i aspiracje w innym szły kierunku aniżeli wyobrażenia i aspiracje jego. W rzeczy, która go zajmowała najżywiej, która stanowiła treść życia jego, okazywali się oni indeferentystami, rezygnantami. Smuciło to starego grafa; pragnął czego innego, dlatego jednak, że się pragnieniom jego nie stawało zadość, dla synów serca nie zamykał, a tylko chęt-

niej aniżeli do nich garnął się do córki, a to dlatego już samego, że ona się garnęła do niego. Częściej zresztą bywali ze sobą razem. Panna Tekla była niejako do gruntu przypisana: witała ojca, gdy wracał, żegnała, gdy odjeżdżał, osładzała grafowi staremu w domu pobyt i szła mu w ład. Wziąć i to na uwagę należy, że ojcowie do córek, jedynaczek zwłaszcza, mają zazwyczaj słabość. Słabość tę hrabianka odczuwała, dlatego też na ojca w sprawie uregulowania stosunków z młodym człowiekiem, co się przez lat parę pobytu w Śródborzu do rodziny jej nie zbliżył, rachowała. Rachuby tej atoli nie uważała za pewną i niezawodną, z powodu właśnie tego oddalenia, w jakim pan Piotr trzymał się czy trzymany był. Czuła, iż potrzebną jest ostrożność w przystępowaniu do rzeczy.

Nie kwapiła się więc.

Dni kilka upłynęło od dnia wiecu owego bocianiego, co się zakończył tak smutnie.

Przez czas ten panna Tekla tym się jeno ograniczała, że miała gniazdo na oku, i przekonała się o troskliwości, z jaką pan Piotr około bocianiąt chodził. W ciągu dnia nie widać go było. Trzymał się przy robotnikach, z których jedni rozbierali dom stary i uprzątali gruzy, drudzy mur nowy wznosili. Dostrzegała go tu i tam; dawał wskazówki i rozkazy i ani się zwracał w stronę drzewa zeschłego, tak że zdawało się, jakby go ono nie obchodziło zgoła. W ciągu pierwszych dni paru nie wiedziała, co o tym myśleć, i niepokoiła się, aż wieczora jednego dopatrzyła drabinę i na drabinie postać ludzką. Nie mógł to być kto inny, tylko on. Ale czemuż do gniazda dowiaduje się wieczorem? Nazajutrz jednak przekonała się, że się dowiaduje i rano, obudziwszy się bowiem równo z dnia świtaniem, widziała go od drzewa wracającego z drabiną na plecach i z naczyniem jakimś, kształt rzeszota mającym, w ręku. Od momentu tego zrywała się z łóżka bardzo rano i widywała codziennie

pana Piotra, noszącego żer ptakom. To, co się jej rzeszotem wydawało, rzeszotem było w rzeczy samej. Przychodził, drabinę do drzewa przystawiał, właził po niej i karmił bocianięta, które szeroko dzioby czerwone roztwierały. Dostrzegła, że on je nie tylko karmił, ale i okrywał, każdego rana bowiem zdejmował z gniazda osłonę mającą pozór baranicy czy też czegoś podobnego. Przypatrywanie się z okna tej czynności stało się dla panny Tekli potrzebą, której się oprzeć nie mogła tak dalece, że dnia każdego budziła się i z łóżka zrywała przed wschodem słońca. Symptom ten na zaznaczenie zasługuje. Stanowi on dowód i świadectwo — czego?

Przychodziła jej do głowy myśl pewna, którą ona stale odpychała, jak się odpycha wyrzuconego za drzwi natręta. Myśl owa się w zapytaniu: czym pan Piotr bocianięta karmi? — przejawiła. Nie śmiała jej w oczy spojrzeć. Razu atoli pewnego zawołać mogła, jak wołała Włodzimierza Wolskiego „Siostra mleczna“:

„Ach! co oczy me ujrzały!“

W ręku pana Piotra wywijał się wąż.

— Jezus Maria!... — krzyknęła oczy sobie dłońmi zasłaniając i do drugiego pokoju uciekając.

Okrzyk jej zbudził Marysię. Zerwała się i pobiegła.

— Co to?

— Nic... — odpowiedziała panna Tekla.

— Panienka tak skrzyknęła...

— Coś mi się wydało...

Dziewczyna odeszła. Panna Tekla długo uspokoić się nie mogła. Wąż dwojakim ją przejmował uczuciem: uczuciem wstrętu i uczuciem obawy — wstrętu do tego, co go w ręce brał; obawy dlatego, że wszystkie węże za jadowite miała, a zatem młody człowiek narażał się. Narażał się dla ptaków.

Dla ptaków?

Przypuszczała to i nie przypuszczała. W głowie się jej mąciło. Dla ptaków się na takie wystawiać niebezpieczeństwo? Ale to nie dla nich chyba. Dla kogóż więc?

Zapragnęła się z młodym człowiekiem rozmówić, a to w celu nie innym, jak ażeby mu wyperswadować, że nie należy lekceważyć tak zdrowia i życia — życia, które...

Jak jednak pragnieniu temu zadość uczynić?

Myślała. Myślała od rana do południa. O południu nieobecny od dni kilku ojciec nadjechał.

Graf w dobrym przybywał humorze. Interesy poszły mu pomyślnie. Wytrząsnął potrzebne na dokończenie budowli pałacu pieniądze i przywoził córce upominków kilka, zakupionych u modniarek w Berlinie.

— Zmęczyły mnie te podróże... uch! — odezwał się, siadając i oglądając się.

Przenosiny w jego odbyły się nieobecności.

— Kuso to jakoś wygląda... — rzekł, okiem po meblach i ścianach prowadząc.

— Nie było czym, papo, pokojów zapełnić... — zauważyła hrabianka.

— Na pierwszy raz... na pierwszy raz... — odparł. — [Nie od razu Kraków zbudowano...] Z czasem ten się zapełni... Oglądałem meble (tu wyliczył firm kilka kupieckich) i pytałem o cenę... kilka tysięcy talarów. W tej chwili myśleć o tym nie można, ale... pomyślimy... Niezłe mam od matki wiadomości... Coś się klei... klei... No... A cóż tu — zapytał — słychać?

— Wszystko dobrze, papo, drogi...

— Przez podwórze przejeżdżając widziałem, że murują i że domisko stare w gruzach już...

— W gruzach... — powtórzyła hrabianka posępnie.

— No?

— Żal mi było...

— Za ścianami, co się ledwie w kupie trzymały?

— Za ścianami i za bocianami...

— Dziecko z ciebie... — bąknął graf sentencjonalnie.

Panna Tekla opowiadać się jęła historię o bocianach, która szlachcica żywo zainteresowała. Słuchał, pytał, fajkę palił; wreszcie do stołu podali; przechodząc do sali jadalnej, rzucił córce wyrazy następujące:

— Mnie by tak jak tego bociana nie osądziły sądy nasze najsurowsze... Gniazda nie opuszczam, ale odnawiam i obwarowuję...

Usta wydął, wąsy wygładził, obiad z apetytem zjadł i po obiedzie zaproponował pannie Tekli, ażeby wyszła z nim razem celem obejrzenia postępu robót.

Panna Tekla nie dała sobie tego dwa razy mówić. Wnet się wybrała i w chwilę później, parasolką się osłaniając, towarzyszyła ojcu, który krokiem powolnym, jak gospodarzowi i człowiekowi poważnemu przystało, obchodził pałac wewnątrz i zewnątrz, zaglądał tu, tam i ówdzie, gdzieniegdzie się dłużej zatrzymywał, uwagi czynił lub wskazówki dawał. Z kolei zaszedł do budującego się pawilonu i zastał przy takowym pana Piotra.

— A?... jakże się tam miewamy?... — pozdrowił młodego człowieka.

Pan Piotr na pozdrowienie uchyleniem kapelusza odpowiedział.

Panna Tekla ze strony swojej coś dodać chciała celem złagodzenia szorstkości tonu, jakim się graf odezwał, ale się wstrzymała spostrzegłszy, że pan Piotr na szorstkość odpowiada sztywnością, świadczącą, jako sam godność własną obronić potrafi.

— Roboty postępują?

— Postępują...

— No... cóż?...

— Nic...

— Nic — to niewiele...

— Tyle jednak, co na zapytanie pańskie odpowiedzieć można...

— Uhm?... Proszę pana, a — zaczął graf. — Uhm... Wszak pan wiesz, że to stajnie być mają?...

— Budujemy z planem w ręku, ściśle wedle oznaczenia...

— Podłogi pochyłe... do ścieków...

— Pierwej wzniesiemy mury, założymy sufit, postawimy dach...

— Tak, uhm... A drabiny i żłoby, pan wiesz... angielskie...

— Żłoby kamienne kują się... Drabiny z żelaza lanego... mam już na składzie...

— Lufty, okna...

— Wszystko będzie jak należy, to jest, jak się pan dobrodziej z budowniczym ułożył...

— Klatki... — dorzucił graf.

— O tych nic nie wiem, klatki bowiem w stajni, jak meble w domu, nie wchodzą do zakresu budownictwa...

— Ano... tak... Panowie się liczycie ściśle...

Na to, co z akcentem przymówki wyrzeczone było, młody człowiek nic nie odpowiedział. Graf zapytał:

— Kiedyż się to skończy?...

— W jesieni, jeżeli nie zajdzie przeszkoda jaka...

— Uhm... — mruknął graf z akcentem nieukontentowania, była to bowiem pod adresem jego przymówka, tycząca się nieakuratności w wypłatach. — Uhm... — powtórzył i dodał: — Przeszkoda nie zajdzie żadna...

I poszedł dalej, nie kiwnąwszy panu Piotrowi głową na pożegnanie. Za to się mu panna Tekla ukłoniła i on się jej odkłonił z uśmiechem, smutkiem okraszonym, smutkiem, który miał wyraz taki, jakby było w nim porozumienie pomiędzy młodym człowiekiem a panną Teklą, jakby wyraz

ów powiadał: „Widzisz, pomiędzy mną a tobą wznosi się wał nie do przebycia“.

Panna Tekla doznała w sercu ściśnienia i zarazem coś na kształt nieokreślonego jakiegoś a zuchwałego postanowienia w duszy się jej zarysowało.

Towarzyszyła ojcu dalej. Udali się do parku, który był już prawie założony, drzewa pogrupowane i posadzone, trawniki poobsiewane, szpalery postrzyżone; pozostawały jeszcze drobne szczegóły, które graf oglądać chciał.

— Brak wody i grot... — mówił przechodząc powoli z ulicy w ulicę. — Tu zdałby się strumyk... — rzekł, laską znacząc — rozlewający się w jeziorko... Na strumyku mostki, na jeziorku łabędzie, sprawiałyby efekt wspaniały, przy wierzbach płaczących... Ha, będzie to, ale poczekać musimy...

Hrabianka nic na uwagi ojca nie odpowiadała.

— Tam by — zaczął graf, laską wskazując — przydał się kopiec, który byśmy przezwali kopcem wojewody, na pamiątkę pradziada twego...

Panna Tekla na to nic.

— Cóż?... — zapytał.

— Co, papo?... — odrzekła.

— Czyś nie słyszała, com mówił?...

— Papa... mówił... — zaczęła powoli.

— Czegoś moja Lucia roztargniona... Gotowem pomyśleć, że podczas mojej w Śródborzu nieobecności był ktoś, co ci oczko zaprószył... Przyznaj się... no... — nalegał żartem.

— Nie był nikt taki...

— Ej?... Ludzi rozpytam...

— Niech papa pyta... — odrzekła tonem, w którym rezygnacja brzmiała, jakby w rzeczy samej żartobliwe ojca przypuszczenie niesłusznym nie było.

Ten ów ton sprawił, że graf stanął, na córkę spojrzał, spojrzenie na niej przez chwilę zatrzymał i do poprzedniego spokoju powracając zaczął:

— Mówiłem o kopcu oto tam... Byłby efektowny...

— A... tak...

— Nazwalibyśmy go kopcem wojewody...

— A dobrze...

— Gdy może być kopiec Kościuszki, czemużby być nie miał kopiec wojewody...

— Jeżeli wojewoda wsławił się jak Kościuszko...

— Ba... Na sławę jest miara, która zależy od zakresu działania... Gdyby pradziadek twój znajdował się w położeniu Kościuszki, musiałby robić, co on robił, i mógłby dojść sławy równej sławie jego... W takim razie sypano by mu kopce pod Krakowem... Że zaś okoliczność podobna nie zachodzi, usypać mu możemy w Śródborzu... Co?... — zapytał.

— Jak się papie kochanemu podoba...

— Odpowiadasz, jakbyś o czymeś innym myślała albo jakbyś mi nie była rada...

— Ach! papo... cóż papa powiedział!... — zawołała głosem strwożenia.

— A cóż!... ty, coś zazwyczaj szczebiotała i gruchała, albo mi nie odpowiadasz, albo tak mówisz, jakbyś kłaki w gębie miała...

— Niechże mnie papa nie posądza!... — odparła i ojcu rękę pod ramię wsunęła. — Chodźmy, coś ciekawego papie memu pokażę...

Poprowadziła ojca na granicę parku i rękę wyciągając wskazała mu drzewo uschłe.

— No?... — zapytał.

— Nie widzi papa?...

— Widzę drzewo, które to kpowi Bartkowi ściąć kazałem i on nie ściął...

— I nie zetnie...

— Czemu?...

— Ja nie pozwolę...

— A?...

— Niech mu się papa jeno dobrze przypatrzy... Znajduje się na nim coś, czego dawniej nie było...

— Gniazdo...

— Bocianie... to samo, co dach starego domu zdobiło...

— Więc to stąd bocianica ofiarą padła?

— Stąd, papo...

— Ależ... — rzekł po chwili przypatrywania się — ono nie próżne... Widzę tam bocianięta...

— Sieroty... Znajdują się one pod opieką... — zawahała się przez chwilę i dodała — moją...

— Nie ty przecie nosisz im żaby i węże...

Na wspomnienie węży hrabianka drgnęła. Westchnęła i odrzekła:

— Nie...

— A wiesz co, moja Luciu — podchwycił graf — to drzewo z tym gniazdem, tak jak jest, do parku przenieść każę!... Myśl wyborna!... Kopiec, na kopcu drzewo zeschłe, na drzewie gniazdo, w gnieździe bociany...

— Ja na to nie pozwolę, mój papo...

— Zważ jeno... Ozdoba symboliczna...

— Ale ja nie pozwolę... — powtórzyła z przymileniem — a papa nie postąpi sobie wbrew woli jedynaczki swojej?...

Do ojca się przygarnęła.

— Nigdy w świecie... — odpowiedział graf.

— Nigdy?... — zapytała z akcentem znaczącym.

— Nigdy...

— Nawet, gdyby wola jej z wolą papy się nie zgadzała?...

— Masz tego dowód na tym drzewie... — odrzekł graf na pół serio. — Ja chcę, ty nie chcesz i stanie się po twoje-

mu... Odwołam rozkaz, który Bartkowi dałem... Czy potrzeba ci jeszcze dowodu innego?...

Panna Tekla nic na to nie odpowiedziała, głęboko jednak westchnęła i z ojcem ku pałacowi się zwróciła.

## VI

Hrabianka wzięła przed się postanowienie pomówienia z panem Piotrem we względzie węża. Do względu tego jednak przybywał inny, bodaj czy nie ważniejszy: potrzeba moralna zbliżenia się do młodego człowieka, nie cenionego przez jej ojca tak, jak na to zasługiwał — zbliżenia się: w jakim celu?... Czy to się o celu w razie podobnym myśli! W życiu cele przychodzą nie od razu, zarysowując się z początku mglisto w dali niewyraźnej i tak przeszkodami najeżonej, że nie to o dojściu do onego, ale o puszczeniu się w kierunku, w którym on majaczy, ani się myśli. Mimo to w kierunku tym się idzie. Na drogę tę wprowadza sama rzeczy natura, kierownica naczelna i absolutna wszystkiego, co się w świecie dzieje. Ona to bocianom w jesieni wskazuje drogę na południe; ona to hrabiance podszeptywała potrzebę zbliżenia się do traktowanego przez ojca przez ramię dozorcy.

Chodziło jeno o pretekst.

Pretekst był do znalezienia łatwy. Nastręczało takowy gniazdo. Cóż naturalniejszego, że się nim panna Tekla interesowała?

Wieczora doczekała, wieczora pięknego, letniego, dyszącego wonią i oświetlonego gwiazdami, które się wyiskrzyły na niebie lazurowym. Droga mleczna zaznaczyła się wyraźniej jak zwykle. W powietrzu brzmiał przytłumiony nieco hymn, na który składały się przenajrozmaitsze śpiewające i krzyczące stworzenia, rade życiu. Gdzieś w dali odzywały się kukania jakieś; kiedy niekiedy w gó-

rze słyszeć się dawały świsty, jakby pochodzące od przelotu po cichu. Widoki tonęły w cieniach nadających przedmiotom kształty fantastyczne. Słowem, noc miała nastrój romantyczny, pomimo że brakowało jej świadka romantyzmem specjalnie nacechowanego — księżyca, roniącego blask srebrny.

Ba, nie! I księżyca nie brakowało. Wynurzał się on spoza lasów w postaci sierpa wąskiego, w otoczeniu obłoków białawych, które się na widnokręgu wałęsały. Panna Tekla zoczyła go, gdy z balkonu do parku schodziła. Zoczyła, zatrzymała się, w księżyc się wpatrzyła i oblała oblicze wyrazem zadowolenia. Nie dziw. Zadowolenie pochodziło stąd, że księżyc na nowiu pokazał się jej ze strony prawej. Wiadomo, że jest to prognostyk bardzo dobry. Nie mogło to nie ucieszyć jej. Westchnęła i po cichu sama do siebie szepnęła:

— Boże...

Boga na świadka wzywała, co stanowiło rękojmię we względzie tak czystości intencji jako też nieświadomości pobudek istotnych, wyzywających ją na krok tak śmiały.

Krok ten śmiałym był względnie. Gdyby się ona na pana Piotra jak na dozorcę zwyczajnego zapatrywała, śmiałość zmniejszyłaby się znacznie, zeszłaby nawet do zera. W oczach hrabianki jednak był on czymś więcej — czymś w rodzaju człowieka przechodzącego miarę ludzi pospolitych a zatem niebezpiecznego dla dziewczyny młodej, za niepospolitościami — jak zwykle — się oglądającej.

Na księżyc popatrzyła, westchnęła i po parku krążyć poczęła. Udała się najprzód w stronę przeciwną, jakby dla nabrania rozpędu; obeszła trawnik środkowy dookoła i zapuściła się w ulice prowadzące ku obwodowi, gdzie stało drzewo zeschłe. Obwód ów znajdował się podówczas w stanie projektu. Nie zaznaczał jeszcze onego ani płot, ani parkan, ani rów nawet. O sposobie ogrodzenia graf myślał

dopiero, nie wiedząc na pewno, na co się zdecydować. Nie zachodziła przeszkoda żadna do wejścia z pola do parku i do wyjścia z parku w pole. Tymczasowość ta sprzyjała pannie Tekli w tym względzie, że odejmowała uskutecznieniu zamiaru jej charakter umyślności. Przechadzać się po parku w piękną noc majową — wszak wolno; wolno również nie mając potrzeby przez nie przełazić ani przeskakiwać, ani żadnych drzwi zamkniętych otwierać, przekroczyć granicę idealną. Najsurowiej pojmowana sprawiedliwość temu na przeszkodzie nie stawała. Hrabianka pod względem tym znajdowała się całkowicie w porządku i szłaby z sumieniem spokojnym, gdyby nie głos jakiś wewnętrzny, który jej o niebezpieczeństwie mówił. O niebezpieczeństwie — jakim? O jakimeś nadzwyczajnie ponętnym — ponętnym dlatego właśnie, że go nie znała.

Zapuściła się w ulice ciemne i cofnęła się. Ciemność pochodziła od drzew, w których się odzywały szmery nocne. Postrach ją zdjął. Obeszła trawnik dokoła i kiedy na przeciwnej onego stronie się znalazła, kroku przyspieszyła, przyszło jej bowiem na myśl, że się spóźnić może. W miarę jak się do zarośli zbliżała, strach ją znów przejmował. Weszła i znów cofnęła się. Powzięła już zamiar do pałacu powracać i albo rzecz do jutra odłożyć, albo też Marysię wezwać. Ale — rozmyśliła się. Odkładanie wydało się jej czymeś zbrodni równym. Po cóż bowiem wyszła? — po to, ażeby na młodym człowieku wymóc nieigranie z niebezpieczeństwem, powtórzyć się mogącym nazajutrz. W negocjacji tego rodzaju obecność Marysi byłaby jeno zawadą, przy Marysi bowiem innym by przemawiać musiała tonem — tonem nie takim, jaki w niej brzmiał. Nie — Marysi wzywać nie mogła do tego tylko, ażeby przejść pomiędzy drzewa.

Zebrała się z odwagą, weszła, szybko przebiegła i w samą dobrą porę to zrobiła, albowiem kiedy się z zarośla wynurzała, pan Piotr drabinę do drzewa przystawiał.

— A to co!... zawołał, gdy ją szybko idącą ujrzał, i wnet dodał: — A, to pani... nie poznałem...

Panna Tekla w pierwszej chwili przemówić nie mogła.

— Wyszła pani w celu dowiedzenia się o pupilów...

— Tak... to jest... — bąkać zaczęła oddychając z wysiłkiem niejakim. — Wyszłam do... pana.

— Cóż mi pani rozkaże?...

— Nic, ach... nic... Przychodzę nie z rozkazem, ale... z prośbą...

— Słucham pani...

Ton, jakim się młody człowiek odzywał, ton grzeczny, ale zimny — zimny — mieszał ją.

— Chcę, chciałabym prosić pana... Ale — poprawiła się i rezolutniej nieco przemówiła — nie wiem, czy mam prosić prawo...

— Pani!... — odparł.

— Prawo takie nie narusza się...

— Ja myślę, że prawo proszenia posiada każdy i w odniesieniu do niego o naruszeniu mowy być nie może...

— Jam też źle się wyraziła... Jam co innego na myśli miała....

Młody człowiek na drabinie przedmiot jakiś zawiesił.

— Chciałam — ciągnęła — mieć, jeżeli nie pewność, to przynajmniej nadzieję, że prośba moja wysłuchaną zostanie...

— Jak skoro zadośćuczynienie takowej nie przechodzi możności mojej... Ja mogę tak mało!...

W wyrazach ostatnich czuć się dał inny nieco, giętszy ton, co pannę Teklę ośmieliło.

— Mało?... — powtórzyła ze współzapytaniem. — Przecie... gdy o zapanowanie nad sobą chodzi?...

— To mi się udaje niekiedy...

— A więc... — podchwyciła oddychając z głębi piersi — prosić chcę pana... ażebyś... ochraniał siebie...

Prośba ta wydała się pannie Tekli niewłaściwą w momencie, kiedy już wymówioną została. Gdy już z ust jej wypłynęła, spostrzegła się, że ją umotywować pierwej, opatrzyć wstępem stosownym należy. Dodała więc:

— Bo... widzi pan, człowiek nie dla siebie samego tylko żyje...

Wymówione to było z naciskiem, który nie mógł pana Piotra nie uderzyć. Brzmienie wyrazów szło z serca. Co z serca idzie, do serca trafia. Nacisk opierał się na „nie dla siebie", a wyrażenie to inaczej by zabrzmiało w ustach obojętnych. Czuć w nim było, że wypłynęło nie z wyrozumowania, ale z uczucia, że stanowiło punkt ogniskowy nie kazania, ale troskliwości, tej troskliwości macierzyńskiej, która w sercu dziewiczym znamionuje budzenie się miłości.

— O pani!.. — odparł.

— Nieprawdaż?... — zapytała z uczuciem.

— Wielka prawda... Uznaję ją i uznawałem zawsze...

— Owóż... proszę... proszę pana... — i po chwilce z akcentem przymilenia, tonem ujmującym, dodała: — ażebyś życie swoje oszczędzał...

Zdanie to niespodziane zdziwiło młodego człowieka. Zdziwiło go i zdumiało, a to tym bardziej, że odczuwał głębokość owego, że zatem domyślał się, że miało ono powód jakiś, który był tajemnicą dla niego .

— Alboż — zapytał — życia... nie oszczędzam?...

— Igrasz pan z nim...

— Pani!... — zawołał. — Wypowiedzieć nie umiem zdumienia, w jakie mnie wyraz ten wprawia... Proszę mi zagadkę tę rozwiązać... Coś pani widziała?...

— W ręku pańskim... węża...

— Węża?... — podchywił odpowiadając tonem tonowi, z jakim wyraz ten z ust panny Tekli padł.

— Dziś rano, kiedyś bocianom jeść dawał, widziałam...

— Ach!... — przerwał domyślając się nareszcie wszystkiego. — Niechże się pani uspokoi... Wąż ów nie jest bynajmniej jadowitym... Stworzenie niewinne.. nie kąsające nawet... Nie wszystkie węże należą do tego rodzaju, co przeciął nić żywota Kleopatry... Wężyk ów, coś pani w ręku moim widziała, ma z tamtym pokrewieństwo dalekie kształtów, ale nie natury. Dziękuję pani... dziękuję... — dodał z naciskiem.

— Ale... — zaczęła panna Tekla zmieszana nieco.

— Co?...

— Czy to się omylić nie można?...

— Można, nie znając się... Ja się jednak znam... Z wężami znam się... lepiej aniżeli z ludźmi, w których strona psychiczna nie zawsze pozostaje w ścisłym ze stroną zewnętrzną związku... W zwierzętach, dzikich zwłaszcza, niezgoda tego rodzaju nie zachodzi... Grzechotnik zabija, boa dusi, gadzina w klimacie naszym w gorączkę wprawia, ale wężyk, wężyk nasz, jest to, pani stworzeńko niewinniejsze pod względem szkodliwości od pszczoły, żywi się owadami i ziołami i sam za pożywienie służy wedle tego porządku, jaki niestety w przyrodzie panuje...

— Nie wie-dzia-łam... — powiedziała, jak się mówi w zawstydzeniu. — Przepraszam...

— Za co, pani?... — zapytał młody człowiek.

— Za... za... natrętność...

— Och!... Natrętność taka... Ja za nią czuję... wdzięczność... Nie przyzwyczajony jestem do niej... Spotyka mnie ona w życiu po raz pierwszy... Po raz pierwszy... — do-

dał — nie domyślałem się bowiem, ażeby życie moje kogo obchodzić mogło...

— Jak to? — wyrwało się pannie Tekli z ust ze zdziwieniem.

— Ano... tak... i słusznie: cóż kogo obchodzić może życie jednostki przebijającej się w tłumie!... Gdybym się był nie urodził, nikt na tym ani by się spostrzegł; gdy umrę, nikt tego nie zauważy... O! — rękę wyciągnął i wskazał na gwiazdę, co się po niebie w chwili tej przesunęła i zgasła. — Przyrównałbym siebie do gwiazdy spadającej... Jest to przyrównanie trafne, mimo że zuchwałe, ze względu na blask, jakim na jedno oka mgnienie gwiazda świeci...

— Panie!... panie!... — tonem protestacji zawołała hrabianka.

— Przepraszam panią... — podchwycił ze skwapliwością niejaką. — Zdaje się, jakbym pani przykrość wyrządził...

— Wielką przez to... takie małe cenienie siebie... Czy to się godzi!...

— Ależ... — powiedzieć chciał „co pani do tego" i niby za język się ugryzł, zamilkł.

— Czy pan nie masz matki, siostry? — nikogo, co by... — powiedzieć chciała „kochał pana" i niby się za język ugryzła, zamilkła.

Nastało pomiędzy dwojgiem młodych ludzi milczenie, które im zarówno zaciężyło i które razem równocześnie przerwali. On się odezwał „a", ona „o". Znów zamilkli i pan Piotr głos zabrał:

— Należy się pani ode mnie podziękowanie serdeczne za troskliwość jej o mnie...

— Nie mów pan do mnie tonem takim... — upomniała go panna Tekla surowo. — Czy się pan nie domyślasz, że troskliwość ta płynie z pobudek...

— Dobrego, litościwego serca pani...

— Żegnam pana! — podchwyciła z akcentem złego humoru.

— Obraziłem panią?... Czym?... — zapytał.

— Tonem...

— Umiem niekiedy panować nad sobą..

— Ton ten przeto z panowania pochodzi?...

— Niech się mnie pani nie dopytuje... Niech pani do pałacu odejdzie... — odezwał się z prośby akcentem i jakby coś nagle przypomniał sobie, dodał: — Mam jeno pierwej do oddania pani zgubione czy zapomniane przez nią kartki...

Mówiąc to wyjął z kieszeni bocznej kopertę sporą, mocno napełnioną i podał takową hrabiance.

Panna Tekla rękę cofnęła.

— To — rzekł — pisanie pani...

— Zniszcz je pan... — odkrzekła z akcentem żalu w głosie. — To żadnej nie ma wartości...

— Będzie dla mnie miało wartość... pamiątki... — odpowiedział, kopertę w zanadrze chowając.

— A!... — odezwała się panna Tekla z głuchym w głębi piersi jęknięciem. — Żegnam pana...

Dłoń wyciągnęła. Młody człowiek podał jej dłoń swoją i spojone te dłonie pozostały przez chwilę jedna w drugiej.

Chwila ta rozstrzygnęła los ludzi dwojga.

Pan Piotr nachylił się i złożył na ręku panny Tekli pocałunek. Usta mu drżały. Pocałunek się przedłużył o sekund nie wiadomo ile, o tyle jednak, że płyn ów eteryczny, co młodymi, dla miłości otwierającymi się duszami wstrząsa, miał czasu aż nadto do obiegnięcia razy mnóstwo ogromne ją i jego i do nastrojenia dusz ich do tonu jednego, jak dwie harfy.

„Jak dwie harfy"... — śpiewa poeta.

W zetknięciu się tym ludzi młodych dwojga było nic innego, jeno poezja czysta, grająca na tych strunach, co pod postacią promieni gwiazd naciągniętych pomiędzy niebem i ziemią wydawały dźwięki rozkoszne.

O młodości!

Pan Piotr pocałunek pożegnalny złożył. Panna Tekla nie odchodziła; a jednak:

— Żegnam pana... — powtórzyła.

W słowach tych pełno było łez niby.

— Och!... — westchnął młody człowiek. — Kiedym na panią patrzał z daleka, patrzałem jak na wcielenie ideału mego dobra i piękna, o którym jeno marzyć mi wolno... Anim przypuszczał, ażebyś kiedy do mnie zeszła i... nie pragnąłem tego... o!...

— Czemu?... — zapytała panna Tekla łagodnie.

— Bałem się...

— Czego?...

— Czy ja wiem!... — odrzekł w sposób ucinkowy. — Bałem się o siebie, o panią, o to, że gdy robotę skończę, panią z oczów na zawsze stracę, o innych jeszcze rzeczy wiele, które mi się po głowie snuły... o to na przykład, że się z panią wypadkiem spotkać mogę...

— Nie chciałeś pan tego?...

— Nie życzyłem sobie... Mein Ruh ist hin... Człowiekowi przecie o spokój własny chodzi, o spokój, który byłby zupełny, gdybym się dowiedział, że pani wyszła za człowieka rozumnego, zacnego i serio... tegom sobie życzył...

Zaczął tonem na pół drwiącym, skończył z drganiem rozrzewnienia w głosie i dodał:

— A teraz...

— Co?... — zapytała hrabianka zaniepokojona.

— Bartkowi polecę, ażeby bociany doglądał, sam zaś manatki swoje spakuję i wyjadę...

— Kiedy?... dokąd?...

— Jutro, pani... do Poznania... Poszukam sobie zajęcia innego...

— Nie czyń pan tego... dla... dla... bocianów... — wyjąkała z naciskiem, który się nie do bocianów odnosił

— Zastępca mój...

— Ach! nie... — przerwała. — Co tam bociany!... i ja bym je doglądać potrafiła... Odjazdem swoim sprawiłbyś pan przykrość tej istocie, która jak się zdaje... obchodzi pana trochę...

— Obchodzi mnie tak trochę... — podchwycił — że gdybym wiedział, iż szczęście jej życiem swoim okupię, nie wahałbym się życie dać... Romantycznie to wygląda... — mówił dalej prędko tonem przekąsu. — W czasach naszych nie praktykują się rzeczy takie, pomimo że i w czasach naszych istnieją uczucia i namiętności te same co w epoce romantyzmu najbardziej rozczochranego; wiem, że życie moje na nic by się nie przydało; z tym wszystkim... ot, żałuję, żem się z panią zeszedł i kilku frazesom nieoględnym z ust wymknąć się dał... Żałuję tego mocno, mocno. Adieu, będziemy do siebie na Berdyczów pisywali, jeżeli pani pozwolisz...

— Przede wszystkim nie pozwolę panu rzucać mnie tak... — podchwyciła hrabianka widząc pana Piotra zwracającego się celem zabrania drabiny. — To niegrzecznie i nieludzko... Czy to pan sobie tylko przyznajesz... uczucie?...

— Pomiędzy nami, pani, taki przedział... taki głęboki przedział i szeroki, że go nie zapełni uczucie najpoważniejsze, nie przeskoczy najsubtelniejsze...

— Przedział majątkowy... — bąknęła.

— Ach, nie... Jam od pani bogatszy, ale pani masz w łodzi swojej taki wojewodów i kasztelanów, wyobrażeń i przesądów balast, z którym, gdybyś do mojej wsiadła, poszlibyśmy na dno oboje... O mnie mniejsza; ale... pani...

— Przymawiasz mi pan i ubliżasz... Cóż ja z tym balastem od pana lepszego!... — zawołała protestując.

— Hm, hm... — zaśmiał się. — Opowiem pani historyjkę. ...Był sobie oficerek pewien, pokochał córkę magnata i z powodu miłości tej kraj ojczysty opuszczać musiał... Tenże sam oficerek za granicą rozgłosu się dobił, po niejakim czasie zaś jako generał do kraju przybył; serce jego przemówiło powtórnie; panna go kochała; była to córka nie magnata już, ale szlachcica karmazyna; ojciec ręki jej ukochanemu przez nią odmówił i dlatego, że był to tylko... Kościuszko... Co?...

— O, panie... — zaczęła panna Tekla.

— Proszę mi pozwolić dokończyć... Ja się do Kościuszkostwa nie poczuwam... Daleko mi do tego olbrzyma w sukmanie... Gdyby żył, nie byłbym godzien wiązać mu rzemyków u trzewików... Ja Ostróżko i dlatego przedział pomiędzy mną a hrabianką Gracką bez porównania większy aniżeli pomiędzy Kościuszką a nie tamtą pierwszą magnatką, ale tą drugą, w której ojca oczach kolega i przyjaciel Washingtona był figurą za mało dostojną... Co?...

— Proszę pana... Czasy się zmieniły... Papa... papa mój demokrata...

— Aha!... Pani, demokracja jest dwojaka: jedna się wyznaje, druga praktykuje... Zachodzi pomiędzy nimi różnica ogromna... demokrata praktykujący nie stawiałby pałacu...

Na rysujący się na tle nocy gmach ręką wskazał.

— Pan wszystko czynisz, ażeby mnie od siebie odepchnąć... — poskarżyła się hrabianka.

— Przeciwnie, odpycham siebie od pani...

— Nie wyrządzajże mi tej przynajmniej krzywdy i nie odjeżdżaj... Proszę pana... bardzo proszę...

— Ach!... o to mnie prosić nie trzeba... Zdobyć się chciałem na heroizm, nie dla chluby, ale dla spokoju... Zdobyć się mi łatwo na heroizm odwrotny: spokój zahazardować, a szukać chluby w tym, żeś pani na mnie łaskawa....

— Co za mowa?... co za ton!... — zawołała panna Tekla w oburzeniu prawie.

— Gniewasz się na mnie?... — zapytał z akcentem wymówki łagodnej.

— Kogóż by z cierpliwości nie wyprowadziło rozumowanie podobne!... Przedział?... — rzekła jakby sama do siebie. — Czyż przedziałów tego rodzaju nie zapełnia niekiedy wola?...

— W balladach średniowiecznych, kiedy to kochanek kochankę... „w noc poślubną napadł, na konia porwał i w ziemię się zapadł...“ Dobre to było na moment taki krótki jak odczytanie ballady i westchnienie nad losem bohatera i bohaterki, ale nie na życie całe, życie pracy, idące od młodości ku starości i wytyczone tymi drogowskazami, co obowiązków nazwę noszą... Wobec tego, niestety, sercu milczenie nakazać i rozumować potrzeba...

Panna Tekla na razie nic na to nie odpowiedziała. Noc nie pozwalała wyrazu oblicza jej widzieć. Naokoło milczenie chwilowe, które przerwała ona.

— Och!... — odezwała się. — Jakżem się od pana nauczyła wiele!... Wydaje mi się, żem w ciągu rozmowy tej myślą dojrzała... Zobaczymy, co z tego wypadnie; co by nie wypadło jednak, wdzięczna sobie jestem, żem

się wyjść odważyła... Szyderstwa pańskie drogę mi wskazują, drogę trudną, ciernistą... Ale...

Urwała. Po chwili:

— Dobranoc panu... — rzekła i odeszła.

Pan Piotr stał nieruchomie tak długo, póki postać jej śród drzew nie znikła, następnie po drabinie do góry wszedł, bociany baranicą okrył, zeszedł, drabinę na plecy zabrał i oddalił się.

## VII

Dojrzała — w rzeczy samej dojrzała. Stało się to w przeciągu godziny niespełna. Jak więzień Chilonu posiwiał w noc jedną, tak panna Tekla w godzinę dojrzała. Cudli to był? — Jako żywo. Fenomeny tego rodzaju powtarzają się dosyć często pod warunkiem, ażeby grunt pod nie był przysposobiony. W momencie, w którym się rozpoczyna młodość, w człowieku zachodzi zmiana fizyczna i moralna. Jedna z drugą się wiąże, jedna na drugą oddziaływa, ulegając działaniu wpływów rozmaitych. Jedno słowo niekiedy wystarcza do wskazania drogi.

Hrabianka od pana Piotra dowiedziała się wiele. Otworzył się przed nią nowy świat. Dowiedziała się np., że on od niej bogatszy, to znaczy, że potrzeby jego do zaspokojenia łatwiejsze są aniżeli jej. Dowiedziała się o demokracji praktycznej, o życiu idącym ku starości a zależnym od pracy i wytyczonym obowiązkami, o tym, że pan Piotr nazywa się Ostróżką i pielęgnuje w duszy swojej kult dla Kościuszki, o tym wreszcie, że pomiędzy nim a nią lata „gołąb biały“, który „nosi wieści“ jej o nim i jemu o niej, inaczej bowiem skądżeby się wziąć mogła ta nić sympatyczna, która serca

ich osnuła! Dowiedziała się i o tym jeszcze, że ją czeka wyjście za mąż za kogoś nie oddzielonego od niej przedziałem.

To ostatnie zastanowiło ją mocno, zajęło jej czasu dużo. Noc jej upłynęła bezsennie; zasnęła, gdy świtać poczynało; mimo to obudziła się w porę, ażeby oglądać pana Piotra dającego bocianom pożywienie. Przyszedł, jak przychodził zwykle; po drabinie do gniazda się dostał; ptaki do niego szyje wyciągały.

— Obowiązek... — rzekła do siebie hrabianka — dobrowolnie przyjęty...

Śledziła za nim następnie przez dzień cały. Widziała go przy robotnikach: jak go oni otaczali i słuchali, jak on im skazówki dawał, jak wymierzał, cegły układał, cementem zalewał, kielnią gładził. Wieczorem pod drzewo nie poszła; przez noc zaś rozmyślała nie o urokach romansu prowadzonego poza wiadomością ojca i matki, braci i świata całego, ale o tej drodze, na której człowiek pożytecznym stać się może sobie i drugim. W myśli jej plątały się dwa nazwiska: Kościuszko i Ostróżko. Upatrywała pomiędzy nimi nie tylko podobieństwo brzmienia, ale i powinowactwo jakieś — rodzaj pokrewieństwa moralnego. Gdyby Kościuszko nie generałem, ale dozorcą był, wywiązywałby się z zadania swego nie inaczej jak Ostróżko. Robotnicy by go tak samo otaczali i słuchali; on by im tak samo skazówki dawał. Rozmyślając tak, zwracała się ustawicznie myślą ku osobistości własnej i przypominała sobie opowiedzianą przez pana Piotra „historyjkę". Historyjka ta sprawiła jej przykrość wielką.

W domu szło wszystko trybem zwyczajnym. Graf krzątał się. Porankami odczytywał gazety i listy z poczty przynoszone i w dobrym był humorze, albowiem — jak powiadał — „kluje się"; przy obiedzie z córką się scho-

dził; po obiedzie niekiedy wyjeżdżał, niekiedy gości z sąsiedztwa przyjmował i szeroko o polityce rozprawiał. W parę dni później nadjechał Masio — młody hrabia.

Młody hrabia łączył w osobie swojej wszystkie cechujące ten rodzaju człowieczego gatunek przymioty. Był to jeune homme accompli, trochę Anglik, nieco Polak, wychowaniec zakładu, który się znajdował pod dyrekcją księdza Jana Zmianko i miał na celu układanie młodzieży w widokach specjalnych, a zatem utylitarysta w rzeczach wiary i indeferentysta we wszystkim z wyjątkiem tego, co się osoby jego tyczyło. Zakład ów, słynny w czasie swoim, wytknął był sobie za zadanie przygotowanie obrońców narodowości polskiej na podstawie katolicyzmu. Ponieważ jednak podstawa ta do narodowości nie przystaje, a zatem chwiała się i jedna, i druga, pozostawiając jeno to, co pośrodku stało. Ogół elewów ćwiczył się w sztuce udawania i brał takową za przewodniczkę w życiu. Sztukę tę pan Maurycy posiadał w zupełności. O ile ojciec, człek dawnej daty, był szczery i otwarty, o tyle syn myśli kryć umiał głęboko i nałamywać się do towarzystwa, w jakim się znajdował, zachowując przy tym pozory człowieka niepodległego. Do specjalności nie usposobił się żadnej, skąd poszło, że umiał szukać losu w kierunku nieinnym, jeno w tym, jaki mu jego tytuł, prezencja i młodość nastręczały. W tymże samym kierunku szedł i brat jego starszy, z tą jedynie różnicą, że stojąc z pułkiem w Westfalii, w odmiennym znajdował się otoczeniu. Tamten polował i ten polował, hrabia Bolesław na Niemki, hrabia Maurycy na Polki. Grafa to po trosze gniewało.

— Co, u licha świętego!... — odzywał się niekiedy. — Czy im to potrzebne!...

Niestety, potrzebnym im było. Potrzeba naciskała hrabiego Maurycego zwłaszcza, nie mającego przed sobą kariery, która się bratu starszemu nastręczała. Ten ostatni czekać mógł w wojsku na uśmiech fortuny i w razie gdyby się takowego nie doczekał, kierować się, jeżeli nie na generała, to bodaj na pułkownika; tego zaś nie podtrzymywała i nie ochraniała specjalność żadna od ciosów, jakie rokowała ruina majątkowa. Nie pozostawało mu nic innego jak ożenić się dobrze. Był to dla niego wóz i przewóz, albowiem szanowny dyrektor zakładu edukacyjnego, znany z tego, że słów w bawełnę nie obwijał, odsądził go nawet od drogi kapłańskiej, na którą młody hrabia gotów by w ostateczności wejść.

— Masz być kiepskim księdzem, przyklej się do lafiryndy jakiej, która się uhrabić zechce... Gęsi jest tyle, Bogu dzięki, że na tego rodzaju karierę rachować możesz... ufaj tylko sam sobie...

Graf, który w rzeczach wiary za wolnomyślnego się podawał, synów zaś do zakładu księdza Jana Zmianko oddał nie z przekonania, ale dlatego tylko, że oddawali inni, inaczej o hrabi Maurycym myślał. Upatrywał on w nim uzdolnienia dyplomatyczne, przejęte od matki.

— Wykapana Gidulcia... — powiadał.

Młody hrabia, w rzeczy samej matkę przypominał bardziej aniżeli ojca i to tak pod względem rysów oblicza jako też pod względem usposobień moralnych. Wydawał się o ile światowym, o tyle głębokim. Za takiego w oczach ojca uchodził. Stary hrabia chętnie by go hrabinie do boku dodał, gdyby nie ta okoliczność, że tego rodzaju adlatus drogo kosztował. Próba, jaką we względzie tym parę razy uczynił, nauczyła go ostrożności. Hrabia Maurycy towarzyszył matce raz do Paryża, drugi raz do Ostendy i pokazało się, że trzeba, ażeby posiadał na cel ten środki inne aniżeli te, jakich

Śródborze dostarczyć mogło. Stan ten pogorszył się jeszcze od czasu, jak się pałac budować zaczął. Budowla pochłaniała tyle!

Młody hrabia przyjechał tedy na wypoczynek po kampanii karnawałowej, która się dla niego przeciągnęła długo, a to dla powodów bardzo ważnych. Miał przedmiot upatrzony i przedmiotu tego, reprezentującego sto pięćdziesiąt tysięcy talarów, związanych węzłem nierozerwalnym ze skrofułami, pilnować musiał. Przedmiot ów zwał się zdrobniale Misią. W brzmieniu imion — Misia i Masio — zachodziło podobieństwo, na które by, we względzie doprowadzenia rzeczy do rezultatu pomyślnego, rachować można, gdyby na skrofuły nie było obok młodego hrabiego Grackiego amatorów więcej. Biedak się pocił, wysilał, kochał, mięso surowe jadał i pewnym nie był. Kłopotał się tym wielce. W kłopotach jego udział moralny brali matka, ojciec i siostra: matka dla talarów; ojciec dlatego, że skrofuły owe z dobrego pochodziły gniazda; siostra dla powodu, dla którego siostry zazwyczaj po stronie braci stają, gdy się cele matrymonialne na widoku mają. Przy tym panna Tekla przypuszczała, że Masio kocha — kocha mimo wszystko, to jest pomimo to, że Misia ramię jedno wyższe miała od drugiego, że nieco kulała, że wyglądała niby połamana i że przez jeden z policzków spod szczęki dolnej do oka przechodził szew, który krzywił usta i rozdwajał jej powiekę dolną. Drugi policzek był niczego. Politowanie brało patrząc na nią. Pomimo to przypuszczała hrabianka, że pan Maurycy tę pokaleczoną istotę kocha, jeżeli nie dla czego innego, to dlatego, że ona temu niewinną była.

Nie przypuszczali tego ani ojciec, ani matka, a jednak życzyli sobie bardzo, ażeby się to stadło jak najprędzej pobrało. Z tego powodu, gdy pan Maurycy

w domowe zawitał progi, po powitaniach i po przejściu chwil pierwszych pobytu, prędko się zawiązała rozmowa o Misi.

— Cóż tam?... jakże? — zapytał graf. — Sprawy sercowe pełnymi płyną żaglami?

— Płyną — była młodego człowieka odpowiedź — ale w kierunku zmienionym...

— Lawirujesz, celem wejścia do portu...

— Tak... ale nie do tego, co ojciec myśli...

— Co!... Misia?... — zawołał graf w przerażeniu prawie.

— Misia... a!... Powiedziałbym: niestety... gdyby mi się inne nie odkrywały widoki...

— Lepsze?... co?...

— Trzy razy z górą...

— Pięćkroć?...

— Pięćkroć...

— Ahm... — odetchnął graf z akcentem zadowolenia i po chwili zapytał: — W ziemi?...

— W gotówce...

— Uhm?... — mruknął sam do siebie, lecz w mruknięciu tym akcent zadowolnienia przebijał się słabo.

Obecna rozmowie tej panna Tekla ze zdziwieniem się w brata wpatrzyła i gdy ojciec zamilkł, odezwała się.

— Jak to, Masiu... tyś z Misią zerwał?...

— Nie zerwałem tego, co związanym nie było...

— Byłeś nią tak zajęty!..

— Cóż stąd!... Zajęcie bywa wielkie, większe i największe... Wielkie ustępuje większemu...

— Więc?... — i ucięła.

— Nastąpiła rzecz bardzo prosta... Odwróciłem się od jednej, a zwróciłem się do drugiej...

Rozmowa ta nie nader mu snadź miłą była, dla przerwania jej bowiem zapytał ojca:

— Jakież od matki wiadomości?...

— Niezłe... dobre... Gada Francuzom na Prusaków i gadanie jej na wiatr nie idzie... Nie strawią oni Hohenzollerna na tronie hiszpańskim...

— Nie zapowiada mama przyjazdu?...

— A skąd!... Teraz nie może... Józef powiada, że bez niej nic się nie zrobi... Poczyniła kroki celem widzenia się z Napoleonem, a nagadania mu prawdy we cztery oczy... Prusacy pchają się do Hiszpanii po to, ażeby Francją we dwa ognie wziąć. Trzeba, żeby Napoleon wiedział o tym...

— Toć jemu to mówić muszą... — wtrącił hrabia Maurycy z pewną zaakcentowaną niechęcią, obojętnie słuchając wywodu ojcowskiego.

— Kto?... — podchwycił graf. — Nie czytujesz gazet chyba... Wszystko się tam bawi, a bawi... Bale, recepcje, polowania... Wioski by administrować jak należy nie można, gdyby ekonom i włódarze ustawicznie w karczmie siedzieli i tańcami się zajmowali, nie dopieroż takiego jak Francja cesarstwa... Jak miarkuję, ministrowie Napoleona muszą być zawsze albo objedzeni, albo przepici: jakże oni mieć mogą jasne o rzeczy pojęcie!... Ludzie ludźmi... O...

Młody hrabia westchnął i przybrał minę sceptyka, puszczającego uchem jednym to, co wchodzi drugim. Rezonowanie ojca widocznie do przekonania jego nie trafiało.

— Ludzie ludźmi... — powtórzył graf z naciskiem. — Człek objedzony trawić, spity trzeźwić się musi: jakże oni o sprawach i interesach nie tylko myśleć, ale i wiedzieć mogą!... Zachodzi niepodobieństwo fizyczne...

— Przecież, papo, przy każdym z nich są urzędnicy obowiązani kwestii specjalnych pilnować i o takowych referować codziennie w godzinach oznaczonych...

— Nie powiadasz mi nic nowego... Wiem o tym... na to jednak odpowiem ci tak: spróbuj, spij się dziś wieczorem, a ja jutro rano będę ci referował o tym, że ksiądz Zmianko zdmuchnął ci Misię sprzed nosa: czy rozumiesz, o co chodzi?..

Pan Maurycy uśmiechnął się i odparł:

— Argumentum ad hominem... Wyznać należy, że papa wykłada rzeczy jasno...

— Owóż widzisz... Umieć się potrzeba stawiać w położeniu ludzi...

— Skądże pochodzi, że się jakoś rozstrzygają wielkie kwestie gabinetowe?...

— Stąd, że pomiędzy żołądkami i głowami zachodzą różnice, jedne bywają słabsze, drugie mocniejsze; ludziom jednym przedstawienie rozumne trafia do przekonania łatwiej, drugim trudniej: dlatego jedni nad drugimi górę biorą... Ot co...

— Ale tenże porządek zegarkowy!...

— Urobił się sam przez się za pomocą prób, które się odbywały przez ciąg wieków... Kleił się, rozklejał, znów się kleił, aż w mierze stanął, luboż nikt nie zaręczy, czy się nie rozklei jeszcze... Zresztą, tu nie o porządek ów chodzi, ale o to, żeby Prusakom, po Sadowie jak pęcherz nadętym, kurtę skroić... Ja ich pałacem w oczy kolę, a matka wasza ze swej strony zabiegi czyni... Jedno z drugim rezultat sprowadzi... Qui ne risque rien, n'a rien...

Rozmowa się tym razem skończyła. Młody hrabia znał upór ojca, nie próbował przeto nawet występować przeciwko takowemu. Panna Tekla nic do powiedzenia nie miała, tym bardziej że pozostawała pod wrażeniem wiadomości o zerwaniu brata z Misią i wiadomość ta całkowicie ją zajęła. Jak się to stać mogło. Słyszała cyfry, które wymówione zostały. Domyślała się, że rzecz z cyframi

tymi styczność ma; nie przypuszczała atoli, ażeby odgrywały one rolę główną i decydującą. Zajść przeto musiało coś innego i w mniemaniu jej ważniejszego, co serce brata ostudziło dla Misi, a rozgrzało dla innej. Dla jakiej innej? Tego pan Maurycy nie powiedział; nie spieszył z wymienieniem imienia i nazwiska nowych zapałów swoich. Czemu? Była to zagadka, rozwiązanie której żywo pannę Teklę obchodziło.

— Masiu — zapytała znalazłszy się z bratem w parku sam na sam — powiedz mi, kogo będę za bratowę miała?...

— Ciekawaś... hę? — odpowiedział żartobliwie.

— Czy cię to dziwi?...

— Bynajmniej... Powiedziałbym ci, gdyby...

— Gdyby nie co?

— Gdyby nie zachodziły okoliczności wymagające, ażeby się rzecz przed czasem nie rozgłaszała...

— A?... — odezwała się. — Zachodzą więc okoliczności takie...

Wyrazy ostatnie wymówiła myśląc o sobie i o panu Piotrze. Nie zachodziła tu na pozór styczność żadna. Zachodziło jeno podobieństwo jakieś dalekie, odnoszące się do sytuacji. Panna Tekla westchnęła. Pan Maurycy prawił dalej, idąc obok siostry powoli i uderzając się z lekka trzymanym w ręku pręcikiem po nogach:

— Rzeczy bowiem tak się układają, że od powodzenia mego zależy los twój...

— W jaki sposób?...

— W sposób bardzo naturalny... Wyjdziesz za mąż...

— Nie rozumiem...

— To przecie do zrozumienia łatwe... W czasach naszych panny bez posagu albo za mąż nie wychodzą wcale, albo wychodzą bardzo źle...

— Czyż ja panna bez posagu?..

— Toś o tym nie wiedziała!... — zawołał w przestrachu niby. — Jakże mi przykro, żem tym słówkiem, niebacznie wyrzeczonym, przykrość tobie sprawił. Wybacz mi, Lusiu...

— Nie sprawiłeś mi przykrości najmniejszej.

— Rewelacja ta jednak nie może ci być miłą...

— Owszem... Gdyby do rewelacji tej przyłączyła się jeszcze inna, czułabym się zadowoloną zupełnie...

— Jaka, jeżeli zapytać wolno?...

— Żem ani hrabianka, ani nawet szlachcianka...

— Masz rację... — odrzekł po chwili zastanowienia. — Nazwisko bez majątku staje się trudnym do dźwigania ciężarem... Masz wielką rację... Nie spodziewałem się, że znajdę w tobie taki głęboki i dojrzały na rzeczy pogląd... Majątek bez nazwiska... uchodzi, ale nazwisko bez majątku jest ironią, która o opatrzności wątpić każe... A ba... gdybym ja majątek posiadał!...

— Mnie się zdaje... — zaczęła panna Tekla głosem. w którym się wahanie niejakie czuć dawało — że... Śródborze...

— Śródborze... — powtórzył pan Maurycy, pręcikiem na odlew machnąwszy.

— Pałac...

— Owóż pałac ten dobija Śródborze do reszty... Mówię ci o tym dlatego, że kiedym się przed tobą wyrwał z odkryciem, które cię przez pół wtajemniczało, lepiej więc przeto, ażebyś wiedziała o wszystkim... Na utrzymanie pałacu takiego potrzeba by Śródborzy trzech przynajmniej nie zadłużonych... Nie wystarczy jedno w landszafcie zastawione i długami prywatnymi obciążone...

— Papa jednak... ma nadzieję... — wtrąciła.

— Opartą na przypuszczeniach, które gdyby się nawet ziściły, nie oczyściłyby Śródborza... Któż za kogo długi płaci?...

— Papa przecie... papa... mama... — dyskutować panna Tekla chciała, ale się jej argumenty nie składały.

— Papa i mama łudzą się licząc na to, że Prusacy długi popłacą... Prusacy wprawdzie długi płacą, ale w warunkach pewnych: należy majątek odłużyć, politycznie nabroić i za granicę umknąć; w razie takim dobra się sekwestrują, administracja skarbowa oczyszcza takowe, emigrant wraca na mocy jakiej ogólnej lub szczególnej amnestii i... le tour est joué: zdobywa się sławę i powraca do majątku...

— Ależ to niegodnie!... — podchwyciła panna Tekla.

— Godnie czy niegodnie, ale tak się robi, gdy kto chce się Prusakami posłużyć...

— Papa by nie zrobił tego...

— Faktem jest, że nie zrobił; nie wchodzę w to, czy dobrze, czy źle; zaznaczam jeno fakt straszliwie dla nas wszystkich groźny...

— Groźny?... — powtórzyła hrabianka z akcentem półzapytania.

— Czy masz ty jakie o następstwach wyobrażenie? Czy pojmujesz, co to znaczy ubóstwo?...

— Przeciwko ubóstwu jest obrona...

— W czym?

— W pracy... — odpowiedziała rezolutnie, mając wyraz ów w pamięci z rozmowy z dozorcą.

— Cha, cha, cha... — zaśmiał się hrabia Maurycy. — Rzecz zabawna, wyraz ten w ustach twoich... Skąd ci się on na usta przyplątał?...

Panna Tekla zmieszała się, jakby na gorącym schwytaną została uczynku. Oczy na brata podniosła i niepewnym głosem odpowiedziała:

— Ludzie pracują przecie...

— Jak jacy... Jedni pracują, drudzy nie... Tak się społeczność urządziła i przeciwko temu środka nie ma... Stąd

wypada, że jedni są do pracy usposobieni, drudzy nie, a do tych ostatnich należysz ty, należę ja, należą rodzice nasi i... dla nas rady nie ma...

Panna Tekla milczała; pan Maurycy prawił dalej:

— Wyobraź sobie bowiem rodziców naszych, na przykład, zmuszonych się pracy jąć... Jakiej?... Do czego oni?... Z łaski chyba, przez wspaniałomyślncść wziąłby kto ojca za ekonoma, matkę za klucznicę albo, co gorzej, na chleb łaskawy... Podobałoby się to tobie?...

— Masiu!... — zawołała z akcentem wymówki.

— Ha! rzeczy po imieniu zwać należy, gdy sobie z położenia jasną zdać chcemy sprawę...

— Nie masz więc rady, powiadasz?...

— „Nie masz bo rady dla duszy kozaczej...“ — zaintonował pan Maurycy i mówił dalej prozą: — chyba w tym, ażebym się ja ożenił dobrze, ażebyś ty dobrze za mąż wyszła... W sposób ten, nie przez nas wynaleziony, ratują się rody na świecie całym... Korona królewska bywa żelazna, i to wyjątkowo, jedna na kuli ziemskiej; ale korona hrabiowska musi być ze szczerego złota, a gałki na niej z pereł prawdziwych... Jest to konieczność wynikająca ze stosunku hrabiego do króla...

— Komu zaś na złoto nie starczy... — wtrąciła panna Tekla.

— Niech szuka sobie okopu Św. Trójcy i w przepaść skoczy, zamiast czego jednak hrabiowie zbankrutowani tegocześni szukają okopów innego rodzaju, a mianowicie: żon bogatych... Krótko powiedziawszy, moja Lusiu, proponuję tobie przymierze zaczepne i odporne... Pomagaj mnie; ja się zobowiązuję pomagać tobie... Mam rzecz napiętą, która się ojcu z pewnością nie podoba... Popieraj mnie wobec niego...

— Dobrze... — odpowiedziała panna Tekla przeciągle — kiedy ci o to chodzi...

— Chodzi mi o to, zwłaszcza że mamy nie ma... Przy pomocy mamy, wolniejszej od przesądów pewnych aniżeli papa, sprawa poszłaby gładko... Popierajże mnie szczerze.

## VIII

Kto z tych, co się w zakładzie księdza Jana Zmianko wychowywał, nie znał Żydówki, co nosiła w koszyku przysmaki rozmaite, owoce suszone, orzechy włoskie i tureckie, pierniki, makagigi, makaroniki, karmelki i sprzedawała takowe studentom? Sprzedawała — byłoby to niewiele jeszcze; ale co wartość jej wysoce podnosiło, była ta osobliwość, że na kredyt dawała. Studenci obdłużali się u niej po uszy, co znów osobliwością było, albowiem w tym wzorowie urządzonym zakładzie jak najsurowiej przestrzegano stosunku studentów do podnoszących specjały przekupniów. Ona jedna na osobnych znajdowała się prawach: miała monopol kredytowania i trafiało się, że względem niejednego z wyrostków zapełniających zakład stawała się wierzycielką na talara całego. Skąd łaska ta pochodziła? Z łask. Żydówka posiadała księdza dyrektora względy, które skarbiła sobie za pomocą przysług drobnych, jakie mu oddawała.

A była to kobieta ni młoda, ni stara, nie brzydka, ni piękna. Łakocie obnosiła, a przy tym faktorowała, pośredniczyła, grosze ściągała, ale do majątku dojść nie mogła. Kupcowa nadaremnie grosz do grosza składała i kwoty uciułane mężowi oddawała. Nie wiodło się im. Ile razy Srul Kalisz na operację jaką się porwał, regularnie tracił. Brał się do drzewa — drzewo się pokazało spróchniałe; chwytał się jabłek — jabłka zgniły, zanim je na sprzedaż wystawił. Czuł się pod ciężarem niebłogosławieństwa i, zrozumieć nie mogąc, skądby ono pochodziło, zagłębiał się w księgach, oddawał się nabożeństwu. Nikt nad niego

skrupulatniej nie pełnił obowiązków religijnych. Przerwy całe po lat kilka trwające pomiędzy próbą jedną a drugą obracał na modlitwę, w której, rzec można, nie ustawał; wydoskonalił się w tym; stał się uczonym, nabożnym, przykładnym; najgłębszy rabin nic by mu do przyganienia nie miał.

Chana Pana Boga nie obrażała niczym. To że słodycze na kredyt dawała, toć ona nic na tym nie traciła; chłopcy płacili jej co do grosza, z wyjątkiem jednego, do którego ona słabość czuła i którego by wolała widzieć Żydem aniżeli grafiątkiem. Rzecz to jednak małej w oczach Jehowy wagi. Cóż ona na tym traciła! Owszem — zyskiwała, grafiątko bowiem brało na kredyt i przez to zachęcało chłopców innych do nabierania makaroników i karmelków, rachunek za które pokrywał z nadwyżką długi u grafiątka. I dlaczego ona je miłowała? Dlatego, że mieć pragnęła takiego synka jak ono — rumianego, czupurnego, niechudego, nie bardzo jednak tłustego. W tym nie było grzechu najmniejszego przeciwko przykazaniom i zakonowi. Chana znajdowała się w porządku pod względem tym jak pod każdym innym. Można by jej zarzucić łaski u księdza. Ależ ksiądz ów dla niej znaczył to samo co każdy nie-ksiądz; a łaski zaś jego stanowiły nie co innego, jeno wymianę przysług, które z jej strony tłumaczyły się pośredniczeniem lub dostarczycielstwem, ze strony jego gotówką. Pilnowała swego nosa, nie zaś cudzego prosa, dostawała wynagrodzenie, którego nie kradła, które zarabiała chodząc, pukając, szukając, ugadując się, tracąc czasu dużo i łożąc trudów niemało. Nie miała więc sobie nic do wyrzucenia wobec Jehowy i nie rozumiała, za co na siebie niebłogosławieństwo ściągnęła.

— Za co?... Czy ja co złego Panu Bogu zrobiła?...

Dla upewnienia się we względzie tym, gdy się pieniędzy uzbierało trochę, zaproponowała mężowi pielgrzym-

kę do rabina sławnego, który w Kutnie mieszkał i ludziom radził na dolegliwości fizyczne i moralne. Było to i niebli-sko, i za granicą. Cóż robić jednak! Srul pomyślał, pomedytował i propozycję żony przyjął tym chętniej, że miał na widoku spróbowanie handlu rybami i handel ów wyszykować chciał na te święta chrześcijańskie, w których chrześcijanie na potęgę rybę jedzą. Są to święta Bożego Narodzenia. Chana z powodu wakacji mniej zajęcia miała. Zebrali się przeto i odbyli pielgrzymkę, która ich wiele na duchu pokrzepiła. Rabin zadawał im pytania co do zachowywania zakonu, no i nie znalazł do przyganienia nic zgoła, a to tym bardziej, że Srul okazał się biegłym w rozwiązywaniu kwestyj zawiłych.

Poznał więc mąż uczony, że ma do czynienia z człowiekiem świadomym zakonu i prawym wobec Najwyższego, i nie umiał wytłumaczyć inaczej niebłogosławieństwa, jak za pomocą przypuszczenia, iż Bóg go doświadcza. Czyż nie doświadczał Abrahama? Czyż nie doświadczał całego ludu wybranego w pustyni? Z tym rabin odesłał Kaliszostwo; powrócili pocieszeni i pokrzepieni i Srul z ufnością przystąpił do interesu rybnego, przedstawiającego się w sposób bardzo obiecujący. Był do zaarendowania staw, który właściciel Niemiec spuścić zamierzał. O szczupakach, karpiach i linach w stawie tym przebywających cuda opowiadano. Cena arendy nie była wygórowana. W kontrakcie warunek najcięższy tyczył się sposobu wypłaty, której właściciel stawu domagał się z góry, w całości, gotówką. Srul liczył, przeliczał, myślał, wahał się, do Pana Boga wzdychał, kontrakt wreszcie podpisał i gotówkę wyliczył. Ostrzegano go, że baron ów (baron to był) był podstępnym oszustem, ale kontrakt napisany był tak wyraźnie, że, zdawało się, nie pozostaje jak wykonać takowy. Sam bowiem baron powiadał:

— Myślę nad tym, jakby ciebie trzeba oszukać, i nic wymyślić nie mogę...

Interes zapowiadał się świetnie; zysku, lekko licząc, sto na sto, jeżeli nie wyżej. Pomimo to z Żydów ani jeden nie stręczył się Srulowi na wspólnika, co do pewnego stopnia zadziwiającym było.

Kontrakt jednak!

Kontrakt zobowiązywał barona do otworzenia grobli i spuszczenia wody. W celu tym kazał on przekopać uprzednio rów i wzmocnić groblę w stawie innym, który się znajdował poniżej, na rzeczce tejże samej, a był również barona własnością. Rów miał za zadanie regulować pęd wody. Zadanie to rów spełnił, z tym atoli dodatkiem, że ryba, której Srul wyglądał w łożysku stawu spuszczonego, spłynęła przekopem do stawu nie spuszczonego. Srul, spostrzegłszy się na tym, gwałtu narobił.

— Ach!... Ach!...

— Zabieraj sobie rybę moją... — baron na to.

— Gdzież ona?...

— Szukaj...

— Kiedyż ona w tamtym stawku...

— Do tamtego wara tobie...

— No... a kontrakt!... — zawołał Srul z rozpaczą.

— Co kontrakt?...

— W nim nie stoi, ażeby pan baron kanały kopał...

— Czy stoi, żebym nie kopał?...

— Ja pozywać będę...

— Pozywaj, uprzedzam cię jednak, że sprawy z Polakiem nie masz, jeżeli więc nie wygrasz, to sam sobie winę przypisz...

— Polak by mi... Polak by mnie...

— Nie oszukał?... — podchwycił baron. — Nie umiałby... to co innego... Polacy noszą na barkach głowy kapuściane... to rzecz wiadoma... W sprawie tej jednak z Pola-

kiem byś nawet procesu nie wygrał, rzecz bowiem jest prosta jak obręcz: umowyśmy sobie dotrzymali wzajemnie; że zaś ryba uciekła, to... wina czyja?... Moja, mówisz ty; twoja, mówię ja... Salomon dojść by nie potrafił...

Srul żonie sprezentował się jakby z krzyża zdjęty, tak że ona pytać nawet nie potrzebowała, co się stało.

— Przepadło!... — powiedziała jeno z przyciskiem.

Srul nic na to nie odpowiedział; z gorączkową jakąś skwapliwością za księgę w pargamin oprawną pochwycił, otworzył, stanął i poszeptem czytać się jął. Czytał, głową kręcił, oczy zmrużył, wzdychał i odsapywał, wydając niekiedy z głębi piersi jęk głuchy.

Chana z na pół złośliwym uśmiechem na niego spoglądała.

— Ach! Och!

— Tfu!... — ona na to.

— To nie pożałujesz ty nawet?... — odezwał się.

— Co bym żałować miała gałgana... gałgana!... Jesteś gałgan... skończony gałgan... gałgan...

Zauważyć należy, że wyraz „gałgan" w ustach Żyda posiada znaczenie inne aniżeli w ustach chrześcijanina. Gałganem jest człowiek zasługujący na pogardę litośną z racyj niekoniecznie z uczciwością w niezgodzie pozostających. Stąd wyraz ten wymawiała Chana przeciągle, bez najmniejszego gniewnego uniesienia. Powtórzywszy takowy razy z dziesięć, rzekła w końcu:

— Możeś ty z tym baronem pogadać nie umiał...

Srul jeno ramionami mocno wzruszył i oczy do góry wzniósł.

— Możeś ty jemu mądrego słowa nie powiedział...

— Mówiłem o pozywaniu...

— Co to pozywanie!... Do czego pozywanie!... Gdyby on był z naszych, to by rabin rozsądził; gdyby był z tych

od szlachty, to by na niego był sąd... Ale on Niemiec... Z nim gadaniem chyba dojść do ładu można...

— Idź... gadaj ty...

Chana się w drogę wybrała. Dojechała do karczmy w Śródborzu i tam zanocowała. Ze Śródborza do Klatek, przezwanych „Kleit", gdzie baron Ernest von Krapiloff mieszkał, liczyła się mila niespełna. Przenocowawszy, raniutko wstała i milę tę piechotą uszła. Droga prowadziła przez las, po przejściu przez który wnet rzucał się w oczy dom niegdyś szlachecki, zamieszkały przez barona, który nabył majątek ze subhasty. Dom wyglądał staro, zupełnie jak dwór w Śródborzu, który w czasie owym stał jeszcze i ani się zanosiło na to, ażeby kiedy ustąpić miał pałacowi miejsca. Poprzedzało go podwórze obszerne. Chana na podwórze weszła ostrożnie; bramę przekroczyła nieśmiało; oglądała się w obawie przed psami; rychło atoli przekonała się, że obawiać się nie ma czego, albowiem nie tylko się pies nie pokazywał żaden, ale w dali, w ganku, widziała ludzi zajętych czynnością jakąś. Ruszyła środkiem podwórza śmielej i do ganku doszła bez wypadku. Zatrzymała się. Pomiędzy ludźmi, co się tam znajdowali, wyróżniła jegomościa w kurcie brązowej i w kaszkiecie z daszkiem, rosłego, barczystego, noszącego wąsy i faworyty gęste i mającego minę brysia. Patrząc na niego, zdawało się, że ma na karku znak od obróży, że warknie i szczeknie. Taką miał minę — groźną, ale o zależności od kogoś świadczącą. Przed ławką stał i nóż w ręku trzymał, co mu nadawało minę tym groźniejszą. Ku niemu, od strony zabudowań stajennych, podchodzili dwaj ludzie dźwigając psa związanego, który im w rękach szarpał się i skowyczał.

— A czy związany jak należy?... — krzyknął jegomość po niemiecku.

— Nu ja... — była odpowiedź.

— Trzymajcie go jeno mocno!...

Ludzie psa przynieśli i na dany przez jegomości znak obok ławki na ganku położyli.

— Znieście tu wszystkie!... — odezwał się tonem rozkazującym.

Ludzie ku stajni się zwrócili i gdy odeszli, jegomość w boki się podparł, pod nosem sobie gwizdać począł i zoczywszy znienacka Chanę u stóp ganku stojącą zapytał:

— Cóż tam?...

— Jam jest, łaskawości wasza, panie baronie — odpowiedziała Żydówka domyślając się, że z panem Klatek do czynienia ma — jam jest żona tego bardzo biednego Srula Kalisza, co u łaskawości waszej staw zaarendował...

— No?...

— No i... i jam przyszła...

— Dobrze, żeś przyszła... będziesz widziała, jak ja psy chędożę...

— Ja nie o to... ja nie po to... — bąkać jakby w zastraszeniu poczęła.

— O co, po co?... mnie to wszystko jedno... Cóż porabiasz?... — zapytał.

— No?... co?... przed łaskawością waszą stoję i...

— A gdy nie stoisz?... — przerwał. — Leżysz... hę?... Wylegasz się, a mąż na ciebie pracuje... co?...

— Ij... — odparła. — I ja siedzę z rękami założonymi.

— Siedzisz więc z rękami rozłożonymi...

— Bodajby tak siedzieli wrogowie moi! — odparła.

— Chodzisz więc?...

— Od rana do wieczora... Chodzę i chwilki spoczynku nie mam... Ach! i tak mi ciężko... Ach! i tak mi trudno grosz mizerny zarobić...

— Za czymże chodzisz właściwie?

— Za czym?... jak to za czym?... No, za wszystkim... Kto czego potrzebuje, to ja chodzę, szukam...

— Szukasz i nic więcej?

— I noszę w koszyku na sprzedaż makaroniki, karmelki, makagigi, pierniki...

— Komu?...

— Studentom...

— Którym?

— Od księdza Zmianko...

Bawiło go to wielce; tymczasem ludzie, co odeszli byli, powrócili z drugim psem związanym, którego na znak barona położyli obok pierwszego i odeszli.

— Niech łaskawy pan baron... — zaczęła znów Chana.

— No?...

— Krzywdę nam naprawi...

— Krzywdę?... o!... jaką?... — odparł.

— A tęż to, tę, wedle stawu i ryby, co uciekła, a co my za nią gotówką z góry zapłacili...

— Kto, wy?

— Nu, kto!... Srul Kalisz...

— To Srul, a Srul nie jest żaden „my"...

— Łaskawość wasza żartuje sobie na zdrowie...

— Bynajmniej... „My" mówić ma prawo monarcha tylko o sobie, ale nie Srul Kalisz... Skąd on do tego przychodzi?

— Stąd, że on — to on i ja, a on i ja — to my!

— A... Ale ja nie znam ciebie...

— Dlatego też ja do łaskawości pańskiej, panie baron, przychodzę i kłaniam się jemu (tu się Chana pokłoniła), i powiadam...

— Co?...

— Powiadam ja, że Srul bardzo był, z przeproszeniem za słowo, głupi, że łaskawości pańskiej o jakimeś pozywaniu wspominał...

— Otóż to... Masz racją...

— On o pozywaniu wspominał, bo jego bardzo serce zabolało za tymi talarami, co gotówką wyliczył, i za tę rybkę, co uciekła... Kogóż by serce nie zabolało!...

Przyniesiono w chwili tej psa trzeciego i obok dwóch pierwszych złożono.

— Ja wiem — ciągnęła Chana — że łaskawość wasza krzywdę Srulowi sam z siebie wynadgrodzi...

Przyniesiono psa czwartego.

Żydówka usiłowała rozmowę do stawu i ryb zwrócić; baron zagadywał i gawędkę przeciągał, aż do psów czterech przybyło dwa jeszcze. Gdy to nastąpiło, tak się do Chany odezwał:

— A teraz czekaj i patrz, co to będzie...

Na parobków skinął; parobcy psa jednego na ławę podnieśli; on go za ogon ujął, nożem takowy przy osadzie odciął i wnet psa rozwiązać kazał. Pies skoczył, przysiadł, znów skoczył, umykał i zwijał się, przysiadał i skowyczał, puszczał się i zatrzymywał, znacząc ślad krwawy za sobą.

Takiż sam los spotkał psa drugiego, następnie trzeciego, czwartego, piątego i szóstego. Baron ogony jeden po drugim odcinał i na ganku na kupę składał. Sześć psów zoperował, sześć ogonów mu zostało. Operacji dokonawszy, jednemu z parobków oddał nóż zakrwawiony, sam zaś w boki się ujął i z głębi piersi, po wciągnięciu w płuca powietrza, wytchnął:

— Aa — uhf!...

## IX

Po dokonaniu dzieła, kiedy sześć psów — a były to gończe porody szlachetnej — z podwórza się wyniosły i jeden za drugim drogą śródborską zmiatały, baron do Chany się zwrócił i w te do niej słowa się odezwał:

— No, moja kobieto, widziałaś?...

— Widziałam...

— Prawda, żem rzecz zrobił porządnie, przyzwoicie i radykalnie?...

Żydówka, luboć nie zrozumiała wyrazu ostatniego, odpowiedziała:

— Prawda...

— Wiesz, co to było?...

— No... co było?... były ogony na psach, a teraz są ogony nie na psach...

— Uhm... Ma to znaczenie swoje... Były to psy polskie, a zatem i ogony polskie, i poobcinały się. Pojmałem je w moim lesie... Rozumiesz?...

— Rozumiem...

— Cóż ty rozumiesz?...

— Był las, w lesie były... ryby...

— Co, co!?...

— No... Ja do łaskawości jego z prośbą wedle ryb... — odrzekła tonem pokornym.

— A ja pytam ciebie wedle ogonów...

— Co mi ogony!... no, co ogony!... — zawołała głosem skargi, dłonie i oczy podnosząc do góry.

— Były w moim lesie, tak jak ryby w moim stawie, tak jak wy, Żydzi, i jak die Polaken, die schlachcicen (wyrazy te z przekąsem wymówił) nie w swoim jesteście świecie... Jak te psy, coś widziała, z podwórza mego, tak szlachcice z państwa pruskiego, kosztem własnym, bez ogonów, wynieść się muszą... O!... — ręką dosadnie machnął. — To pruska grzęda, donner-wetter!... nie polska, nie żydowska, ale pruska... pruska!... A teraz rozumiesz?...

— Rozumiem, ale...

— Ale co...

— No...

— Mów śmiało, mów... Ja lubię iść do głębi rzeczy... Ja człowiek sprawiedliwy, jak... wiesz?... nasz Fryderyk Wielki, co młynarza nie pokrzywdził...

— Łaskawość jego mnie, biednej Żydówki, nie pokrzywdzi!... — podchwyciła Chana czepiając się wyrazu, jak się tonący brzytwy chwyta.

— Boże chroń!... Bądź o to spokojna...

— No, jam to wiedziała... Jam tego pewna była...

— Ale pod warunkiem — przerwał, palec znacząco podnosząc — żebyś mi przysługę oddała.

— Czemu nie!... Ja do wszystkiego, łaskawy panie... — jęknęła.

— A, to dobrze... W takim razie, ot co.... Widzisz te ogony?...

— No... tak... widzę... — odpowiedziała biedna kobieta nie wiedząc, czy baron kpi, czy o drogę pyta.

— Ogony te, pięknie i porządnie zawinięte i związane, dam tobie i ty je wraz z listem do Śródborza, do grafa zaniesiesz... Zaniesiesz, pakunek i list mu wręczysz, na odpowiedź poczekasz i gdy mi odpowiedź dostawisz, wówczas o wynadgrodzeniu pomyślę...

Na słowa te fizjognomia Żydówki drewnianą się stała. Co odpowiedzieć — nie wiedziała. Zaczęła jąkając się:

— No... e... jakże to?...

— Rzecz prosta... Na tym świecie darmo nic... Chcesz wynadgrodzenia, zarób na nie... o...

Chana westchnęła, z nogi na nogę przestępowała i coś mówić chciała, lecz jej baron do słowa przyjść nie dał.

— Gadania nie ma... — podchwycił. — Tak albo nie?... Pomówimy za powrotem twoim... Wówczas dopiero się

pokaże, czyś zasłużyła, czy nie... Namyślże się; ja na chwilę odejdę dla ułożenia listu.

Odszedł. Chana została sama wobec ogonów i wobec propozycji, o jakiej w życiu swoim nigdy nie słyszała. Spotykało ją jednak propozycyj tyle i takich! Czego się ona nie podejmowała! W codziennej o życie walce goniła za groszem. Wszakże te ogony wydały się jej czymś tak do dotykania trudnym, że co począć, nie wiedziała. Wahała się. Spoglądała na złożoną pod ścianą wiązkę, zdawało się jej, że to nie ogony, ale gady, które lada chwila pełzać zaczną, i oczy od widoku tego odwracała. Wyobrażała sobie psy, jak się one wiły i przysiadały, i uciekały — i wyobrażała sobie jeszcze, że Żydzi i szlachcice polscy tak samo czynić zmuszeni zostaną za sprawą barona, ucinającego im — to jest Żydom i szlachcicom polskim — ogony. Nie pomyślała o tym, że oni przecie należą do rodzaju człowieczego, pozbawionego tego kości pacierzowej odrostu. W głowie się jej mąciło. Chustkę na sobie naciągała i ręce w rękawy chowała mówiąc do siebie samej w duchu:

— Nie... nie...

Postanowiła sobie nie tykać paskudztwa tego i zaklęła się na kurcz w rękach:

— Bodaj mi pierwej ręce pokurczyło!...

Gdy postanowienie to powzięła, baron wyszedł z listem w kopercie wielkiej w ręku, poprzedzając pachołka, który niósł w arkuszu ogromnym papier smołą napuszczony i szpagat w kłębku.

— Zawiń to... — rzekł do pachołka baron — w pakiet porządny.

Pachołek ogony zebrał, ułożył, papierem je obwinął, szpagatem obwiązał i zrobiła się z „paskudztwa" rzecz całe pokaźna — pakiecik, w którym domyślać się było

można wszystkiego, tylko nie psich ogonów. Pakiet ów baron z rąk pachołka wziął i Chanie podał:

— Na... masz... — rzekł. — A oto list...

Chana wzięła jedno i drugie.

— Idźże z tym do Śródborza i powracaj z odpowiedzią...

— A jak powrócę?... — zahazardowała się.

— Wówczas... zobaczymy...

— Pogadamy?...

— Pogadamy, spraw się jeno dobrze...

— Już ja się sprawię, byle łaskawość wasza... byle...

— No... — skinął baron dłonią. — Teraz gadać nie ma o czym.

Żydówka słówka więcej nie rzekła, pakiet pod chustkę schowała i w drogę ruszyła.

Idąc rozmyślała i rozważała. Ach! ten baron. Pomimo że na atletę wyglądał, ona jednak czuła w sobie siłę dostateczną do zgniecenia go w dłoniach. Siła ta pochodziła z ochoty, a nie znajdowała się w zbyt wielkiej z fizycznością kobiety sprzeczności. Chanę natura zaopatrzyła w kości grube, w muszkuły sprężyste, w ścięgna oporcze, w warunki wszystkie, od których zależy potęga dłoni... Wzrost przy tym miała więcej aniżeli mierny, posiadała więc upoważnienie do poczuwania w sobie ochoty, o której wzmiankujemy powyżej, a do której podnieta znajdowała się zarówno tak w tym, co dotyczyło jej, jak w tym, co się odnosiło do człowieka wymienionego z imienia i nazwiska na kopercie niesionego przez nią listu. Na kopercie tej figurował po niemiecku napis, brzmiący w dosłownym na język polski tłumaczeniu: „Jego wysoko dobrzeurodzoności panu, panu hrabiemu Krzysztofowi (von) Grackiemu, rycerzowi na Śródborzu — w Śródborzu“.

— Patrzcie! — rzekła do siebie Chana napis ów przeczytawszy. — Grackis?... Grackis?... To coś tak niby nazywał się ów studencik, na którego wołano „Masiu!“, a któremu naborgowała tyle na przepadłe... Jużem go lat kilka nie widziała... Już on wyrósł chyba...

Przesunęło się jej to przez myśl od niechcenia, przypadkowo, dlatego tylko, że się ze znanym sobie nazwiskiem spotkała. Wagi do tego nie przywiązywała żadnej. Głowę jej zaprzątała przede wszystkim ryba i ona też ryba byłaby w myślach zapanowała wyłącznie, gdyby w las wszedłszy nie zoczyła na drodze jednego z poszkodowanych, liżącego sobie z zapałem miejsce zranione. Zirytował ją widok ten. Dalej nieco spotkała drugiego, który na tylnych łapach usiadłszy suwał się na udach własnych, jakby jechał na saniach. Z głębi lasu dochodziło słuchu jej skowyczenie, co świadczyło, że psy podążają w tęż co i Chana stronę, zatrzymują się i ulżyć sobie czy też ból uśmierzyć starają się, jak im instynkt wskazuje. Jedne się liżą, drugie na udach się suwają, inne skowyczą. Ścisnęło się jej serce. Wyobraziła sobie, że to nie psy, ale Żydzi — Żydzi i szlachcice polscy.

— Aj, aj, aj... — jęknęła.

Baron przedstawił się jej pod postacią potwora.

— Jemu by ogon uciąć... Niechby się on tak lizał... — rzekła w duszy głębi.

Sformułowanie życzenia tego ulżyło jej nieco. Krok przyspieszyła i niebawem ujrzała przed sobą dwór ze strzechą słomianą, na której obok komina gnieździł się bocian, ten sam, co w kilka lat później skończyć miał tak tragicznie. Ona wszakże na bociana nie zważała zgoła. Z pakietem i listem zmierzała wprost do dworu. Na podwórze weszła. Na podwórzu pachołka spotkała.

— Ja do jaśnie grafa...

— Ano... dyć dobrze...

— Jaśnie graf w domu?...

— Jużci...

— Kędy do nich?...

— Prosto... we drzwi, do sieni, na prawo... i już...

Wedle wskazówki tej trafiła do komnaty obszernej, w której przy stojącym pośrodku a zastawionym nakryciem stołowym stole zastała osób pięć. Miejsce naczelne zajmowała hrabina, obok niej po stronie prawej siedział ksiądz barczysty, śladami ospy na obliczu poznaczony, naprzeciwko księdza po lewicy hrabiny graf, obok księdza młodziuteńka podówczas hrabianka, obok ojca pan Maurycy. Chana wszedłszy, jak skoro po obecnych okiem powiodła, wnet okrzyk radości wydała:

— No, chwała Bogu!... — zawołała. — Człowiek się nie spodziewał aż dwóch znajomych w miejscu obcym zastać...

— A, to ty... — odezwał się ksiądz. — Cóż tu porabiacie?...

— Co ja porabiam?... Iii... aaa... Ja porabiam to, że nie wiem już, gdzie głowa moja...

— No, przecie?...

— Wielmożny pan wiedzą i poświadczą, co ja kobieta uczciwa...

— Poświadczy Masio... — odparł ksiądz — który się na piernikach twoich wyhodował...

— No... jaśnie paniczyk... jak oni, chwalić Pana Boga, wyrośli!... — odezwała się Chana obrzucając spojrzeniem zwilgotniałym młodzika, liczącego już wówczas lat dwadzieścia bez mała. Jak oni, na zdrowie im, wyrośli!...

— To na piernikach twoich... — rzucił ksiądz żartobliwie.

— Jaż bo im nie żałowała...

Na słowa te pan Maurycy zapłonił się lekko.

— No, ale co tam!... Ja bym się cieszyła widokiem wielebnego pana i jasnego paniczyka, gdyby nie kłopot jeden, co mnie tu sprowadza... kłopot taki, że ja się sama dziwuję sobie, dlaczego mi głowa moja nie pękła... Dlaczego ona mi nie pękła... — powtórzyła z rozpaczą w głosie.

Dziewczynka, panna Tekla, ze współczuciem na Żydówkę jasnymi patrzała oczętami. Patrzała na nią i hrabina, a i w hrabiny oczach zajęcie się malowało. Hrabia odchrząkał. Ksiądz miał na ustach uśmiech na poły drwiący; brwiami ruszył i zapytał:

— Cóż tam przecie?...

Chana rozpowiedziała sprawę swoją z baronem.

— Hm... — mruknął graf. — Niemczysko niedawno się u nas zakupiło i burczy niby mucha w ukropie; dziwne jakieś gospodarstwo zaprowadza; hutę szklanną założył; koleje drewniane precz pobudował; lasy tnie, drzewo wozi i z sąsiadami się swarzy... Wczora psy moje gończe w knieje jego wpadły i do dziś nie wiem, co się z nimi stało... Ani chybi, że je jeżeli nie postrzelał, to połapał i powywieszał może... Hm?...

— Właśnie! — podchwyciła Żydówka, jak skoro o psach wzmiankę usłyszała. — O...

Rzekłszy „o“ wręczyła grafowi list i pakiet.

Graf pakiet na stole przy sobie położył, list rozpieczętował i czytać się jął. Czytanie po niemiecku niegładko mu szło. W papier się wpatrywał, wreszcie przez stół takowy księdzu podał prosząc, ażeby zawartość onego tłumaczył.

„Raczyłeś mi pan — tak tłumaczenie brzmiało — przysłać łaskawie psy swoje. Zdziwiło mnie to. Nie wiedziałem, co to znaczy, lecz pojęcie honoru i obowiązków sąsiedzkich rychło mi rzecz wyjaśniło i na mocy wy-

jaśnienia tego oddałem panu sąsiedzką przysługę. Że zaś do przysługi wszelkiej przywiązana jest wartość obliczająca się na pieniądze, a zatem mam zaszczyt przyłączyć przy niniejszym rachunek, który pan graf zaspokoić raczysz wręczając kwotę w podsumowaniu wyrażoną oddawczyni niniejszego. Psy wraz z wszystkim, co do pana grafa należy, odsyłam. Spodziewając się, że pan graf postąpisz sobie ze mną tak honorowie, jak ja sobie postąpiłem z nim, mam zaszczyt" etc. Podpis.

— Co to znaczy? — zapytał graf. — Gdzież są psy?...

— Idą... och!... — odrzekła żydówka.

Ksiądz, który rachunek oczami przebiegł, czytać w głos począł:

„Za odcięcie ogonów sześciu, po pół talara od ogona, talarów trzy.

„Za upakowanie pół talara.

„Za transport ogonów z Klatek do Śródborza pół talara.

Co czyni razem talarów cztery".

— Co?... — krzyknął graf brwi groźnie marszcząc.

— Widocznie... — odparł ksiądz — psom ogony poobcinał.

— O!... — odezwała się Chana, palcem na pakiet wskazując.

— Co?... — zerwał się graf. — A!...

Gniew, który go pięknym czynił, władzę mówienia mu odejmował.

— Ogony... ogony... — powtarzała Żydówka i palcem na pakiet wskazywała.

Graf się przeszedł, stanął, pięść zaciśniętą do góry wzniósł i zawołał:

— Ja go!... ja!... ja mu... łeb roztrzaskam!...

— Sztofeczku... — odezwała się hrabina.

— Ja go złapię i zbiję...
— Sztofeczku...
— Ja mu za ogony uszy poobcinam!...
— Sztofeczku...
— Ja mu tego płazem nie puszczę!...
— Sztofeczku... — powtórzyła hrabina po raz czwarty.

Każde jej imienia spieszczonego męża wymówienie działało na grafa na kształt balsamu łagodzącego. Za wymówieniem każdym skalę gniewu obniżał. Wreszcie niecierpliwie hrabinie odpowiedział:

— Czegóż chcesz!... Maż łotrostwo takie bezkarnie ujść!... Boć to łotrostwo... Toć to, panie, gończe!... Kto kiedy gończego bez ogona widział!... A, łotr! a, skurczybyk! a!...

— Sztofeczku... — odezwała się hrabina.
— Czegóż, no... czego chcesz po mnie!...
Ręką mu żona krzesło wskazała.
Graf usiadł.
— Co unoszenie się pomoże?...
— Co pomoże?... — odparł. — Pytasz, Giduleczko, co pomoże... Ty się nie unosisz, bo to ty; ale we mnie zburzyła się krew wszystka... Gdybym Niemca tego pod ręką miał, ha!...
— Uspokój się... — rzekła łagodnie.
— Ojcze wielebny... — zwrócił się graf do księdza — czy na opryszków, na hyclów takich, niebo piorunów nie ma?...
— Niebo piorunów nie ma... — odparł zapytany — ale sposoby są...
— Jakie?... mów: jakie?...
— Przede wszystkim... spokój...
— Spokój.. — potwierdziła hrabina.
— A potem?...

— Oddanie sprawy prokuratorowi...

— A?... I jakże to?...

— Na mocy prawa o patentach...

— W czymże on przeciwko prawu temu wykroczył?...

— Pełniąc rzemiosło hycla bez opłacenia na takowe patentu do skarbu... Ale... — podchwycił widząc, że graf się zapala — trzeba, żebyś graf dobrodziej rachunek mu zapłacił i pokwitowanie od niego wziął... Wówczas pozostanie jeno sprawę wdrożyć i jako dowód kwit złożyć...

— Ph... — wytchnął graf.

— Będzie to satysfakcja jakaś... Kara wypadnie zapewne niewysoka, ale postawienie przed kratkami barona von Krapiloff pod zarzutem takim — to rzecz...

— Ahm...

— Zapłać więc graf rachunek...

— Ach!... to, to... tak... Wielmożny pan mówił, jakby z książki czytał... — podchwyciła Żydówka.

— Jak tu jednak zrobić?... — zapytał graf. — Jak pokwitowanie wydobyć?...

— Hm?... — ksiądz na to; pomyślał trochę i dodał: — Niech Masio rachunek i pieniądze poniesie...

— Masio?...

— Ano... Będzie to dla niego próba życia z ludźmi... Potrzeba, żeby się zachował grzecznie, ujmująco nawet, wobec człowieka, dla którego w sercu żywi uczucia nieprzyjazne... Niech się trzyma ściśle w granicach interesu, niech się potarguje nawet...

Graf na hrabinę pytające zwrócił wejrzenie; ta zaaprobowała, podkreślając propozycję księdza głowy skinieniem; kwestia oparła się o hrabiego młodego.

— Cóż ty, Masiu, na to?... — zapytał ojciec.

— Jasnemu paniczkowi korona z głowy nie spadnie... — wtrąciła Chana. — Bo gdzież będę ja?... ja!... Ja będę... o... za jasnym paniczkiem... ja...

Przybrała postawę znamionującą gotowość bronienia młodzieńca, jak lwica dzieci swoje broni.

— Gdy papa sobie tego życzy... — odparł pan Maurycy.

— Jedź... jedź... — odezwał się ksiądz — korzystaj ze zdarzenia wystawienia siebie na położenie drażliwe... Położenia podobne zdarzają się w życiu często... Pismo święte — dodał z uśmiechem dwuznacznym — mówi o prostocie gołębia i chytrości węża... Bądź wobec barona gołębiem i wężem zarazem... Ot, co jest...

— Ja bym pojechała... — podchwyciła dziewczynka, która mieć mogła podówczas lat trzynaście, czternaście.

— Na przykład... — odezwał się ksiądz żartobliwie.

— Dobrze... — odparł pan Maurycy — jadę...

Graf przez lokaja posłał do stajni rozkaz, ażeby konie do wolanta założono, i odszedł na chwilę celem odpisania baronowi. Gdy odchodził, Żydówka przypomniała:

— A ogony!...

Wyraz ten uwagę na leżący na stole pakiet zwrócił:

— Niech to zabiorą!... niech zabiorą!... — zawołała hrabina, głowę ze wstrętem odwracając.

Pakiet zabrano; obecność atoli owego na stole — na tym stole, na którym spożywano preparaty kuchenne, nie pozostała bez wpływu na proces przygotowujący się w żołądku hrabiny w odniesieniu do włożonych w takowy artykułów pożywienia. Poczuła łechtanie w przewodzie gardlanym, które zmusiło ją zerwać się nagle od stołu i uciekać z dłonią przy ustach. Za matką, która z przyległego pokoju znać o sobie dawała, wybiegła hrabianka. Pan Maurycy został celem przyszykowania się do wizy-

ty. Ksiądz się na krześle wyciągnął, policzki nadął, odsapnął i do Chany się uśmiechając rzekł:

— A co... widzisz?... Aha!...

## X

— Czy ja się tego spodziewać mogła — odzywała się od czasu do czasu Chana jadąc jedną z panem Maurycym bryczką ze Śródborza do Klatek — żebym jaśnie paniczka spotkała!... Ani mi się to śniło... No!... No!

Powtórzyła to razy parę, tak że w końcu pan Maurycy zapytał jej:

— Czegóż to cię tak dziwi?...

— Mnie to nie dziwi, ale cieszy...

— Cieszy? czemuż to?...

— Tak sobie... ot... Jakiem nie wiedziała, czemu tam, pomiędzy studentami, co ich było mnóstwo takie, jasny paniczyk mi tak w oko wpadł, żem dla was osobno pierniki i osobno makagigi odkładała, tak i teraz nie wiem, dlaczego mnie cieszy. Cieszy... ot... i... gdyby nie ta ryba... Aj!...

Westchnęła i głową pokręciła.

— Wszystko to poszło z gałgaństwa Srula... no, gałgan. Srul gałgan... Jemu się tak już sądziło.

I prawiła jeszcze z tematu tego; ale pan Maurycy nie odpowiadał, może i nie słuchał. Zajmowała go wizyta, która tak niespodzianie i w takich warunkach niezwykłych na niego spadła. Miała ona cechy negocjacji dyplomatycznej, chodziło bowiem o wyspekulowanie podpisu, którego by się znaczenia i przeznaczenia podpisujący nie domyślił. Przysposabiał się więc do takowej, jak zapewne ambasador nadzwyczajny przysposabia się do wywiązania się z zadania delikatnego. Chodziło mu jeno o to, ażeby barona w domu zastać i prędko się załatwić. Życzył sobie tego.

Życzeniu temu stało się zadość.

Barona przybycie jego zdziwiło trochę. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Spodziewał się zupełnie czegoś innego. Znajomość temperamentu polskiego ukazywała mu w perspektywie zajście sąsiedzkie, poprzedzone listem impertynencyj pełnym. Nie w innym celu, jeno dla wywołania awantury dopuścił się względem grafa szykany. Zobaczywszy przeto zajeżdżający przed ganek wolant, a w wolancie młodzieńca jakiegoś i z młodzieńcem Żydówkę, którą z listem do Śródborza wyprawił, nie wiedział, co to znaczy. Brwi namarszczył i policzki wydął.

— Co u licha!... Do kogo to się Żydówka przysiadła?...

Grafa starego z widzenia znał, młodego nie widział nigdy.

Pan Maurycy przedstawił się mu.

— Ach... och... Co za zaszczyt!... Raczże pan usiąść...

— Ja do pana barona na chwileczkę tylko...

— Zechcesz pan jednak po podróży wypocząć...

— Dziękuję... Podróż niedaleka... Mam do załatwienia z baronem interes i nie chcę mu czasu zabierać...

— Mogęż zapytać, na czym interes polega?...

— List ten wytłumaczy...

To mówiąc podał młody hrabia baronowi list, który ten otworzył, okiem nań rzucił i ramionami wzruszył.

— Po polsku... Język ten jest mi nieznany...

— Ojciec mój, o ile wiem, dziękuje panu baronowi za przysługę, jaką mu wyświadczyć raczyłeś.

— A?... hm... — znów ramionami wzruszył.

— I przysyła mnie celem uregulowania rachunku...

— Wszak rachunek uregulowany... Posłałem takowy przez Żydówkę... — odpowiedział, oczami na stojącą z boku Chanę wskazując.

— Mam go przy sobie... — odparł pan Maurycy, rachunek z zanadrza wydobył i na stole złożył.

— A więc?...

— Wydaje się ojcu memu za wygórowany trochę...

— No?... w jakim względzie?...

— Po pół talara od ogona... Zgódź się pan baron sam, to za wiele...

— Za wiele?...

— Czyby się zredukować nie dało?...

— No?...

— Pół talara za dwa ogony...

— Hm? — pomyślał przez chwilę i głowę podnosząc a na pana Maurycego z góry spoglądając dodał: — Ahm... Domyślam się czegoś ze strony waszej...

— Panie baronie... — podchwycił młody człowiek. — Ze strony mojej pragnę jeno sprawę ku zadowoleniu pana i ojca mego załatwić...

— Zapłać więc pan, panie graf, i kwita...

— Jeżeli pan z ceny spuścić nie chcesz...

— Nie chcę...

— Nie pozostaje mi zatem jak zapłacić, ale pan baron będziesz łaskaw rachunek pokwitować...

— Uhm? — baron głową wstrząsnął.

— Muszę przed ojcem z powierzonego mi interesu sprawę zdać...

— To prawda...

Widać było w Niemcu wahanie się; usta ściskał, wąsy rozgładzał i na rachunek spoglądał, ale się z podpisywaniem nie kwapił.

— Składam oto pieniądze... — odezwał się pan Maurycy, cztery talary na biurko lokując.

— Uhm?...

— Teraz uregulowanie od pana barona zależy... podpis jego będzie dopełnieniem formalności, od której uchylać się człowiek honorowy nie może...

Baron odkaszlnął z przyciskiem.

— Zresztą porządek tego wymaga...

— Porządku mnie pan graf nie ucz... — odrzekł baron tonem złego humoru.

— Nie ośmielam się uczyć, tłumaczę się jeno przed panem, dlaczegom go wizytą moją zaniepokoił...

— O, panie grafie...

— Sądzę jednak, że mi pan tego nie weźmiesz za złe i zechcesz, bodaj dla pozbycia się mnie, załatwić tę tak prostą i tak naturalną formalność...

Baron brwiami ruszył:

— Pozbywać się gościa tak miłego wcale bym nie chciał...

— Dziękuję panu baronowi... bardzo dziękuję...

— Naleganie jednak pańskie... hm?... wydaje się mi, jakby nie całkiem naturalne było...

— O?... — odezwał się pan Maurycy udając zdziwienie.

— W tym coś jest...

— Cóż na przykład?... Racz mnie, panie baronie, nauczyć, ja bowiem nie wiem...

— Wy, panowie, Polacy... — zaczął.

— Cóż, my Polacy? Czyśmy czego dokazali?...

— Nie dokazaliście wy niczego, z tym wszystkim z wami się na ostrożności mieć należy, z podpisami zwłaszcza... Oto Fryderyk Wilhelm podpis dał i podpisem tym wojujecie w sejmie...

— I czegośmy się dowojowali?...

— No... niczego... to prawda, a dlatego, żeśmy narod twardy...

— Kwadratowy... — powiedział pan Maurycy.

— Tak... żelazny... Kwadratowy żelazny...

— Skądże przeto wyciągnąć co byśmy mogli z podpisu pana barona, kwitującego za odebranie należnych mu za przysługę sąsiedzką czterech talarów?... Niech baron pod

rozwagę to wziąć raczy... Ja płacę, baron kwitujesz... Oto wszystko...

— Kwitem tym ojciec pański chwalić się będzie... — podchwycił baron tonem takim, jakim się wypowiadają odkrycia niespodziane.

— A... może... zapewne... We względzie tym, pojmujesz baronie, ręczyć się nie podejmuję...

— Chwalić się?... przed kim?... I... Co mi tam!... Panowie Polacy i tak mnie nie chwalą, ja zaś o pochwały ich nie stoję... O, panie grafie...

Przy wyrazach ostatnich do biurka się zwrócił i całkowicie a wyraźnie wypisawszy datę, podpis swój pod zakwitowaniem nakreślił.

— Czy tak?... — zapytał podając panu Maurycemu rachunek. — Rzecz w porządku?...

— W porządku... Nie pozostaje mi jak pożegnać pana...

— Chwilka... — odezwał się baron dłoń podnosząc i wstając. — Do porządku zupełnego brak jeszcze czegoś... Racz, grafie, poczekać momencik... natychmiast powrócę...

Po wyjściu jego Chana dłonie złożyła i z wyrazem mało że nie uwielbienia na młodego hrabiego patrząc, odezwała się:

— No... jakże pięknie jasny paniczyk z bydlęciem tym rozmawiać umiał... Żeby się tak jasny paniczyk za mnie rozmówił... Ale nie... nie... Już ja za siebie sama będę gadała... Coś on jeszcze ma... jakiś ani chybi kłopot nowy...

Baron wrócił niosąc w ręku obróż kilka.

— Oto — rzekł, obróże panu Maurycemu wręczając — własność pańska... Ludzie moi pozdejmowali te obróże i zaręczają, że nie było więcej jak cztery... Jeżeli tak, w razie takim nie możecie mieć panowie do mnie pretensji najmniejszej: oddałem panom psy, ogony i obróże, słowem, wszystko, co do panów należy...

— I myśmy się baronowi uiścili... I baron do nas...

— Pretensji nie mam żadnej...

— Skwitowaliśmy wzajemnie...

— Skwitowani...

Młody hrabia skłonił się; baron go na ganek wyprowadził, powrócił i Chany zapytał:

— Widziałaś?... słyszałaś?...

— Łaskawość wasza... no...

— Co?...

— Takiego pana mądrego nie widziałam jeszcze...

— Nie widziałaś... nie dziw... z Polakami się wdajesz... Wdaj ty się z Niemcami... zobaczysz...

— Już ja widzę...

— Ano... Graf Gracki kwit ode mnie wziął i chwalić się nim będzie... Będzie się chwalił głupotą własną: szkodę poniósł i zapłacił... Na to Polakiem być potrzeba... Nieprawda?...

— Prawda... — potwierdziła Żydówka.

— A jak to spokorniało!... Dawniej byłby: hom! bom! narobił i jam się tego spodziewał; byłby za psie ogony na pojedynek mnie wyzywał, awantury wyprawiał; a teraz zamiast tego wszystkiego syna z talarami i z prośbą o podpis przysłał.... On nie Polak chyba?...

Że wyrazy ostatnie akcentowało zapytanie, Chana więc odpowiedziała:

— No... nie wiem ja... On graf polski...

— Graf on niemiecki... to skóra niepolska i ciekaw bym był dowiedzieć się, kto w skórze tej pod nazwiskiem Gracki siedzi?...

Żydówka ramionami ścisnęła.

— Czemuż awantury nie wyprawił?...

— Może on się łaskawości waszej lęka...

— Hm... hm... No, niech tak będzie... Zobaczymy dalej... Jeszcze ja go na próbę niejedną wystawię...

 

— Niech jeno łaskawość wasza nie wystawia na próbę mnie...

— Albo cóż ty?...

— Co ja?... Ja... wedle tego, co łaskawość wasza obiecać mnie raczyła...

— Wynadgrodzenie... hę?...

— Jużci...

— Masz!...

Rzekłszy to do kieszeni sięgnął, sakiewkę wyjął i pół talara Żydówce wyliczył.

— No?... cóż to?... — zapytała patrząc na pieniądze, które na dłoni trzymała.

— Zapłata za transport ogonów i listu... Mało?...

— Nie to, ale... łaskawość wasza...

— Tylem w rachunku zapisał...

— Ten interes wedle ryby...

— Oho!... interes ten skończony... Jeżeli Srulowi wydaje się, że pokrzywdzonym został, niech się na drogę prawa udaje...

— On się na drogę prawa nie uda... On mnie przysłał do łaskawości waszej, ażebym pokornie prosiła i mówiła, że taki pan, z takim honorem wielkim, zlituje się nad Żydem biednym... To ja mówię do honoru waszego, gnädiger Herr... Honor taki...

— Hum... — uśmiechnął się baron i zapytał: — Jakże tam w Śródborzu było?...

— No... jak?... Było tak, żem ja list oddała i ogony oddała...

— A graf co?...

— Wziął i przeczytał... przeczytał i... no i rozgniewał się, a potem...

— Co?...

— Powiedział: nie ma co... Z tym baronem zadzierać się nie można...

— Ty mi bajki gadasz...

— Bajki... Jakie bajki?...

— Graf sam z siebie nie powiedział tego...

— Czemu nie?...

— Dlatego że byłoby to roztropnie, a u szlachciców o gadanie roztropne trudniej aniżeli o włosy na dłoni... Graf on niemiecki, ale szlachcic polski, niesposób przeto, ażeby się, list mój odczytawszy, nie zapalił i głupstw nie prawił...

— Prawił... no...

— Co mianowicie?...

— Głupstwa...

— Jakie na przykład?...

— Jakie?... no: oto takie, że łaskawości waszej uszy poobcina...

— Uszy?... mnie?... Donnerwetter!... — wykrzyknął.

— Ogon... — poprawiła się Żydówka przestraszona.

— Cha, cha, cha!... niedoczekanie jego... A dalej?...

— Dalej nic...

— Ktoś mu podpowiedzieć musiał, że się ze mną zadzierać nie można...

— Młody graf... — odrzekła na chybił trafił.

— Aha... O, to majster, jezuicki wychowanek: z nosa mu to widać.... Ale na jezuitów my sposoby mamy... Ho, ho!... A nie mówili tam o Prusakach czego?...

— Jakby mówić nie mieli!... Mówili: oni nas zjedzą...

— Otóż to... O tak... Zjedzą?... tak: zjedzą z korzeniem i z nasieniem, jak należy... so...

— A moja ryba, gnädiger Herr? — przerwała Żydówka.

— Ahm... uh?... Chciałbym coś dla ciebie zrobić za to, żeś się tak dobrze sprawiła... Co na przykład?... — zamyślił się.

— Ach! najłaskawszy panie...

— Co się stało, to stało: jak wstecz woda nie płynie, tak ryba nie wraca, ale... oto co... Hm?... Poniosę ja na tym stratę... no... Ponieważ jednak wynadgrodzić bym ci chciał, więc... mniejsza o to: szkło...

— Co... szkło?... — zapytała.

— Odstąpię ci za bezcen wszystkie szkło, jakie na składzie mam...

— Na co mi ono?...

— Na handel... Na cóż ryba służyć miała?... Wysprzedasz szklankę po szklance, flaszkę po flaszce i co zarobisz, to będzie twoje... Hurtem kupiona flaszka wypadnie ci na przykład za feniga; gdy ją sprzedasz za fenigów dziesięć, zyskasz... ile?... Rachunek prosty...

— Ja bym wolała rybę...

— Ryba uciekła... Zamiast ryb masz szkło, które nie zdechnie, cuchnąć nie będzie, nie przepadnie, a sprzeda się zawsze... I swoje odbierzesz, i rybę odbijesz, i zarobisz... To interes dobry i dla mnie, i dla ciebie: dla mnie, bo mi się magazyn oczyści, dla ciebie, bo ci zapewnia zarobek lekki... Będziesz sobie siedziała, sprzedawała i pieniądze chowała...

— Nie można by widzieć tego?... — odezwała się Chana po namyśle.

— Owszem... można... Zobacz, opatrz, namyśl się... Nie będziesz przecie kupowała kota w worku...

Służącego przywołał i kazał mu Żydówkę do magazynu zaprowadzić.

Chana obejrzała szkło w składzie. Było tego dużo. Miarkowała, obliczała, rozważała. Baron nadszedł.

— No i cóż?... — zapytał.

— Cóż łaskawość wasza za to chce?

— Żebyś za rybą nie płakała, zapłacisz mi talarów dwieście...

— Ja nie mam tyle...

— Pożycz sobie... Możesz śmiało zaryzykować, chociażbyś miała dać procent jak najwyższy...

Targować się zaczęła. Ofiarowała talarów pięćdziesiąt. Baron ofiarę tę z indygnacją odrzucił; nazwał Chanę głupią z powodu, że nie korzysta z dobrego jego humoru, i gadać z nią nie chciał. Ledwie nie ledwie Żydówka ułagodzić go zdołała i uprosiła, ażeby jej do namysłu czasu nieco zostawił, albowiem:

— Trzebaż, żebym się z mężem poradziła... — mówiła.

— Ano... dni trzy...

O tydzień prosiła.

— Bo to — tłumaczyła — nie tylko poradzić się, ale i pieniędzy skądeś dostać potrzeba.

— Hm?... co do pieniędzy... — odparł i dodał: — Gotowem od was weksel wziąć... Wystawicie mi weksel za pół roku płatny... Jest to ze strony mojej ustępstwo takie, o jakim mi się ani śniło... Jedźże, radź się i za tydzień powracaj... W razie gdybyś nie powróciła, każę szkło partiami na jarmark wywozić i dostanę za nie talarów nie dwieście, ale pięćset, może osiemset...

Ustępstwo co do sposobu wypłaty przedstawiało tę korzyść elementarną, że zaoszczędzało procent półroczny, który by dla Srulostwa wyniósł kwotę znaczną ze względu na trudność uzyskania kredytu. Liczyć było można, że w przeciągu pół roku część szkła się wyprzeda i w razie najgorszym bodaj połowa długu ze sprzedaży się wyręczy. Pozostawało więc jeno zbadać stan handlu szklanego pod względem aspektów, jakie przedstawiał. Pozostawało oraz pomówić ze Srulem. Tego ostatniego jednak Chana ani próbowała. Srul, dotknięty tak głęboko niepowodzeniem ostatnim, ze strony jednej — w księgi się wgłębił, z drugiej — zgałganiał, że nie rozumiał, co się do niego gadało. Chana przeto dowiadywała się o cenę w sprzedaży

na sztuki wyrobów szklanych takich jak szklanki, kieliszki, butelki, szkła na szyby, miarkowała, obliczała i w rezultacie regularnie wypadał jej zysk. Zysk wydawał się pewnym. Zgłaszała się do szklarzów. Z tych niektórzy zobowiązywali się zabrać u niej tafle, jeżeli się przydatne okażą. Dlaczegóżby przydatne być nie miały! Rzecz się składała cale obiecująco, tak że po namyśle głębokim i rozważaniu wszechstronnym Chana, po upływie tygodnia, nająwszy skład w mieście powróciła do Klatek z wekslem przez Srula podpisanym.

— Zabieraj... — oznajmił jej baron.

Słowo to powiedziało się łatwo; gdy jednak do zabierania towaru i transportowania przyszło, dopiero Chana poznała, jak to trudno ze szkłem się obchodzić. „Nie miała baba kłopotu“ — napytała sobie takowy. Połowa szkła wytłukła się, druga połowa doszła na miejsce przeznaczenia i pokazało się, że się do handlu nie przydaje. Były to próby najpierwsze, jakie wyprodukowała huta barona, szklanki, kieliszki, butelki niemożliwe, tafle pokrzywione i dziurawe, wszystko ze skazami, garbami, wklęsłowiami, których nie posiadają szkła najpośledniejsze. Na nic się nie przydało chodzenie od kupca do kupca, nastręczanie się, roznoszenie towaru: nikt gadać nie chciał. Chanę rozpacz ogarnęła, odwaga ją opuszczała, przychodziło jej niekiedy do głowy: „powieszę się“; chwyciła się znów handelku łakociami i ze strachem myślała o terminie wykupienia wekslu.

— Gałgan... — myślała sobie, myśląc o mężu, i ze złością spoglądała na niego, kiedy się on modlił i wzdychał.

— Do czego to!... Co to pomoże!... Ot, Lejba (był to brat rodzony Chany, co przed laty do Ameryki wyjechał) nie modlił się i nie kiwał, i gorzej mu się nie działo...

W myśli czyniła przegląd bogaczów i znajdowała, że żaden z nich zakonu, jeżeli nie w zupełności, to po większej części nie przestrzega, a pomimo to Bóg Izraela od nich oblicza swego nie odwraca.

— Bóg Izraela!... — powiadała z przekąsem.

Termin fatalny nadszedł i sprowadził akcję sądową, która się rozstrzygnęła sfantowaniem za długi. Nie była to niespodzianka żadna. Stało się, co stać się miało. Bieda się wzmogła. Przepadło wszystko z wyjątkiem dwóch rzeczy: nabożeństwa, którego się Srul uparcie trzymał, i odwagi, z jaką Chana czoło losom przeciwnym stawiała prowadząc po dawnemu handelek swój drobiazgowy.

## XI

Mijały lata po latach, następowały zmiany, które czas sprowadza i okoliczności tworzą. Dzieci powyrastały, ludzie dojrzali ku starości się chylili, Prusacy Austriaków pobili, graf w Śródborzu pałac stawiał, baron w Klatkach szkła fabrykował i majątki przykupował, Chana na sprzedawaniu studentom łakoci i oddawaniu ludziom przysług fundusiku się na nowo dorabiała; mąż jej zawsze się modlił; ksiądz Zmianko ją zawsze protegował. Nagle — z horyzontu znikła. Nadaremnie ją, a raczej koszyka jej, studenci wyglądali. Nie przyszła w dniu jednym, drugim i trzecim, nie pokazała się przez cały tydzień. Dziwiło to studentów, dziwiło i księdza Zmianko.

— Zachorowała zapewne...

Na przypuszczeniu tym skończyło się. Po nim nastąpiło zapomnienie. „Co z oczów, to i z myśli". Chana nie pokazała się więcej. Zapomniano przeto o niej, zapomniano tak dalece, że po przypuszczeniu, że zachoro-

wała, nikt już nawet nie czynił następnego, które, gdy się przez tygodni kilka nie pokazała, nastręczało się samo, a mianowicie, że umarła. Nikogo to nie obchodziło, ani nawet księdza Zmianko. Ksiądz faktorkę inną zaufaniem swym zaszczycił.

Z tygodni zrobiły się miesiące, z miesięcy złożył się rok, który upływał był z górą, gdy razu pewnego księdzu, pracującemu w kancelarii swojej, oznajmiono, że dama jakaś z nim się widzieć życzy sobie.

— Co za dama?... — zapytał służącego.

— Niby znajoma, ale nieznajoma... — odpowiedział zapytany.

Że ksiądz oczekiwał wizyty matki jednego z elewów, więc nazwisko matki owej z akcentem zapytania wymówił.

— Ale... gdzież tam!... To jakaś, o której by powiedzieć można, że... Niemka chyba, a może... hm?...

— Do refektarza proś... wnet wyjdę... — ksiądz na to.

Od biurka wstał, rewerendę na sobie obciągnął, otrzepał się nieco i do refektarza się udał.

Dama zajmowała fotel w głębi. Wygląd jej był imponujący. Na niej atłasy, aksamity, sobole, złoto, klejnoty; na głowie kapelusz modny, spięty klamerkami, w których połyskiwały diamenty; na ręku szal tyftykowy wartości wysokiej. Gdy ksiądz wszedł, podniosła się — widzieć się dał wzrost jej okazały i postawa szacunek wzbudzająca — iście królewska postawa.

Ksiądz się do niej zbliżył, skłonił się jej i otwierając usta do zapytania, „z kim ma zaszczyt“, cofnął się o krok, jakby go niespodzianie blask poraził.

— Co widzę!... — zawołał.

— No... cóż wielmożny pan?...

— Ach!...

— Nie poznaje mnie?...

— Właśnie, że poznaję i oczom własnym nie wierzę...

— Czemu to nie wierzyć!... To ja...

— Cóż to się stało?...

— Co?... ot... rozbogaciałam...

— A to rzecz nadzwyczajna, niesłychana!... Niechże pani (wyraz „pani“ wymówił z akcentem lekkim) siada...

— Usiądźmy, to ja rozpowiem wszystko...

Usiedli i dama zaczęła:

— Do rozpowiadania nie ma wiele... Brat mój, co lat temu ze dwadzieścia do Ameryki popłynął, umarł i zostawił majątek wielki... Cały ten majątek dostał się mnie: ot i wszystko...

— Cóż Srul na to?...

— Głosem wielkim wołać zaczął: „Chwała Bogu na wysokościach!“; a jam się rozgniewała, na niego nakrzyczała... Odczepnegom mu dała: niech się modli sobie...

— Jak to, rozwiodłaś się z mężem, pani?...

— Cóżem robić miała!...

— Hm?... — mruknął ksiądz sam do siebie i dodał po chwili: — Zapewne jednak wkroczyłaś w związki małżeńskie nowe...

— Nie jeszcze... — odparła. — Nie spieszy się mi... Wybieram, przebieram, od bankierów wielkich opędzić się nie mogę...

— Jednakże... — wtrącił tonem sentencjonalnym.

— At... O...

Ujęła w dwa palce brzeżek narzutki aksamitnej, co ją okrywała, i wstrząsnęła nim z tym gniewem charakterystycznym, który otrząsanie się moralne z czegoś tłumaczy.

Ksiądz na nią uważnie spojrzał i oczami ją zmierzył, odchrząknął i rzekł:

— Bądź co bądź... tak przecie nie zostanie... Serce pani przemówi, a zapewne i — dodał znacząco — przekonanie co wybierze... Gdzie pani mieszka?... — zapytał.

— W domu własnym (wymieniła numer i nazwę ulicy); alem ja zapytać o coś chciała i dlategom tu przyszła...

— Proszę...

— Ja bym do Śródborza pojechała?...

— No?...

Oczy kobiety magnetycznym migotały blaskiem.

— Nic... — odpowiedziała ze zmieszaniem lekkim. — Tak sobie... o... Czy to nie wolno?... Ja teraz bogata taka!... Siedemdziesiąt tysięcy talarów dochodu...

Wyrazy ostatnie z dumą uakcentowaną wymówiła.

— Była tam pani kiedy?...

— Wielmożny pan nie pamięta?...

Ksiądz oczy do góry wzniósł, jakby przypominał sobie. W rzeczy samej, zapomniał może...

— Wtenczas... wtenczas... — podpowiadała usiłując wspomnienie w umyśle księdza obudzić.

— Kiedy?...

— Jaż tam wielmożnego pana widziała...

— Nie przypominam sobie...

— List od barona z Klatek...

— List?...

— No... i ogony...

— Ogony?...

— Od psów... od psów, co to je baron poobcinał...

— Oho!... — krzyknął ksiądz. — Przypominam sobie... List i rachunek... czy tak?...

— Tak...

— Odjechałaś pani z młodym grafem?...

— No... właśnie... z młodym grafem, z tym, co był tu studentem...

— A tak: czas jakiś znajdował się w zakładzie moim...

— Otóż to... młody graf, co tak pięknie... pięknie wyrósł...

— Pięknie wyrósł... — powtórzyła patrząc księdzu w oczy.

Ksiądz nic nie odpowiedział na to; nie zważał, zdawało się, na akcent, z jakim wyrazy te wymawiane były. Milczał i czekał na to, co kobieta powie; ta zaś ze swojej strony czekała także, wreszcie milczenie przerwała:

— Jakże — zapytała — gdybym do Śródborza pojechała?...

— Hm?... nie wiem...

— Jak się wielmożnemu panu zdaje?...

— Trudna rada...

— Ja się tak wielmożnego pana pytam dlatego, żem wielmożnemu panu niekiedy się... przydawała... to mnie się zdaje, że mi wielmożny pan poradzi...

— Owóż, jeżeli mam prawdę powiedzieć... nie myślę, ażeby to wypadało...

— Nie?...

— Nie... nie myślę... — odrzekł z akcentem przekonania.

— Choć ja bogata taka?...

— Tam pieniądze znaczą niewiele...

— Cóż znaczy?...

— Co innego... Wyobraź pani sobie jeno grafa, hrabinę, hrabiów młodych, hrabiankę...

Mówiąc to gestykulował ręką, pokazując dłonią wyżynę niby obłoków sięgającą.

— Graf, hrabina, hrabiowie młodzi, hrabianka... — powtórzył — o!... Pałac sobie postawili...

— Pałac... — bąknęła kobieta w sposób echowy, a tonem takim, jakby się spod jakiegoś przygniecenia wydobywały; po chwili jednak, jakby otrzeźwiała, odezwała

się: — No... o ja: czyżbym to ja pałaca postawić nie mogła!... Pałac, owa!... Nie ma co w pałac dąć tak bardzo...

— Zapewne, gdy do dęcia nic nie ma innego... Po pałacach mieszkają ludzie różni, mniej i bardziej bogaci; nie każdy jednak bogacz grafem jest... To coś przecie znaczy...

— Jakże to będzie?... — odezwała się tonem pretensji.

— Pozwól mi pani, ażebym rzecz tę bliżej rozpatrzył... Dowiem się i... panią odwiedzę...

— No... to ja się na wielmożnego pana spuścić już mogę?...

— Jak najzupełniej...

Posiedziała jeszcze trochę; pytała, kto studentom pierniki i makaroniki nosi; powiedziała, że za czasem, kiedy to czyniła, nie żałuje zgoła, i pożegnała księdza, który ją do schodów odprowadził.

W ciągu rozmowy wyraziła się, że przyszła. Nie zgadzało się to z istotą rzeczy. Nie przyszła, ale przyjechała, a przyjechała nie lada jak. Przywiozła ją i odwiozła kareta nosząca stempel fabryki jednej z najpierwszych w Berlinie, ciągniona przez konie rasowe, nad którymi berło furmańskie dzierżył stangret w liberii migdałowej i ze wspaniałym kołnierzem futrzanym. Stangretowi wtór trzymał lokaj, odpowiadający wszelkim dobrego tonu wymaganiom.

Kareta zatrzymała się przed jednym z domów przedmieściowych, wjechawszy w podwórze graniczące z ogrodem. W podwórzu nic się osobliwego w oczy nie rzucało, a to dlatego zapewne, że zima użyczała onemu tej cechy, którą nadają mrozy, sprowadzające do mianownika jednakowego piękno i niepiękno, uśmiech i skrzywienie płaczliwe. Warto jednak było do środka domu zajrzeć. Wnętrze domu miało pozór pudełka do przechowywania klejnotów co najkosztowniejszych. Na podłogach kobierce; meble wytworne a miękkie i sprężyste; obicia, firanki, ozdoby i sprzęty

w gatunku jak najlepszym. Na wszystkim tym wszakże odbijało się piętno tapicera, któremu polecono dom wewnątrz zaopatrzeć i przyozdobić bez oglądania się na koszta. Nie brakło smaku, jakim się odznaczają okazy na wystawach, przedstawiające salony, buduary, gotowalnie, jadalnie i sypialnie.

Takim było mieszkanie Chany, która umodyfikowała imię swoje i nazywała się pani Anna Kalisz.

„Prybud‘ szczastia, rozum bude“. Zostawszy nagle wielką panią, pani Anna zastosować się potrafiła do nowego położenia swego. W krótkim czasu przeciągu w domu aparat wewnętrzny w ruch puszczony poszedł i szedł jak w zegarku. Służba zajmowała stanowiska odpowiednie, a przy osobie pani znajdowała się panna służąca, panna Marianna, osoba obowiązki swoje na wylot znająca.

Gdy przeto pani Anna od księdza powróciła, osobą, która ją w progu buduaru spotkała, była panna Marianna.

Gdy ze zwierzchnich narzutek rozebraną została, w zwierciadle się przejrzała i zapytała:

— Nie było tu nikogo?...

— Owszem: trzej panowie, którzy karty swoje zostawili...

Karty na srebrnej, pozłacanej tacce podała i pani Anna wzięła jedną, spojrzała, rzuciła i rzekła:

— Człowiek ten mnie nudzi...

Wzięła drugą:

— Ach!... — wymówiła przeciągle z zacięciem indygnacji.

Wzięła trzecią, nazwisko przeczytała.

— Cóż to za jeden?... Pisze się od Rotszylda?...

— Kawaler jakiś bardzo szykowny i grzeczny...

— Dla panny Marianny grzeczni oni wszyscy...

— O tak... za pozwoleniem pani... — odparła panna służąca ze zmizdrzonym uśmiechem.

— Nie bronię... ja nie taka... Niech pannie Mariannie grzeczności przynoszą jak najwięcej... i owszem... Ja bym chciała, żeby u mnie wszystkim działo się dobrze... taka natura moja... A swoją drogą, powiadałam i powtarzam, że jak mi panna Marianna da znać o kawalerze, do którego serce moje idzie, to ja jej dam na rączkę...

Cmoknęła i pokazywała liczenie pieniędzy na dłoni...

— Bylebym go poznać mogła...

— Phi... poznać?... Poznałaby go panna Marianna z łatwością, gdybym ino powiedziała imię jego... Bo i on, gdy przyjdzie, to kartę pokaże...

— O, gdybyż przyszedł!...

— Ach... — westchnęła pani Anna. — Może on nie przyjdzie nigdy...

Usta odęła, głowę na bok nieco przekrzywiła i zadumała się.

— Niech się pani nie trapi... — głosem płaczliwym odezwała się panna Marianna.

— Jak mi się nie trapić... oh... — odparła.

— Co bym ja za to dała, gdybym panią pocieszyć mogła!...

— At... — machnęła pani Anna ręką. — Miałam ja dawniej utrapienia inne, a teraz znów inne, a zawsze takie wielkie, że nie daj Boże...

— Pani... pani... pani... — poczęła panna Marianna popłakiwać naprawdę.

Pani Anna także do płaczu się krzywiła i byłaby nastąpiła scena łzawa, gdyby turkot na podwórzu nie oznajmił czyjegoś przybycia. Panna Marianna wyskoczyła, za chwilkę powróciła z kartą wizytową.

— To ten od Rotszylda... — rzekła pani Anna, na kartę okiem rzuciwszy.

— Jakiś bardzo szyk...

Pani została, w zwierciadle się przejrzała, włosy sobie poprawiła, uczyniła wszystko zupełnie, jak czynią damy najlepiej wychowane, i przeszła do salonu, gdzie na wejście jej podniósł się z fotelu młody człowiek, przedstawiający typ paryżanina, wychowańca salonów. Prezentować się nie potrzebował, pozdrowił więc jeno panią domu i ta skłoniwszy się krzesło mu ręką wskazała. Usiedli. Gość nogę na nogę założył i zaczął rozmowę od tego, że wygłosił komplimentów kilka, odnoszących się do gustu w urządzeniu salonu, przypominającego salony paryskie. Ten sam akcent, taki sam ton!

— Pani z Paryża dawno?...

— Nigdym tam nie była...

— Być nie może!... — zawołał.

— Przyznać więc pani muszę potęgę smaku olbrzymią... Ze smakiem takim pani byś w Paryżu rewolucję salonową sprowadziła...

Następnie zagadał o teatrze, dalej o sztukach pięknych, bawił niedługo i odchodząc prosił o pozwolenie korzystania z miłego towarzystwa, jakie mu losy nastręczyły w tym mieście, do którego go sprowadził wielki interes kolejowy.

— Na sto siedemdziesiąt siedem milionów... — mówił. — A rozchodzi się o bagatelę: o dziewiętnaście milionów...

— Piękna mi bagatela!... Dziewiętnaście milionów?...

Żegnając się już, przypomniał sobie, że ma do pani Kalisz list od barona Rotszylda. List ów z pugilaresu pięknego wyjął, podał, pani domu dłoń uścisnął, szlachetnie głową skłonił i za drzwi się wyniósł.

— Ot, masz... — rzekła pani Anna powracając do buduaru, dokąd i panna służąca weszła. — Świeci mi w oczy dziewiętnastu milionami, a przyjechał w zale-

canki do milionów moich... Będzie je widział jak ucho własne... Nie dla psa kiełbasa... Aha!... — zawołała. A jaż mam od barona Rotszylda list! Ciekawam, co w tym liście stoi...

Czytać się jęła i wyrozumiała, że wielki bankier poleca jej pełnego nadziei na przyszłość najświetniejszą młodego człowieka, który ma pieniędzy dużo i pomysły znakomite; nie wątpi, że uzyska on jej względy łaskawe, i spodziewa się, że owe względy nie będą przemijające...

— Fiu, fiu, fiu... — wygłosiła po odczytaniu listu. — Nie tędy droga...

Tok dalszy rozmyślań głośnych przerwała druga wizyta; po niej nastąpiła trzecia, czwarta i tak dalej. Ludzi młodych luzowali mężowie poważni; język niemiecki zmieniał żydowski; na stół wytaczały się przedsiębiorstwa rozmaite, przemysłowe i handlowe: ten o pszenicy, ów o drzewie, inny o skórach, a jeszcze inny o łupinach z jaj prawił. A wszystko to przedstawianym było jako rzecz ważna, zyskowna i ciekawa; we wszystkim tym atoli najciekawszym było to, że każdy z gości, bez względu na to, czy młody, czy stary, nieżonaty i żonaty, występował w charakterze spółubiegającego się o rękę rozwódki bogatej.

— Jakże mnie oni nudzą... nudzą!... — zawołała, gdy się wreszcie procesja ta skończyła. — Harmider niby we młynie, a... o co?... o plewy... Tak było wczoraj, tak będzie jutro, pojutrze... uf!...

— Bo gdyby pani którego jednego z kawalerów szykownych wybrała... — wszczęła panna Marianna.

— Jam już wybrała... Wybrało serce moje... A!... Powiedz tam panna Marianna, niech konie do karety założą... Wywiozę utrapienie moje za miasto, to mi się trosze koło serca lżej zrobi...

Przejażdżki zażyła, wróciła; stół nakryty zastała, do stołu zasiadła. Utrapienie apetytu jej nie ujmowało, przeciwny raczej wywierało skutek. Toż samo powiedzieć można o śnie.

## XII

Po niespodziewanej pani Anny wizycie ksiądz Jan do kancelarii swojej powrócił, przy biurku zasiadł, ale pracować nie mógł. Przeszkadzało mu świeże tej wizyty wspomnienie, nasuwające mężowi temu do głowy obfity do rozmyślania materiał. Materiał ów rozpadał się sam przez się na filozoficzny i koniunkturalny i nadawał się do ważenia na ważkach podwójnych: na metafizycznych — abstrakcyjnych i praktycznych — utylitarnych. Pierwsze odnosiły się do władzy owej tajemniczej, od której zależą losy ludzi i narodów. Dziwnie jest ona fantastyczną w rozdawaniu łask. Jaką się we względzie tym powoduje regułą? Ksiądz Jan długo, bębniąc z lekka po stole palcami, nad rozwiązaniem problematu tego myślał i nie wymyślił nic. Analiza orzeczeń, ubranych w poważność najwyższą, doprowadzała go do rezultatów, których by się wypowiadać nie odważył głośno, luboć w cichości ducha powiadał otwarcie, co o nich myśli. Z sobą samym był szczerym i uznawał, że przypadek, co Chanie majątek w ręce dał, podciągnąć się nie da pod żadną z prawd, które sam głosił.

— Ale zużytkować się da...

Właściwość utylitarna ukazywała się wyraźnie, zależało jednak od warunków, które rozpoznać i zbadać należało. Znawca serca ludzkiego, jakim był ksiądz Jan, spostrzegł, że się nastręcza sytuacja do wyzyskania. Chodziło jeno o sposób. Chodziło także i o cel, ten atoli pozostawał do oznaczenia, mógł być bowiem taki lub inny,

stosownie do skłonności, jaka by się w faworytce fortuny zamanifestowała. Zachodziło pytanie: co się z Chany zrobić da? — czy się ona wykieruje na dobrodziejkę, czyli też na gorszycielkę społeczności? — w jakim charakterze wystąpi w razie pierwszym, w jakim w drugim? — jakie sprężyny w niej działają? Pytania te wszystkie przedstawiały się jako zdania, których rozwiązanie określało warunki, na jakich wyzyskiwać należało sytuację wytworzoną przez przypadek.

Ksiądz Jan znał Chanę, ale znał ją w okolicznościach, które nad nią panowały wszechwładnie. Ona się do takowych naginała bezwzględnie. Naginanie się owo dawało skazówkę niejaką we względzie charakteru kobiety. Podstawiając namiętność na miejscu okoliczności, można się było naginania spodziewać.

— Namiętności...

Zanotował sobie ksiądz punkt ten w myśli i zabębnił na stole mocniej. Z namiętnościami znał się on i we względzie tym pobłażliwość posuwał tak daleko, jak można, zwłaszcza w odniesieniu do osoby własnej. W mniemaniu jego wszelakie reguły przyzwoitości i moralności istnieją nie na to, ażeby onych nie gwałcić, ale na to, ażeby gwałcenia nie pospolitować, ażeby nadawać onemu wytworne a heroiczne formy, dostępne jeno dla wybranych. Na drodze tej łączył on etykę z estetyką, poczytując za grzech nie to, co się konwencjonalnie grzechem nazywało, ale to, co oryginalnym i ciekawym nie było. Był więc co do tego wymagającym i z tej przyczyny w słowach okazywał się moralistą surowym; słowem ustnym i pisanym głosił cnotę, karcił występek, filozofował, dogmatyzował, subtylizował i grzech lubił, ale oryginalny i ciekawy. Pod warunkiem tym gotów był i sam zgrzeszyć, i bliźniemu do zgrzeszenia rękę pomocną podać.

Warunek tego rodzaju w perspektywie w milionach Chany ukazywał się przez to samo, że miliony owe do wzięcia były. Przedstawiały się one jako coś na kształt premium w wyścigach, jako klejnot zawieszony na szczycie masztu mydłem wysmarowanego. Ksiądz zanadto znał świat, ażeby wiedzieć nie miał, iż spółubiegających się stanie dużo.

— Pogarną się oczywiście Żydzi... — pomyślał.

Pomyślał atoli jeszcze i odchrząknął.

— Hm?... Żydzi, zapewne... — powiedział sobie po chwili — ale... nie-Żydom czy nie wolno?...

Chana zapytywała o Grackich. Co by to znaczyć mogło? Co by nie znaczyło, znajdował się w tym punkt do zahaczenia działalności.

Działalność ta atoli wymagała pewnych kroków wstępnych, przygotowawczych, przede wszystkim zaś rozpoznania gruntu — uczynienia w tę stronę rekonesansu. Bez tego myśleć nie ma o czym. Działanie na oślep sensu nie ma.

Do konkluzji takiej doszedłszy ksiądz Jan wstał, papiery zsunął, biuro zamknął; podać sobie kazał futro i czapkę, odział się i na przechadzkę wyszedł. Mijał ulicę jedną po drugiej, obchodził i wydostał się na tę, na której znajdował się dom pani Anny. Mimo tego przeszedł wolno raz, powrócił i powrócił raz jeszcze. Powracanie to miało obserwację na celu — obserwację poglądową, dzięki której nasunęły się skazówki nie bez znaczenia dla człowieka, co kombinować umie. Dowiedział się, że powołanych jest dużo; ponieważ zaś powołani się cisną, a zatem wybranego jeszcze nie ma. Kiedy za trzecim razem mimo domu przechodził, wyjeżdżała właśnie kareta pani Anny. Na zegarek spojrzał i do siebie powrócił.

Od momentu tego upłynęło równo godzin dwadzieścia cztery i pół, kiedy ksiądz Jan przyszedł do domu pani Anny i zakołatał do drzwi. Przychodził z wizytą. Otworzyła mu panna Marianna.

— A?... — odezwała się ta ostatnia z akcentem zdziwienia lekkiego — ksiądz dobrodziej?...

W rękę księdza pocałowała.

— Hm?... hum?... panienka mnie zna?...

— Któż nie zna księdza dobrodzieja!...

— Zły szeląg... co?... — rzekł żartem.

— Co też ksiądz dobrodziej powiada!... Jakże można mówić coś podobnego!...

— Mówię, co i jak jest...

— Ale gdzież tam!... ale skądże!... — poczęła panna Marianna protestować.

— Mniejsza tam o to... — przerwał ksiądz. — Nie przyszedłem po to, ażeby dysputy staczać, ale z wizytą, i w tym osobliwym znajduję się położeniu, że ani panienki imienia, ani pani domu nazwiska nie znam...

— Ja się nazywam Marianna, proszę księdza, a pani moja pani Anna Kalisz.

— Zastaję ją?..

— Nie, proszę księdza dobrodzieja... Na spacer wyjechała...

— Zabawi zapewne...

— Tak... nic... Ale może ksiądz dobrodziej wypocząć zechce...

— Owszem... chwilkę...

— Proszę...

Drzwi od salonu otworzyła i ksiądz, miejsce na fotelu zajmując, do panny Marianny z następującym zwrócił się przemówieniem:

— Uprzedzić panienkę muszę, iż nic mi nie jest tak wstrętnym jak samotność... Spodziewam się, że panienka nie pozbawi mnie przyjemności towarzystwa swego...

— O... proszę...

— Ale może panienka samotność lubi...

— Nie tak to koniecznie...

— Może przeto przerwałem miłe jakie we cztery oczy posiedzenie?...

— Ksiądz dobrodziej żartuje...

— W każdym żarcie jest część prawdy, a prawda w tym razie siedzi u panienki w oczach...

— Alboż oczy moje... co?...

— Ładne... ot co... W taką parę oczów druga oczów para z ochotą patrzy...

Panna Marianna kryg urzędowy wykonała i oczy spuściła.

— Pod warunkiem — ksiądz dodał — ażeby się pierwsza para nie chowała.

— At... — odparła panna z akcentem zadowolenia.

— Bywa u was ludzi dużo?...

— Och!... — odrzekła — więcej jak...

— Jak co?...

— Jak potrzeba...

— Rozmaitych?...

— Ze świata całego... Mój Boże!...

— No?... — zapytał tym tonem, którym się panny służące na gadanie wyzywa.

— Z Berlina, z Wrocławia, z Krakowa, z Warszawy, z Hamburga, Frankfurtu, a wczora trafił się jeden z Paryża... o...

To rzekłszy wzięła ze stołu podstawkę z biletami wizytowymi i podała takową księdzu. Ksiądz bilety rozpatrywać zaczął, ona prawiła:

— Ten z Paryża, przyjechał z listem od pana Rotszylda samego... jakiś pan wielki, bardzo szykowny...

— Żyd?... — zapytał ksiądz.

— Nie znać tego po nim, ani trochę...

— Cóż pani Anna na to?...

— A cóż!...

— List od Rotszylda poruszyć ją musiał...

— Ot tak.. trochę... nie bardzo...

— Przecie...

— Skarży się często... że ją nudzą... bardzo nudzą...

— Czemu?... — zapytał ksiądz od niechcenia, przepatrując bilety.

— Ach!... jest przyczyna...

— Jaka?...

— A jakaż!... Przyczyna...

— Której panna Marianna nie zna...

— Może i nie znam... — i dodała po chwili: — Domyślam się jednak...

— O, domysły!... — odezwał się ksiądz z lekceważeniem.

— Jak jakie... Gdy się jednak mówi o sercu, wówczas domysły coś znaczą...

— Panna Marianna mówi o sercu..

— Nie ja...

— Któż więc?...

— Pani Anna, którą ci wszyscy galanci nudzą dlatego, że ma ona na sercu...

— Kogo?...

— Albo ja wiem... Pani mówi mi wszystko, tylko tego nie powiada... Nie powiada, ale czeka...

— Na co?...

— Na cóż!... Na wizytę tego, kogo na sercu ma...

— Uhm... To dobrze... A jak tu u was ciepło!... — rzekł, po salonie okiem powodząc. — Nie dziw: okna dob-

rze zaopatrzone, piec w ścianie, kominek... Pani nieprędko wróci?... — zapytał w końcu.

— Za godzinkę... może rychlej...

— Poczekałbym, tym bardziej że mam jej słów parę powiedzieć; ale — na zegarek spojrzał — oho!... i tak się już za długo z panną Marianną zasiedziałem...

Wstał.

— Panienka wolałaby, ażeby na miejscu księdza był kto inny...

— Ksiądz dobrodziej mnie niesłusznie posądza...

— Nie posądzam o nic złego...

— Może ksiądz dobrodziej rozkaże mi co pani powiedzieć...

— Proszę przede wszystkim pokłonić się jej ode mnie, a potem... hm?... niech panienka jej oświadczy, że zajmuję się tym, o czym ona wie... Niechże pani Anna czeka cierpliwie i ze strony swojej żadnych nie czyni kroków... Potrafi jej panienka to powtórzyć?...

— Czemu nie...

— Ej, panienko... panienko!... — palcem pogroził.

— Czego mi ksiądz dobrodziej grozi?...

— Wolałbym taką ładną dziewczynę widzieć w jakim domu katolickim...

— Nie dzieje mi się tu krzywda żadna... — odparła panna Marianna zmieszana nieco.

— Krzywda się dzieje nie panience, ale duszyczce, o której się dla brzuszka zapomina... Gdy się jednak duszyczka biedna do smoły dostanie i smażyć pocznie, o, toż to wówczas skwierku będzie!... A jej!...

— Mamże miejsce takie dobre porzucić?...

— Porzucić... nie... Gdybyś panienka żywoty świętych czytała, dowiedziałabyś się, że nieraz służebnice panów na wiarę prawdziwą nawracały...

— Gdyby to można... — podchwyciła dziewczyna ze skwapliwością bodaj czy nie udaną.

— Można... — odparł ksiądz przeciągle — można... Wszystko można, tylko ostrożnie...

— Sama bym nie potrafiła...

— Cóż to?... czy brak takich, co by skazówki dawali? czy to nie ma konfesjonałów?... Dawno panienka u spowiedzi była?...

— Czy dawno... o?... — odpowiedziała na dobre zmieszana. — Trochę już dawno...

— Hm... a co... Jam to z oczów poznał... Oczęta ładne, ale w nich siedzi diablik, który się przed księdzem utaić nie umie... Oho, znamy się na sztukach i sztuczkach...

Podczas kiedy wyrazy powyższe mówił, dziewczyna go w rękę z przyciskiem całowała.

— Ale to nic... — prawił. — Związujemy i rozwiązujemy... po skarceniu następuje absolucja... Dowcip cały na tym polega, ażeby nie umrzeć w stanie grzechu... o... Rozumie panienka?...

— A gdzie, księże dobrodzieju?... — szepnęła dziewczyna.

— U świętego Antoniego... Czy pani Anna nie ma przeciwko temu nic, ażebyś na mszę chodziła?...

— Broń Panie Boże!...

— Ano... A więc... Pokłońże się pani ode mnie i powtórz jej, com ci mówił...

— Powtórzę co do słowa... — przyrzekała i dodała: — to kobieta taka dobra...

— Tym też bardziej — rzekł ksiądz na odchodnym — godziłoby się ją wyswatać za katolika...

W futro się zawinął, czapkę na czoło nasunął i przesuwać się jął ulicami prowadzącymi do zakładu. U wrót zakładu zatrzymał się; ręką sięgnął celem pociągnięcia sznurka od dzwonka; lecz się powstrzymał. Namyślił się.

O tej wieczornej porze studenci lekcje zadane odrabiali, następnie do wieczerzy zasiadali. Obecność jego nie była niezbędną. W zakładzie szło wszystko niby w zegarku. Nauczyciele, korepetytorowie i dozorcy, każdy z osobna i wszyscy razem, pełnili funkcje swoje skrupulatnie. Ksiądz Jan prowadził kontrolę, skuteczność której tego wymagała, ażeby, wglądając od czasu do czasu, tym łatwiej oceniać mógł postępy w naukach i przestrzeganie reguł dyscypliny. Nie zależało na tym, ażeby się w zakładzie znajdował koniecznie. Nie wszedł więc; zwrócił się w lewo i w kilka minut później siedział w księgarni przeglądając nowości, które w ciągu kilku dni ostatnich napłynęły, i rzucając od czasu do czasu po słów kilka prowizorowi, który o stół środek ciężkości ciała swego oparłszy stał nie opodal z rękami na piersiach skrzyżowanymi. Rozmowa tyczyła się handlu księgarskiego. Ksiądz Jan zapytywał o autorów:

— Ten idzie?...

Prowizor odpowiedział: „nieosobliwie“ lub „nie“.

— Żaden więc nie idzie... — rzucił ksiądz w końcu.

— Ano... moment tak... zastój w handlu księgarskim, u nas zwłaszcza... Publiczność nie ma do czytania, a zatem i do kupowania nic ponętnego...

— Straciła wiarę w siebie...

— Hm?... — prowizor na to. — Nie wiem... Jeżeli pomiędzy literaturą a wiarą w siebie narodu związek zachodzi, w razie takim spodziewać się należy, że dla nas lepsze nastaną czasy, zdaje mi się bowiem, że wiara w siebie jak w człowieku pojedynczym tak w zbiorowym nigdy doszczętnie nie zginie...

— Tak pan sądzisz?...

— Zmienia formy, niekiedy nawet istotę, ale nie ginie...

— A tak... — odparł ksiądz z przekąsem. — Masz pan rację. W zmienionych formach, w istocie nawet, oglądać ją można w Śródborzu, gdzie dla niej graf demokrata za pieniądze na lichwę pożyczone pałac w guście włoskim stawia...

Prowizor na to ramionami ścisnął i odpowiedział:

— Nie wiem...

— Słyszałeś pan o Śródborzu?...

— Słyszałem... Jest to niedorzeczność, niczego sama przez się nie dowodząca; wzięta zaś w odniesieniu do ogółu dowodzi tego chyba tylko, że przeobrażająca się społeczność nie znalazła sobie jeszcze postaci odpowiedniej i błądzi szukając takowej...

— Hm?... — uśmiechnął się ksiądz.

Prowizor wygłaszał zdania swoje od niechcenia, widać jednak było, że wyrazy jego dotykały księdza Jana do żywego.

— Na cóż mu postaci jakiejś, kiedy ma gotową...

— Odwieczną... — dorzucił ksiądz.

— Zużyła się może...

— Co pan gadasz!...

— Ja o niczym nie wiem...

— Ignoranta udajesz... Powiedzieć o panu można: kpisz i o drogę pytasz... No.. ale...

— Ksiądz dobrodziej wolałbyś, ażeby było inaczej...— rzekł prowizor z uśmiechem.

— Zapewne... kury by wolały, ażeby mędrszymi od nich być nie chciały wysiedziane przez nich kurczęta... to w porządku... Mniejsza jednak o to... Gdybyśmy w materii tej dyskusję zawiązali, dyskusja pociągnąć by się mogła długo, a jam się i tak w księgarni zasiedział...

— Księdzu dobrodziejowi spieszno do zakładu?...

— Nie... — odparł ksiądz Jan wstając. — Chciałbym się widzieć z Masiem Grackim, nie wiem jednak, gdzie go szukać...

— Przy Misi... Masio i Misia mogliby nie być razem...

— Hm?...

— Luboć... — ciągnął prowizor — słychać, że się tam interesy dla młodego hrabiego układają nienajlepiej...

— A to?...

— Ze względu na silne spółzawodnictwo... W handlu spółzawodnictwo ma znaczenie ogromne...

— Niestety... Dla Masia to niepomyślnie jako też dla wierzycieli jego, w liczbie których zapewne i wy być musicie...

— O, nie... Młodzieniec nie zaszczyca nas względami...

— I nie ubiegacie się o takowe... — rzekł ksiądz podając prowizorowi dłoń, którą tenże z uszanowaniem uścisnął.

W chwilę później ksiądz Jan znów się na ulicy znajdował. Wieczór był już zupełny i prószyć począł śnieżek, który przy lampach gazowych wyglądał na kształt rojów muszek, zlatujących z powietrza na ziemię. Ziemia się ubielała. Ksiądz się w futro zawinął i szedł wzdłuż domów niedługo. W niewielkim od księgarni oddaleniu zwrócił się w podsień hotelu wspaniałego, zalanego światłem w częściach swoich wchodowych. Przed drzwiami głównymi duże latarnie olbrzymie wielkimi paliły się płomieniami. Kandelabry oświecały sień i schody. Przed drzwiami biura stał szwajcar w kaszkiecie z galonem i zdawało się, że kogoś oczekiwał.

Szwajcar, jak skoro księdza zoczył, wnet kaszkiet z głowy zdjął i postawę pełną uszanowania przybrał.

— Jak się miewacie, Jędrzeju?... — odezwał się ksiądz do niego.

— Niczego, Bogu dzięki... — była odpowiedź.

— Co u was słychać?...

— A!... Nic osobliwego, proszę księdza dobrodzieja...

— Gości macie dużo?...

— Dosyć... tyle, że domostwo pustką nie stoi...

— To dobrze... bo i wam coś tam kapnie...

— Chwalić Boga...

— Numer siódmy zajęty?...

— A że zajęty?...

— Zawsze przez młodego hrabiego ze Śródborza?...

— Zawsze... — odpowiedział z tym w głosie lekceważeniem, które oznacza, że jest to ton od zwierzchnika przejęty.

— Nie wiecie, czy hrabia u siebie?...

Szwajcar do biura zaglądnął, na tablicę z kluczami spojrzał, dał księdzu odpowiedź twierdzącą i ksiądz po schodach na piętro poszedł.

## XIII

Ksiądz Jan zapukał do numeru siódmego — odpowiedziała mu cisza. Pocisnął klamkę — klamka poświadczyła o zamknięciu drzwi na głucho.

— Nie ma go... — rzekł do siebie.

Zeszedł o piętro niżej, na tak zwany bel-étage i nie skierował się na schody, ale w korytarz, w którym drzwi, bardziej aniżeli na piętrze drugim jedne od drugich oddalone, otwierały się do apartamentów paradnych.

Apartament jeden z najpokaźniejszych zajmował — mniejsza o to, jak się nazywał — lokator, który pozwalać mógł sobie na zamieszkiwanie w domu zajezdnym numeru złożonego z pokoi kilku z przedpokojem i salonem, z obrazami i zwierciadłami, z aksamitem obitymi meblami. Rzecz prosta, salon nie od tego, ażeby w nim lokator solo basso przesiadywał. Gdyby tak być miało, toć

poprzestawałby na pokoju jednym, który by mu do spania i spoczynku służył. Salon ów miał specjalne przeznaczenie swoje, wynikające z potrzeby towarzyskiej, która się ściśle wiązała z karnawałem.

Wskutek warunków szczególnych, w jakich się Wielkopolska znajduje, karnawał ma tam znaczenie szczególne. Niby to jest on tym samym co gdzie indziej; nie tym samym jednak. Różnicę stanowi akcent, dzięki któremu rozpoznać trudno, co maska, a co nie maska. Wielkopolanie w oczach się mienią; robią się wielostronnymi, a ze strony każdej wyglądają inaczej. Bawią się przy tym szczerze, z zapałem, stają się niezmiernie hojni i — co jest powszechnym karnawałów wszelkich znamieniem — prowadzą ową czynność handlową, która polega na kojarzeniu małżeństw w towarzystwie wyższym. Towar małżeński wystawia się za witrynami i odbywają się targi maskowane. Polem wystaw są salony w publicznych i prywatnych domach.

W odniesieniu do salonów tych salony takie jak ów w hotelu są rodzajem dodatków czy też dopełnień niezbędnych, jak kropka nad i, ogonek pod ę lub kreska na ł, jak prologi i epilogi, w które starożytni zaopatrywali sztuki dramatyczne. Na salonach balowych, rautowych i redutowych schodziły się płcie obie zawsze w maskach; na tym widzieć się dawała sama jeno płeć męska bez maski w zasadzie i po koleżeńsku niby.

Na świecie bywa rozmaicie. Zdarza się, w miejscowościach zgoła nielepiej od Wielkopolski wyposażonych, że ludzie młodzi, w celu zabawy zgromadzeni, bawią się, a w przestankach toczą dyskusje, słuchają wykładu, popisują się wymową, oddają się ćwiczeniom gimnastycznym, próbują, słowem, sił młodych w zakresie bądź intelektualnym, bądź fizycznym. Sposób ten przepędzania czasu przychodzi sam przez się — sprowadza go potrze-

ba zapełnienia próżni, wynikająca z prawa natury. Taż sama potrzeba w Wielkopolsce inne, niestety, sprowadza następstwa. Próżnia zapełnia się inaczej. Stają w niej stoliki zielone, zmieniające się w plac boju niekrwawego, ale za to wzruszającego.

Tego rodzaju plac boju wyszykował się w salonie, o którym mówimy. Było w nim ludno i dymno. Świece stearynowe oświecały postacie ludzi młodych, siedzących dokoła i wygłaszających wyrazy takie jak: parol! na dublę! na pe! transport! itp. Jedni z nich jaśnieli zdrowiem, inni wyglądali blado, większość zdobiły łysiny, fabrykujące czoła wyniosłe. W jednym z rogów siedział Masio, w ręku karty trzymał i stawiał, gdy na niego kolej nadchodziła. Gra szła porządnie, spokojnie, przyzwoicie, jak przystoi w towarzystwie złożonym z ludzi dobrze wychowanych, szanujących godność własną w słowach, gestach, fryzurze, paznokciach, kroju odzieży i wykończeniu obuwia. Nikt nie przewodniczył. Lokaje posługiwali. Zegarkowa akuratność panowała w ruchach, nacechowanych powagą taką, jakby chodziło o sprawę pomiędzy najważniejszymi najważniejszą.

Było to jednak błazeństwo wielkie.

Naokoło błazeństwa tego chodzono z powagą ogromną i z uwagą taką, że nikt ani spostrzegł księdza Jana, który wszedł, stanął i patrzał.

Stanął, patrzał i nikt go nie widział.

Spostrzeżono się na obecności jego nie pierwej, aż się głosem podniesionym odezwał:

— Ogórki... ogórki!... Otóż bym grzmocił, gdybym w ogórkach był!...

— A, ksiądz Jan... ksiądz dobrodziej... — słyszeć się dały głosy.

Wraz z głosami zwróciły się ku przybyszowi oblicza uśmiechnięte przyjaźnie i paru ludzi młodych powstało.

— Grzmociłbym! — powtórzył.

— Nie dopuściłby się ksiądz tego... — odrzekł jeden od stolika.

— Czemu?...

Na zapytanie to dano odpowiedź gwarną i niewyraźną. Ten mówił jedno, ów drugie. Zrozumieć nie można było dowcipów, na które się ów kwiat młodzieży sadził usiłując być dowcipniejszym jeden od drugiego. Każdy się śmiał z konceptu własnego. Koncepty owionęły księdza na kształt wichrów; on pośród nich stał niby dąb silny; słuchał; nie dosłuchał się snadź niczego, co by podnieść warto było; wreszcie głosem podniesionym a żartobliwością surową nacechowanym odezwał się:

— O! spod skrzydeł moich w świat wyszłe pisklęta... O! pisklęta... Także to korzystacie z nauk moich?...

— Prowadzimy się, ojcze wielebny — odparł jeden — grzecznie i przyzwoicie, nie gwałcąc żadnego z przykazań, nie dopuszczając się żadnego z grzechów głównych ani nawet powszednich...

— W karty gracie!...

— Czy granie w karty zabronionym jest przez kanony?... — zapytał jeden.

— Czy nie broni ono od pożądania żony, wołu, osła i służebnicy bliźniego?... — zapytał drugi.

— Od grzesznych myśli w ogóle?... — dorzucił trzeci.

— Oto, niech ksiądz dobrodziej lepiej miejsce pomiędzy nami zabierze — przemówił gospodarz, młody człowiek przyozdobiony w brodę i łysinę.

— Kusicielu!... — zawołał ksiądz Jan.

— Kusicielstwo tego rodzaju nie zaciąży mi na sumieniu...

— Ale mnie zaciąży... gdy was ogram...

— To zależy...

 

— Przy mnie szansa największa...

— Skądże to?...

— Stąd, że mnie się miłość nie ima...

— Przesądy!... — odparł któryś. — Masio w miłości taki szczęśliwy, a szczęście w karty od niego się nie odwraca...

— Zresztą — zaczął ksiądz Jan — gdybym się namówić dał, zaciągnęłoby się to i czas mi zabrało...

— Godzinka... — odrzekł gospodarz spoglądając na zegarek. — Pół do ósmej... Dziś bal w resursie, nie możemy przeto przy stoliku zielonym pozostawać dłużej jak do dziewiątej... Zabrałoby to księdzu niewięcej półtory godziny... Półtory godziny poświęconej zabawie niewinnej — toć to nie zbrodnia...

— W gronie przyjaciół, wielbicieli i uczniów... — dodał jeden.

— Nie... nie mogę... — odparł ksiądz stanowczo.

— Chce więc ksiądz dobrodziej opuszczać nas?...

— Nie... — odrzekł miejsce zajmując. — Posiedzę trochę i zabawię się śledząc koleje losów waszych...

— Cóż w tym za satysfakcja!...

— Tak wypadło, że na niej poprzestać muszę... Z wami bym ceremonii nie robił...

Gra jednak przerwana nawiązać się już nie dała. Goście od stolika odstąpili, jedni porozsiadali się na krzesłach i kanapach, inni krążyli po salonie; przy księdzu sformowało się grono złożone z poważniejszych i zawiązała się jedna z tych rozmów, w której wątpliwe dowcipy zastępują sens i stanowią treść. Mówiono o wszystkim i o niczym, przeskakiwano z przedmiotu na przedmiot, aż trafiono na materię, która będąc pospolitą, jest zawsze świeżą i interesującą dla ludzi mających żenić się na celu. Materia ta była karnawałową. W mieście znajdowało się niemało matek, które by nie przyjechały by-

ły, gdyby nie posiadały córek na wydaniu. Ze strony ich istniała podaż; młodzież w salonie w większej połowie swojej reprezentowała popyt. Materia przeto do rozmowy nasuwała się sama przez się; nasunęła się i potoczyła wiążąc się w girlandę, w której imiona hrabianek, księżniczek i szlachcianek posażnych pełniły funkcję kwiatów wyborowych. I — rzecz szczególna — z kwiatami tymi ksiądz Jan pozostawał w pewnego rodzaju styczności, w styczności takiej, jakby zrywanie onych od niego w części jakiejś zależało. Młodzi ludzie ku niemu się zwracali.

— Ej, księże dobrodzieju!... O, ojcze wielebny!... Słówko za mną... — odzywał się to ten, to ów.

Ksiądz, który się dowcipniejszym od wszystkich okazywał, żarcikami stosownymi odcinał się młodym ludziom. Wreszcie głos zabrał i następującą wiadomość rzucił :

— Jest na kuli ziemskiej do wzięcia oblubienica bardzo ponętna...

— Pod względem?... — zapytał jeden.

— Pieniężnym przede wszystkim...

— Ach!... — wydarło się na raz z piersi kilku.

— Ale... — podniósł ksiądz palec z gestem ostrzegawczym — nie oddaje się ona bezwarunkowo... Do partii tej przywiązane są zobowiązania pewne.

— Które zależą oczywiście od wysokości gotówki... — odezwał się jeden. — Wróble się nie biorą na plewy...

— Rzecz naturalna...

— A więc?...

— Siedemdziesiąt tysięcy talarów dochodu...

— Phi... — wygłosiło paru przeciągle, a jeden dodał:

— Fenomeny podobne nie zdarzają się często w wieku naszym zmaterializowanym... Skądże się ta osobistość wzięła?... Z księżyca spadła?...

 

— Bynajmniej... pojawiła się sposobem naturalnym...

— Odziedziczyła po wujaszku w Indiach?...

— Coś podobnego... Do rzeczy jednak to nie należy... Do rzeczy należy fakt...

— Jeżeli prawdziwy... — wyrwał się jeden.

— Co?... — zapytał ksiądz z akcentem urazy w głosie.

— To jest — poprawił się interpelant — jeżeliś ksiądz dobrodziej sam w błąd wprowadzony nie został...

— O, człowieku małej wiary!... nie wejdziesz ty w podwoje otwierane przez klucze złote...

— Ani do królestwa niebieskiego...

— Koniec końcem, cóż to jest?... — zapytał jeden z naciskiem.

— Rzecz prosta i jasna: nastręcza się partia, która, naturalnie, wymaga zachodów niejakich...

— Proszę o adres...

— A, nie... Rzeczy takie nie robią się nagle... Wymagane są ze strony pośrednictwa, które pochlebia sobie, że do ostatka będzie miało słowo swoje do wyrzeczenia, rękojmie pewne i wyraźne...

— Rękojmie... Czyż pewniejszych i wyraźniejszych potrzeba jak te, jakie daje stanowisko?...

— Nie dowierzamy od czasu zawodów, jakich doznaliśmy ze strony osobistości paru, zajmujących stanowiska wybitne... Nie radzi byśmy doznawać zawodów tego rodzaju jak oglądanie wielkich panów w szeregach demokratycznych... Zawiedliśmy się na Działyńskich, Mielżyńskich...

Odpowiedź ostatnia wygłoszoną została tonem odmiennym aniżeli cała rozmowa poprzednia. Rozmowę akcentowała żartobliwość, która nagle znikła z ust i z wyrazu oblicza księdza. Z ust jego wypłynęło upomnienie surowe, coś na kształt memento mori, zastosowane do młodych spadkobierców imion znakomitych. Miejsce

liczby pojedynczej, w jakiej przemawiał, zajęło uroczyste „my“. Nie był to już ksiądz Jan Zmianko, ale przedstawiciel instytucji, pamiętający o interesach onej w każdym czasie i na każdym miejscu. A chodziło tu o rzecz niemałej wagi, w odniesieniu do interesów tych, przenikających do szczegółów najdrobniejszych życia społecznego i osnuwających człowieka od kolebki do grobu. Uprawiają się one wedle jednego i tegoż samego modelu od wieków siedmiu, to jest od momentu donacji uczynionej przez przerzucającą mężami hrabinę Matyldę, władczynię Toskany. Zmieniają się proporcje, stosunki, szczegóły, ale nie zmienia się proceder w zarysach zasadniczych, polegających na oskrzydlaniu mężów żonami lub żon mężami, powodującymi się wpływom, mającym na widoku ów interes nad interesami, zniewalający w owym właśnie czasie arcybiskupa gnieźnieńskiego germanizować seminaria i szkółki polskie. Przedstawiciel interesu tego przemówił przez „my“. Jowialny kapłan zmienił się w jedno oka mgnienie w poważnego dostojnika. Zmienił się i wnet się znów odmienił, powracając do poprzedniego dobrego humoru. Wstał i rzekł:

— Ot... zagadałem się... Ja tu z wami gawędzę, a na mnie już pora...

— Ksiądz boś pomiędzy nas rzucił zagadkę pokazując w perspektywie unikat jakiś... — odezwał się jeden

— Ha... rozwiązujcie... Dałem wam zajęcie, które starczy na czas jakiś...

— Wszelako zagadki ksiądz dobrodziej nie uzupełnił...

— Czegoż jej brak?...

— Przede wszystkim bliższego oznaczenia punktu na kuli ziemskiej, gdzie się unikat ów znajduje...

— Wyszukajcie takowy za pomocą instrumentów matematycznych... — odrzekł ksiądz Jan żartobliwie.

— Ano... — zauważył ten, co się o bliższe oznaczenie punktu upomniał — unikat podobny nie uchowa się długo... Gazety wypaplają...

Ksiądz się uśmiechnął.

— Ale — ciągnął tenże — kondycje dzielą się zazwyczaj na ogólne i szczegółowe... Ogólne znamy: niechże nam ksiądz dobrodziej raczy bodaj jedną ze szczegółowych wyjaśnić...

— Ze szczegółowych... hm?... Musisz być hrabią przynajmniej, a potem tak się ułożyć, ażeby ci się dusza zahartowała na niespodzianki najnieprzewidziańsze i na wszelakie kaprysów niewieścich pociski...

— Wygląda to, jakby księżniczka w zamku zaczarowanym...

— A tak... — ksiądz na to. — Ale... bywajcie mi zdrowi, najmilejsi moi...

Zatrzymywano go; ofiarowano mu cygara; za cygara dziękował i ku drzwiom się kwapił, skinąwszy na Masia, który z nim razem wyszedł.

— Zajdę na chwilkę do ciebie... — rzekł do tego ostatniego na korytarzu.

— Służę księdzu dobrodziejowi...

Numer zajmowany przez młodego hrabiego znajdował się o piętro wyżej. Młody hrabia z pośpiechem, który byłby nie do wytłumaczenia, gdyby nie nadzieja dowiedzenia się o czymś, poprzedzał księdza, drzwi otworzył, świecę zapalił i prosił gościa miejsce zająć.

— Ksiądz dobrodziej zapali cygaro... papierosa?...

— Wiesz przecie, że starym obyczajem fajeczkę tylko kurzę...

— Na nieszczęście w gospodarstwie moim fajeczki nie posiadam...

— Obejdę się... — odrzekł ksiądz siadając. — Powiedz no ty mi, jak tam interesy twoje stoją?...

— Stoją... — odparł młody człowiek.

— Czyś po deklaracji... hę?...

— Niby to, ale...

— No?...

— Mam, niestety, spółzawodników, Bryś i Goguś... i lękam się hazardować, ażeby za sobą floty nie spalić... Chciałem we względzie tym z księdzem dobrodziejem pomówić...

— Hm?... Myślisz jednak, że masz za sobą szanse jakie?...

— Właśnie, że jest to tajemnicą dla mnie...

— Starając się od półtora roku, musiałeś przecie poznać usposobienie matki... panny... Sprzyjają ci... co?...

— Zdaje się...

— Któraż bardziej?

— Matka bezwarunkowo...

— Dziwna rzecz jednak, żeś nie podbił serduszka Misi...

— Opancerzone...

— Talarami... — odpowiedział ksiądz. — Niewielka to jednak historia: sto pięćdziesiąt tysięcy... Spodziewam się, że gdybyś się z nadzieją na talary owe rozstał, nie włożyłbyś żałoby...

— To zależy...

— Od nadziei poważniejszej... Zapewne...

— Wolałbym z nadziejami skończyć...

— I mieć do czynienia z rzeczą dotykalną...

— Naturalnie...

— Masz rację... Na miejscu twoim i ja bym myślał nie inaczej... Cóż robić jednak... Wszelkie dążenie, nim do celu się dojdzie, przez tę furtkę przechodzić musi... A dopięcie celu zależy od wielu rzeczy...

— Na przykład?... — zapytał młody człowiek.

— Od determinacji przede wszystkim...

— Zdaje się, że mi na takowej nie brak, kiedym się w Misi rozkochać potrafił...

Wyraz ostatni wymówił z naciskiem drwiącym.

— No tak... — odparł ksiądz. — Ale gdyby ci zwrócić się przyszło ku czemuś jeszcze mniej ponętnemu...

— Ach!... — odpowiedział.

— Tak od ciebie starsza, iżby matką twoją być mogła...

— To mniejsza...

— I niepowabna...

— Przeciwko temu jest obrona w obojętności bezwzględnej...

— Trudna...

— Możliwa jednak...

— Przeczuwasz w sobie do takowej uzdolnienie?...

— Aj!... Składam obojętności absolutnej dowody, ile razy z rodzicami się zejdę...

— Prawda... Pozostaje jeszcze trudność jedna nienajmniejsza... Ożeniłbyś się z... Murzynką na przykład?...

— Byłoby to oryginalne...

— A z Żydówką?

— Ksiądz dobrodziej szarżuje umyślnie...

— Bynajmniej, właśnie bowiem Żydówka do wzięcia jest.

— Żydówka?... — zapytał młody hrabia głosem niepewnym.

— Nie inaczej...

— Wychrzczona jednak?...

— Właśnie że nie i właśnie chodzi o to, ażeby ją rozkochać, nawrócić i żarliwość w niej rozpalić...

Masio westchnął i głową wstrząsnął.

— Zrzekasz się?...

— Nie... ale...

— Wyobraź sobie — podchwycił ksiądz — egzemplarz taki jak Chana... zupełnie taki...

— Co za Chana?...

— Ta, co cię piernikami na kredyt karmiła...

— Uhm... — mruknął i głową pokręcił. — To wszakże być musi rzecz niepewna...

— Nie powiadam, ażeby pewną miała być; to atoli mam moralne przekonanie, że dla ciebie są szanse większe, aniżeli dla kogo innego, na siedemdziesiąt tysięcy dochodu rocznego... W celu powiedzenia ci o tym widzieć się z tobą dziś chciałem.

Młody człowiek uśmiechnął się i westchnął, pomilczał i rzekł:

— Ojciec...

— A... to do ciebie należy... Co do mnie, gdybyś się zdecydował, będę ci w tym z sił moich wszystkich i z serca całego pomagał...

## XIV

W dni kilka po przytoczonej w rozdziale poprzednim z księdzem Janem rozmowie ksiądz udzielił mu adresu, zachęty i obroczku duchownego.

— Pani Anna Kalisz, na ulicy... pod numerem... Szanse masz... masz... — mówił z naciskiem — tylko (tu palec podniósł i kiwał), gdy celu dopniesz, nie zapominaj, czyją chwałę i pożytek na uwadze mieć winieneś...

— O szansach moich ksiądz dobrodziej mówisz z pewnością, która mnie zadziwia... — uczynił Masio uwagę.

— Może się dziwić nie będziesz, gdy poznasz palec, który sprawę tę od dawna w sposób tajemniczy i dla rozumu ludzkiego niepojęty prowadził...

Pani Anna odpoczywała właśnie po obiedzie, gdy panna Marianna weszła i bilet wizytowy przed nią położyła.

— No?... cóż to za jeden? — zapytała zdziwiona trochę odwiedzinami, których się nie spodziewała.

Lecz na wypisane pod herbem nazwisko okiem tylko rzuciła, wnet dłonie podniosła i krzyknęła:

— Wiesz!..

Uradowanie jej w oczach zaświeciło. Zmiarkowała się jednak i spokojnie pannie Mariannie:

— Do salonu prosić... — rozkaz dała.

Na szelest sukni jedwabnej pan Maurycy wstał.

— O... och!... — podeszła do niego pani Anna z okrzykami, które się jej mimo woli z piersi wydzierały.

Młody człowiek na widok jej osłupiał.

Ksiądz nie powiedział mu, że wymieniona na adresie Anna Kalisz jest to Chana, co mu niegdyś nieograniczonego użyczała kredytu. Ujrzawszy ją oczom własnym nie uwierzył. Oniemiał.

— No... no... to i cóż?...

— Pa... a... — bąkać począł o krok się cofając.

— Paniczyk... co?... nie poznaje mnie?...

— Po... o... znaję...

— Jak tylko poznaje... no... to już dobrze... Ja ta sama, tylko nie taka sama...

— Ależ bo... nie spodziewałem się...

— Co tam... niech no pan siada...

— Ależ... prawdziwie... spotkanie... — odrzekł przytomność umysłu odzyskując i siadając.

— Nie chce paniczyk pierników, makaroników na kredyt?... — zapytała przedrzeźniając sama siebie.

— O piernikach chyba i mowy już nie ma...

— A nie ma... Ale może być mowa o czym innym. Jak pan do mnie utrafił?...

— Ksiądz Zmianko mi adres dał...

— I nie powiedział, kto ja?...

— Nie...

— To dlatego, żebyś pan miał zdziwienie wielkie...

— Zdziwiłem się ogromnie... Jak się to stało?...

— Co się stało?...

— Ta zmiana bytu i fortuny?...

— Tak jak się to dzieje na świecie... W godzinie jednej z bardzo biednej stałam się bardzo bogatą... Nie ukradłam, nie zrabowałam, nie wygrałam na loterii ani na giełdzie i nie zapracowałam... Przyszło samo... No... co? — zapytała pochylając się ku Masiowi z przymileniem.

— Winszuję... winszuję... — odrzekł pan Maurycy.

— Tak się zrobiło i jest... — ciągnęła. — O... niech pan patrzy (powiodła ręką po salonie)... Salon... A ja panu jeszcze domek mój pokażę... Chce pan?...

— Owszem... — odpowiedział.

— Chodźmy...

Wstała i poprowadziła gościa przez szereg pokojów, których było niewiele, ale w których bogactwo, że się tak wyrazimy, dojrzałe. Pani domu powoli idąc zwracała pana Maurycego uwagę na przedmioty niektóre.

— Ten dywan, o... niech no się pan przypatrzy...

— Piękny...

— Kosztuje tysięcy trzy talarów... O... — wskazała lichtarze na kominku. — Bagatela niby... Niech no pan w rękę weźmie...

Pan Maurycy palcem w rękawiczce dotknął się.

— Śmiało... Niech pan weźmie...

Wziął garścią i podniósł.

— A co?... ciężkie?... — zapytała.

— Hm... — odmruknął.

— Szczerozłote... U mnie nie ma nic na to tylko, ażeby się świeciło... Wszystko masywne... Nie chcę ludzi oszukiwać, jak to czynią gdzie niektórzy, co za bogatych uchodzić chcą... Kiedym była biedna, widzieli wszyscy; teraz jam bogata... niech widzą...

Mówiąc tak, oprowadzała gościa dalej, zwracając uwagę jego na mahonie, palisandry, na inkrustacje i rzeźby, na osobliwości różne kosztowne, pomiędzy którymi znajdowały się sprzęty istotnie piękne. Za pieniądze piękno do nabycia jest. W gotowalni pokazywała naczynia srebrne złocone.

— To żaden fałsz... — objaśniała. — To srebro masywne, prawdziwe, tak jak dzień dniem...

— Cóż tam — zapytała, do salonu wracając — w Śródborzu słychać? Pamiętasz pan, jakem ja tam była i jak jeździliśmy razem do Klatek, do tego barona Niemca, co to psom grafa ogony obrzynał, a mnie szkłem zasypał?... W Śródborzu, słyszę, pałac staje...

— A tak... — odpowiedział z akcentem od niechcenia. — Ojciec dom nowy buduje...

— A w domu tym... co będzie?...

— Będziemy mieszkali...

— No... niech tak, kiedy tak... Ja bym myślała, co się grobla wedle stawu stawiać powinna, jak postawił ten Niemiec, baron, który rybę Srulowi, co moim był, sprzedał, a sobie zabrał... Tak się interesy robią... Niemiec nachodzi i na Żyda, i na szlachcica: temu zabiera rybę, temu ogony... Do czego to doprowadzi?... Niechże pan posiedzi jeszcze trochę... — dodała widząc, że gość za kapeluszem się ogląda i ku odejściu ma.

## XV

Pan Maurycy z wizyty u pani Anny wyrwał się jak z łaźni gorącej. Przyzwoitość zachować potrafił do momentu ostatniego, do chwili pożegnania, przy którym dał słowo, że odwiedziny powtórzy, i do fiakra wsiadłszy wieźć się kazał do zakładu księdza Jana. Ksiądz Jan, zajęty wykładem w jednej z wyższych klas, nie od razu go przyjąć mógł. Młody człowiek miał czas ochłonąć i do równowagi umysłowej powrócić; mimo to słowem najpierwszym, jakie z ust jego wyszło, gdy się wobec księdza znalazł, było:

— Rozpacz!...

— No... i cóż tam?... — zapytał gospodarz dobrotliwie.

— Toć to kobieta niemożliwa!...

— Nie-mo-żli-wa... — podchwycił ksiądz tonem przedrzeźniania życzliwego. — Rozróżniać należy formę od treści, inaczej zawsze byśmy do konkluzyj doszli fałszywych... W orzechu, w migdale, wszak łupinę odrzucasz; pomarańczy ze skórką nie jesz...

Pan Maurycy gestem niemym uznał słów tych prawdę.

— Rozstałeś się z nią jednak dobrze?

— Jak najlepiej...

— Jak miarkujesz przeto: szanse masz?

— Zdaje się... dała mi bowiem przy rozstaniu do zrozumienia...

— Co?...

— Że... gdyby mi kiedy brakło...

— Niech ciebie Pan Bóg broni!... — podchwycił ksiądz przerywając. — Sam byś na tym wyszedł jak najgorzej: postawiłbyś się względem niej w zależność zupełną i naraził na to, iżby ci kiedyś drzwi pokazała... Któż zaręczy, że podczas kiedy Chana będzie ci większych i mniejszych pożyczek, w tym sensie, co ongi kredytu na pierniki, udzielała, jakiś galant z Paryża, mniej aniżeli ty drażli-

wy, nie zabierze tego z talarami worka?... W razie takim odejdziemy, ty z kwitkiem, ja z nosem wydłużonym... Nie, to nie uchodzi... Niech cię Pan Bóg od korzystania z grzeczności Chany broni!... Albo się z nią żeń, albo niech pomiędzy nami wszelka confidence i znajomence ustanie... Kwituję z przyjaźni waścinej, mości hrabio...

— Ksiądz dobrodziej rzecz za gorąco bierze...

— A, bo lubię sytuacje jasne... Alboś jest w obozie, pod sztandarem, alboś nie jest... Ojciec twój deklaruje się otwarcie... Demokrata i kwita... ty zaś... dyplomatyzujesz...

— Potrzebaż się namyślić i nieco oswoić...

— Najprzód się zdeklaruj, a potem oswajaj...

— Misię przeto? — zaczął pan Maurycy tonem pytającym.

— W trąbę puść... Krzywdy przez to ani jej, ani sobie nie wyrządzisz najmniejszej... Nie potrzebujesz robić tego ostentacyjnie: niech się to samo przez się w wodzie stygnącej stopniowo rozpłynie... Rozumiesz?...

— O!... — odpowiedział młody człowiek.

— I, zobaczysz, będą ludzie podziwiali twój rozum delikatny; pozyskasz szacunek arcybiskupa i Bismarcka: pierwszego za owieczkę o złotym runie, drugiego za złote runo... Nie namyślajże się przeto...

— Ano... vogue la galère... — rzekł młody człowiek na pół do siebie. — Niech się stanie, co stać się ma... Zamykam oczy...

— Ot tak... to najlepiej... Winszuję sobie decyzji twojej...

W rzeczy samej, rzecz na powinszowanie zasługiwała, jakąkolwiek bowiem kto mieć może o księdzu Janie opinię, nikt atoli nie zaprzeczy, że znajdował się on w roli swojej, w zakresie tych obowiązków, jakie na niego stan jego wkładał.

Ksiądz Jan znał snadź tej kwestii stronę psychiczną i dlatego nalegał na młodego człowieka, przedstawiającego się jako narzędzie opatrznościowe: nalegał; utrzymywał go na drodze; popychał go na takowej, nie mając w tym interesu osobistego żadnego, ale wpatrując się w ten interes wielki, który od chwili, jak Konstanty Wielki ujrzał na obłokach napis wyroczny, z pola nie schodzi. Nie co więc innego ksiądz Jan czynił, jeno obowiązek swój pełnił, a pełnił takowy z tą gorliwością, z jaką rolnik uprawia pole, które żąć zamierza, z tym uczuciem, z jakim szuler tasuje karty, na które idzie stawka gruba, z tym zacięciem, z jakim doświadczony dżokej prowadzi konia na wyścigach, z tym pragnieniem postawienia na swoim, którego źródłem bywa nie tyle przekonanie, co zainteresowanie się rzeczą. Ksiądz Jan działał, jak działa interesowany. Nikt inny zastąpić by go nie mógł. Z Chaną od dawna się znał, protegował ją, przysługi jej oddawał, przysług od niej doznawał, nic przeto dziwnego, że chodziło mu o to, ażeby tę istotę pozyskać ze wszystkim, co za nią i z nią szło.

Masio nastręczył się jako narzędzie: zużytkowywał takowe.

Ksiądz Jan pojmował zadanie swoje techniczne.

Gdyby tak wszyscy zadania swoje pojmowali!

Pan Maurycy po rozejściu się z księdzem, pomimo że się przekonać i nakłonić dał, był jakby nieswój. Postawiona wyraźnie kwestia małżeństwa z Chaną drażniła go. Przeszłość wskrzesła w pamięci jego. Widział siebie wyrostkiem wyglądającym przyjścia Chany z koszykiem w ręku, która mu łakocie dawała.

— To dla ciebie, paniczku...

— Ja wam, Chano, później zapłacę...

— No... no: niech będzie...

„Niech będzie“ owo ciągnęło się lat kilka; ona rachunku nie podawała nigdy; odchodziła i powracała codzien-

nie, i codziennie łakocie dawała, i nigdy się o zapłatę nie upominała. Wówczas miał ją za starą; była dla niego istotą bezpłciową; nie rozumiał okazywanych mu przez nią względów i nie starał się o zrozumienie takowych. Co go tam ona obchodzić mogła!

I ta sama Chana — ta sama stała się obecnie przedmiotem zabiegów matrymonialnych jego — hrabiego Grackiego?

Z myślą tą niełatwo mu pogodzić się było.

Od księdza Jana nie udał się ani do hotelu, ani do żadnego z domów znajomych. Mimo zimno, poszedł za miasto, na przechadzkę. Gdy przez rynek przechodził, w straganiarce każdej upatrywał podobieństwo do Chany i wstyd go przejmował. Powrócił, gdy już zmierzchało. W hotelu szwajcar oznajmił mu, że coś tam zaniesiono do jego numeru.

— Co?... — zapytał.

— Jakiś pakunek spory...

Po schodach do góry ruszył, drzwi otworzył, świecę zapalił i ujrzał na komodzie szereg spory butelek i obok butelek dwa w glansowany papier zawinięte pakiety. W butelkach poznał wino tokajskie, burgundzkie i malaga, wszystko stare i firmami jak najzaszczytniejszymi naznaczone. Pakiety zawierały w sobie pierniki toruńskie. Widok ten zdziwił Masia. Za dzwonek pociągnął. lokaj hotelowy wszedł, on go zapytał:

— Co to znaczy?...

— A oto, proszę jaśnie hrabiego, karta... — odrzekł zapytany, na stojący na środku stół okrągły wskazując.

Na karcie odczytał litografowane nazwisko „Anna Kalisz".

— Kto to przyniósł?...

— Lokaj jakiś...

Pan Maurycy służącego odesłał i jął się po pokoju chodzić. Chodził; następnie na kanapie usiadł, łokcie na kolanach, czoło na dłoniach oparł i w pozycji tej czas jakiś przesiedział. Wreszcie głowę podniósł, dłonie zatarł, wstał i przede wszystkim drzwi ze środka na klucz zamknął. Po minie jego, po wyrazie, jaki na obliczu świecił i z oczów strzelał, podejrzywać go można było o powzięcie groźnej jakowejś determinacji. Gdy od drzwi odchodził, zdawało się, że postawi na stole pudełko z pistoletami, otworzy takowe i do pisania testamentu zasiądzie. Może on myśl tę miał, od drzwi do komody idąc; przed komodą atoli stanąwszy, zamiast do szuflady po pudełko, po butelkę sięgnął — po butelkę malagi, którą ujął, do góry podniósł, groźnie na nią spojrzał, odkorkował, do szklanki płyn brunatny a jak oliwa prawie gęsty wlał i duszkiem wychylił. Przypuszczać było można, że uczynił to celem spotęgowania determinacji odnoszącej się do pudełka z pistoletami. Najodważniejsi potrzebują niekiedy rekonfortowania za pomocą sposobów sztucznych odwagi. Są przykłady żołnierzy skończenie walecznych, co się upijali przed bitwą. I pan Maurycy przeto nie dowierzał może samemu sobie. Szklankę malagi wypił, po pokoju się przeszedł, przed zwierciadłem na chwilkę stanął, w przezrocze spojrzał, niewiele przy świecy widział, znów się przeszedł i drugą szklankę malagi wypróżnił. Po tej uśmiechnął się do siebie uśmiechem złośliwym, który nabrał wyrazu złośliwości ironicznej, gdy ująwszy w rękę pakiet z piernikami wyczytał na pakiecie złocisty napis „Thorn".

— Ehe... — odezwał się przez nos. — Niemcy!... Thorn?... Thorn?... czemu nie Toruń?... ehę!...

Ręką w górę wymachnął i trzecią szklankę wina kapitalnego nalał. Nie od razu jednak ją wypił. Wziął się pierwej do rozwijania pakietu. Nie szło mu to. Próbował, wstążeczkę ostrożnie rozwiązywał i tym bardziej węzeł

zaciągał, pakiet to z tej, to z owej strony oglądał, wreszcie położył i szklankę ujął. Wypił i gdyby mu po tej trzeciej szklance kto pistolet nabity był podsunął, kto wie, czyby się zamachu jakiego nie dopuścił. Okazywał bowiem rozirytowanie niemałe na Niemców za „Thorn“.

— Łajdaki!... — przez zęby od czasu do czasu przeciskał.

I po niemiecku przemawiać zaczął, mieszając prozę z poezją. Trwało to tak długo, aż gorąco, które w sobie uczuł, zniewoliło go do rozbierania się. Rozebrał się do koszuli w połowie ciała górnej; w dolnej pozostawił wszystko, jak było, i w obuwiu pod piernaty wlazł. Przez czas jakiś słyszeć się dawało spod takowych mruczenie; następnie ucichło — na stole świeca się paliła, póki się nie dopaliła i w głębi lichtarza nie zgasła.

Że było to nie co innego jak upicie się, to widoczne. Najmniejsza pod względem tym nie zachodzi wątpliwość. Rzecz sama przez się jest zwyczajna, zapatrując się na ten z Masiem wypadek z punktu ogólnego; zasługuje zaś na zanotowanie dlatego tylko, że Masio nie należał do rodzaju ludzi utrapionych pociągiem do kieliszka. Lubił smaczne jadło, dobre wino, wytworne likiery, ale umiarkowanie. Natura obdarzyła go raczej skłonnością do smakoszostwa, stanowiącą jeden z najwybitniejszych przymiotów dyplomatycznych: i ona jednak — i skłonność owa — pozostawała w nim w stanie uśpienia. Na dogadzanie jej brakło paliwa. Wypadek przeto, jaki się młodemu człowiekowi przytrafił, przypisać należy szczególnemu usposobieniu moralnemu, w jaki go wprawiła perspektywa połączenia się węzłem dozgonnym z Chaną.

Nad ranem się obudził, okrycia z siebie zsunął, po ciemku się do reszty rozebrał i w ciągu dalszym spał porządnie — spał, aż około dziesiątej rano rozbudził się powtórnie naprawdę.

Nie wstawał — miał do myślenia tyle.

Wychodnim myślenia punktem było porównywanie — przeprowadzenie paraleli pomiędzy Misią a Chaną. Ta młoda, ta niemłoda; ta chorobliwa, ta zdrowa; ta sto pięćdziesiąt tysięcy majątku całego, ta siedemdziesiąt tysięcy dochodu rocznego. Rozwiązywał w myśli zadanie: jaki procent daje kapitał Misi? do jakiego kapitału odnosi się procent Chany? Wypadło: tam siedem tysięcy pięćset, tu milion czterykroć sto tysięcy. Milion ów imponował mu ogromnie. Przypomniał sobie powiedzenie którejś z powag europejskich, że człowiek zaczyna się od tych, co posiadają milion. Odnosiło się to do franków; tu zaś chodziło o talary.

Milion talarów!

O moraliści! o idealiści! Karciciele wymowni pozytywizmu, wy, co gromicie Darwina, wierzgacie na Kopernika i zaglądacie do Złotego Ołtarzyka, postawcie się na miejscu tego wychowanka księdza Zmianko!

Milion talarów! — to nie w kij dmuchać.

Myślał, myślał; milion ów, pomijając czterykroć sto tysięcy, ze stron wszystkich możliwych oglądał i zawołał w końcu w głos:

— Pal diabli!...

Powziął ostatecznie postanowienie heroiczne, łóżko opuścił i ubierać się począł.

Podczas kiedy paznokcie opatrywał, słyszeć się dało do drzwi pukanie.

— Proszę!... — zawołał.

Kręcenie w zamku przypomniało panu Maurycemu zamknięcie drzwi. Otworzył i ujrzał przed sobą wspaniale odzianego lokaja, który się przy drzwiach zatrzymał.

— Cóż tam?... — zapytał młody człowiek.

— Pani moja, pani Kalisz — odrzekł zapytany — kłania się i dowiaduje o zdrowie jaśnie hrabi.

— Podziękuj pani.

— Pani moja kłania się jeszcze i pyta, czy jaśnie pan jej odwiedzić nie zechce?...

— Chętnie...

— Pani moja kłania się i prosi, ażeby jaśnie hrabia przychodził do niej nie w dzień, ale wieczorem... na wieczerzę... dziś...

— Dziś nie mogę, wieczór mam zajęty... Jutro służyć będę pani Kalisz na moment...

Lokaj odszedł; pan Maurycy zajął się kończeniem toalety swojej. Czynność ta zabierała mu zwykle czasu godzin parę, prowadził ją bowiem nie spiesząc się, jak człowiek mający do zbycia czasu dużo. Doszedł do zapinania mankietów od koszuli, kiedy usłyszał znów do drzwi pukanie.

— Proszę!...

Znów tenże sam zjawił się lokaj. Niósł w ręku koszyk serwetą osłonięty.

— A?... — zapytał pan Maurycy.

Lokaj, zamiast odpowiedzi, do stolika przystąpił i ze zręcznością świadczącą o biegłości w sztuce okrył takowy czystą a jak śnieg białą serwetą, na serwecie ustawił talerze, solniczkę, szklankę, kieliszek, widelce, noże, całą słowem zastawę, której nie brakło karafki z wodą i butelki wina, postawił w końcu półmiseczek z dymiącą oparem piersią gęsi pieczonej i kompot z jabłek i do pana Maurycego się zwracając przemówił:

— Pani moja kłania się i prosi pięknie jaśnie hrabi, ażeby śniadanie zjadł...

Co miał począć! Odmówić? Odmowa oznaczałaby poczynanie nieprzyjazne, które w żadnym razie racji słusznej nie miało, najmniej zaś w razie obecnym. Młody hrabia znajdował się przy apetycie. Po maladze wczorajszej

czuł w żołądku czczość i byłby chętnie śniadanie z restauracji hotelowej przynieść sobie kazał, gdyby go od tego nie powstrzymywały względy kieszonkowe. Nie mógł pozwalać sobie na jadanie extra. Przez oszczędność jadał raz na dobę, przy wspólnym stole. Godzina obiadowa znajdowała się w przyszłości dosyć jeszcze oddalonej. Owa gęś przeto pojawiła się w porę. Pan Maurycy przy stole miejsce zajął, kieliszkiem kminkówki apetyt sobie zaprawił, do pieczystego się wziął i spałaszował takowe do szczętu. Lokaj talerz uprzątnął i postawił czysty, stawiając przed takowym babki kawał. Babka poszła za gęsią, wraz z kieliszkami paru doskonałego Bordeaux, po czym nastąpiły owoce smażone na sucho, zaokrąglając posiłek, który młodego człowieka zadowolnił zupełnie. Nie koniec jednak na tym. Po wszystkim wystąpiła na stole maszynka na kawę na fajerce spirytusowej i w chwilkę później pan Maurycy pił kawę czarną, sporządzoną z mokki najprawdziwszej.

— Pani moja — zaczął lokaj, który w milczeniu dotychczas posługi czynił — kłania się i pyta, o której jaśnie pan budzi się rano?...

— O ósmej... dziewiątej...

— I pyta jeszcze: co jaśnie hrabia lubi?...

— Podziękuj pani... Poproś jej, żeby się mną nie kłopotała... nie ambarasowała... Podziękuj pani bardzo...

— Słucham jaśnie pana... — odrzekł lokaj odchodząc.

Pan Maurycy toalety dokończył i resztę dnia spędził, jak spędzał dnie poprzednie. Nazajutrz pił w łóżku przyniesioną przez tegoż samego lokaja doskonałą kawę ze śmietanką, z doskonałymi sucharkami i jadł śniadanie zupełniejsze aniżeli pierwsze; po śniadaniu zaś miał odwiedziny, które mu nieprzyjemności nie sprawiły. Odwiedziła go panna Marianna.

— Ja od pani Kalisz do pana hrabiego... — oświadczyła na wstępie, nie chcąc zajmować krzesła, które jej pan Maurycy podawał — od pani Kalisz na momencik: mam tylko słów kilka oświadczyć...

— Cóż pani Kalisz rozkaże?...

— Pani moja kazała pana hrabiego prosić bardzo, ale to bardzo, na dziś, na wieczerzę...

— Prośbie takiej odmówić niesposób...

— Pani pyta, o której godzinie po pana hrabiego powóz przysłać?...

— Dziękuję... Przysyłać powozu nie potrzeba... Proszę pani podziękować...

Od momentu tego sprawa ożenienia się pana Maurycego posuwała się naprzód. Z jednej strony węzły, które młodego człowieka z Misią łączyły, rozluźniały się, z drugiej te wspomnienia, które go łączyły z Chaną, zacieśniały się. Wstręt pod wpływem troskliwości jej i perspektywy miliona malał stopniowo, aż zeszedł w końcu do rozmiarów oznaczanych za pomocą zera.

## XVI

Pan Maurycy przygotowywał sobie w Śródborzu grunt, celem przeprowadzenia sprawy ożenienia, o ile można najgładziej. Jako pełnoletni rozporządzał on osobą swoją i mógł się ojca o pozwolenie nie pytać. Chodziło tu atoli o rzecz wielce drażliwą: o mezalians, przedstawiający się w warunkach wyjątkowych. Mezalians mezaliansowi nie równy. Każdy oskrzydlają okoliczności łagodzące, te atoli bywają rozmaite, a zaczynają się od zaślepienia miłosnego. Pokochali się i pobrali — królewicz z pasterką. Okoliczność to łagodząca wielkiej wagi i doniosłości, posiada też uznanie powszechne, w romansach zwłaszcza. Po niej idzie postrzelenie. Racja to ważna. Po niej następuje interes — racja najważniejsza, ale oto-

czona mnóstwem akcesoriów, które mają znaczenie swoje wobec opinii publicznej. Hrabia lub książe X. łączy się węzłem małżeńskim z baronówną finansową, ogładzoną, omanierowaną, pięknie wychowaną. To uchodzi. Ma to nawet akcencik pieprzny, amatorski. Bądź co bądź, baronówna jest baronówną, zawieszającą na gałęzi drzewa genealogicznego tytuł. To coś. W braku zaś tego „coś" niechby były przynajmniej formy jakie takie, osłaniające interes, służyć mogące jako okoliczność łagodząca. Formy często ratują sytuację.

Z panem Maurycym nie zachodziło nic podobnego. Interes występował tu nago: nagość zaś ta, rozpatrywana z punktu pana Maurycego, nie posiadała na sobie rysu pięknego ani jednego. Z punktu księdza Zmianko wyglądała ona świetnie; ale — któż się na punkcie tym stawia! Młody człowiek wiedział dobrze, iżby najpobożniejsi w nos mu śmiechem parsknęli, gdyby się racją tą zasłaniał. Potrzebował przeto, w dokonaniu zbrodni takiego mezaliansu brutalnego, spólnictwa.

Gdzież spólnictwo tego rodzaju przedstawiało się naturalniej jak w łonie rodziny własnej?

W rodzinie rolę najważniejszą odgrywa ojciec.

Graf jednak nie był do wzięcia na lep milionów łatwym.

Człowiek, co fortuną w ten co on sposób hazardował, co Niemców kamieniami, pod postacią pałacu, straszyć i pokonywać chciał, co grzązł w mistycyzmie patriotyczno-politycznym i budował zamki na lodzie, człowiek taki miał we łbie ćwiek i było rzeczą co najmniej wątpliwą, ażeby mimo ćwieka tego dało mu się do przekonania wsunąć uznanie zamiaru syna połączenia się węzłem małżeńskim z Chaną. Cui bono? — dla milionów? Graf miliony poważał, ale nie tak nadzwyczajnie. Mniej by go raziło łączenie się stanów, a to z tej racji, że stan szlachecki

w Polsce uważał za wyszły z łona chłopskiego. Był to mezaliansu rodzaj jedyny, który uwzględniał do stopnia pewnego, a mianowicie, gdy nie zachodził interes pieniężny. Wszakże bolałoby go, gdyby się ożenił syn z nieszlachcianką lub gdyby córka za nieszlachcica wyszła — dla majątku zwłaszcza.

Majątek w niewielkiej był u niego cenie z powodu sukcesów kilku, jakie osiągnął w zajściach z Niemcami. Były to sukcesy honorowe — nie inne. Cenił je wysoko; dumnym był nimi; chlubił się mianowicie zwycięstwem, jakie odniósł nad baronem von Krapiloff w pamiętnej o ogony psie sprawie.

Bo też była to sprawa w rodzaju swoim jedyna i bardzo ciekawa.

Barona, rzec można, sprawa ta przeinaczyła. Pozwanie do sądu zdziwiło go, oskarżenie zdumiło. Spadło na niego niby piorun w dniu pogodnym. Nie spodziewał się czegoś podobnego ze strony Polaka, mając Polaków w ogóle za gatunek ludzi upośledzonych na umyśle. Donnerweterował, rzucał się, w końcu wyjednał zwłokę sądową, podając za powód potrzebę zgromadzenia dowodów celem obalenia skargi. Dowody te atoli nie istniały. Udawał się do adwokatów najdoświadczeńszych i najbieglejszych, obiecywał im honoraria bajeczne i dowiedział się jeno, że jedyny na zatarcie sprawy tej przykrej sposób polegał na wyjednaniu u grafa cofnięcia skargi.

— Wyjednać znaczy: wyprosić?... — domyślił się baron.

— Nie inaczej... — odpowiadał adwokat każdy.

— Potrzeba się przed szlachcicem polskim upokorzyć?...

— Ha!...

Łamał się sam ze sobą, medytował, z myślami się bił — próbował wygrozić: groźby skutku nie odniosły.

— Polakiem się na chwilę zrobię... pojedynek...

Posłał wyzwanie, na które otrzymał od grafa odpowiedź, jako ten zwyczaju nie ma do rozprawy orężnej z hyclami stawać.

Przyrównaliśmy barona do brysia, z uwagi na naturę jego. Naturą brysia jest warczyć, szczekać i kąsać, za budę i strawę, na rachunek budostawcy i strawodawcy, a zatem na własny, ze względu na to, że rachunki te zlewają się w jedno za pomocą obróży, która stanowi ozdobę bardzo piękną, wygodę ogromnie wielką i korzyść niezmiernie ważną. Nie dzieje się atoli bezwarunkowo. Bryś ogon pod siebie bierze i przywarowuje wobec podniesionego harapnika. Zastrasza się i w pokorę uderza, jak skoro pozna, że warczeć, szczekać i kąsać bezkarnie nie może. Porządkiem tym baron pychę z serca złożył i do Śródborza pojechał. Graf przyjął go w sieniach. Nie zraziło go to bynajmniej. Ze złożonymi rękami i z pochyloną głową jął najprzód przedstawienia czynić.

— Nie powinniśmy hańbić jeden drugiego, ty bowiem, grafie, i ja należymy obydwaj do stanu rycerskiego... — powiadał. — Pochodzenie nasze...

— Pochodzenie acpana — przerwał graf — wyprowadza się od rozbójnika, moje od obrońcy kraju...

— To prawda, wielka prawda... Wy, panowie Polacy, macie we względzie tym wyższość nad nami, Niemcami... Wyższość ta wkłada na was obowiązek wspaniałomyślności względem niższych...

— Nie względem takich, co psom ogony obcinają...

— To był żart, mości grafie... żart sąsiedzki, niewinny...

— Niewinny!... — wybuchnął graf. — Niewinny?... Poobcinanie ogonów psom, psom gończym! on żartem niewinnym nazywa?... Przodkowie acana również niewinnie

żartowali obcinając ludziom głowy i wypróżniając im kieszenie... Jedno idzie z drugiego i dochodzi aż do Fryderyka Wielkiego, który pieniądze polskie fałszował i rozbiory uknuł, aż do was, co do zagród naszych podstępnie włazicie i nas z gniazda wyrzucacie... Niewinni!...

— To prawda, wielka prawda...

— No... więc chcesz, żebym jednemu z takich niewinnych puścił płazem bezeceństwo, którego się dopuścił, i nie naznaczył go piętnem hańby, kiedy mi się okazja zdarzyła?...

— Cofnij graf skargę, a ja się wysprzedam i wyniosę...

— Ażeby na miejsce twoje wlazł majster inny?...

— Kup graf Kleit u mnie...

— Kup?... o!... — odkaszlnął i ramionami wzruszając dodał: — Na co mi szkło?...

— Fabryka intratna...

— Żeby najintratniejsza... Ja zboże sieję...

Poznał baron, że przedstawienia nie sprowadzą rezultatu pożądanego. Pochylił się i prosić począł.

— Panie grafie, Polaku wspaniałomyślny i szlachetny... jam na ciebie kamieniem cisnął, ty mi chleb rzuć...

— Nie...

— Polska Prusy postawiła, a ty Prusaka z upadku podnieś...

— Nie...

— Zlituj się, grafie!... miłosierdzia...

— Nie...

W chwili tej przez sień przesunęła się dziewczynka. Baron się do niej zwrócił.

— Piękna panienko!... — zawołał. — Wstaw się za mną do ojca... Zmiękcz go...

Do kolan się nachylił. Graf się cofnął i zmiękczyć się nie dał, pomimo że go baron na dziecko, które z ukosa okiem mierzył, zaklinał.

Byłby zmiękł może, gdyby się krzywda wyraziła inaczej. Tak atoli, jak się przedstawiała, oburzyła go do głębi duszy. Obraz gończych bez ogonów w oczach mu stał i głuchym go na najusilniejsze a najpokorniejsze molestacje czynił. Serce jego zamknęło się dla uczucia litości względem człowieka, co politowania nad psami nie miał.

— Daremnie... — rzekł w końcu. — Odpowiadaj przed sądem... Wszak sądzić cię będą sami twoi...

Swoi sądzili barona jak najłagodniej, z uwzględnieniem wszelakich, jakie się wynaleźć dały, okoliczności łagodzących. Faktu zasłonić nie było można. Wyrok skazujący zapaść musiał i zapadł. Skazano go na zapłacenie leciuchnej grzywny za pełnienie rzemiosła, na które patentu nie posiadał. Wstyd i hańba! Hańba przylgnęła do twardego czoła i wywarła skutek nie ten, jakiego się powszechnie spodziewano. Przewidywano szereg nieskończony szykan, praktykowanych względem sąsiadów wszystkich dokoła. Widziano Niemca z góry, gorejącego zemstą. Zdziwienie też było powszechne, gdy na fakta świadczące o rozjątrzeniu barona oczekiwano na próżno. Oczekiwano tygodnie, miesiące, lata. Niemiec ścichł, szkło fabrykował i z sąsiadami nie zadzierał. Gdy któremu przysługę jaką udało mu się wyświadczyć, świadczył, ale przykrości nie wyrządzał nikomu najmniejszej.

— Jam to sprawił... — chwalił się graf. — Jam Niemiaszkowi, co burczał, skrzydła podciął, nie wydawszy na to ani feniga...

To ostatnie szczególnie w dumę go wbijało. Pokonał Niemca gratis. Uważał to za wielką sztukę — majstersztyk — i brał za jeden z żywiołów, na których opierał

kombinacje polityczne, dyplomatyczne i wszelakie inne, rozumując, jak następuje:

— Robić za pieniądze — nie sztuka: lada kiep to potrafi. Za pieniądze kupiłbym Bismarcka...

Człowieka takimi przejętego przekonaniami trudno było nakłonić do uznania milionów. Ostatecznie uznałby je może, ale nie w ilości półtora ani półtrzecia miliona, ani wyżej nawet. Za kwotę taką nie tylko Bismarck, ale i Beust by się nie sprzedał. Materia ta delikatna zniewoliła pana Maurycego postępować ostrożnie, przygotowywać sobie grunt, szukać przymierzy. Przede wszystkim zwrócił się do panny Tekli, ale i jej prawdy całej odsłonić nie śmiał. Ojcu napomknął tylko. Grafowi nie podobało się zerwanie z Misią, z którą związek uważał za zupełnie odpowiedni, nawet dlatego, że posag jej nie przekraczał granic umiarkowanych. Dla człowieka, co nie posiadał nic, dostać półtorakroć sto tysięcy talarów było to wcale przyzwoicie. Że zaś wiedział, iż w zabiegach o pozyskanie ręki Misi ksiądz Jan udział niejaki brał, podejrzywał przeto księdza o zwichnięcie tej sprawy. Pan Maurycy nie wyprowadzał ojca z błędu dlatego, że musiałby kwestią całą wyjaśniać. Wolał ją pozostawić w zawieszeniu i starać się zwracać ku niej wszelkie nadarzyć się mogące okoliczności.

Okoliczności nasuwał kończący się pałac.

Ojciec po pustych go oprowadzał komnatach.

— Umeblować by to potrzeba... — rzekł pan Maurycy od niechcenia niby.

— Umebluje się... — odrzekł graf tonem pewności zupełnej — a nie za spodziewany przez ciebie pięćkroć stotysięczny posag...

— Kto wie, papo kochany... — odparł pan Maurycy niby żartem.

— Ij... — wstrząsnął graf głową — gruszki na wierzbie...

Masio zmilczał.

We dwa czy trzy dni później wespół z ojcem oglądał murującą się stajnię. Graf, rozpatrując się w ścianach, zapytał pana Piotra o drabiny żelazne, które nadejść miały.

— Przyszły już... — odpowiedział zapytany.

— A!... A pokażże je nam pan...

Pan Piotr poprowadził panów Grackich do prowizorycznie, na sposób barakowy postawionego składu, w którym słomą poobwijane spoczywały zwitki spore, kształt półkulisty mające.

— Oto... — rzekł, zwitki ręką wskazując.

— Trzeba by robotnika którego zawołać, ażeby słomę z jednej z drabin odwiązał.

Pan Piotr nic nie powiedziawszy wziął się do odwijania słomy, spod której ukazał się półkoszyk z żelaza lanego, zgrabnie, elegancko nawet wyglądający.

Graf jął się synowi tłumaczyć, jak półkoszyk ów będzie do ściany przyśrubowany, jak się do onego siano będzie wkładało i jak koń będzie siano spoza prętów skubał.

— Pod drabiną żłób kamienny, do którego osypują się i z obrokiem mieszają nasiona, przy wysmykiwaniu siana przez konia otrząsane...

— Prawda, papo... ale..

— Co?... Czy masz co do skrytykowania?...

— Broń Boże!... Myślę tylko, że do takich żłobów i takich drabin mieć by należało konie odpowiednie, angielskie...

— Będą przy nich stały i angielskie, i tureckie, i arabskie...

Pan Maurycy ramionami ścisnął i bąknął:

— Problemat...

— Którego rozwiązanie nastąpi niebawem... — odrzekł graf i dodał tonem dobrego humoru: — „A więc basta, dzieci Piasta!... Oj, nie basta, a dukaty, za kraj cały po Karpaty, za procenty i za straty...“ Prawda, panie dozorco?... — zapytał pana Piotra.

Pan Piotr nie przerywając sobie okrywania drabiny słomą odpowiedział na wiersz wierszem:

— „Trzeba będzie ważyć, służyć, milczeć, cierpieć i wojować; i niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować...“

— A tak... — graf na to. — Ja też właśnie potrzebie tej czynię zadość: domostwo stare zburzyłem i inaczej odbudowałem...

— Uhm?... — mruknął pan Piotr.

— Co?... — zapytał graf.

— Myślę, czy nie za zbyt literalnie wziął pan graf wyrazy Pola?...

— Byłoby to może „za zbyt“, gdyby nie... coś w powietrzu...

Pan Piotr uśmiechnął się na wyrażenie to, tak pospolite w ustach wioskowych polityków naszych — tak pospolite i tak wysokie mające znaczenie!

Graf zapytał:

— Czytujesz pan gazety?

— Czytuję, panie grafie...

— Hiszpania... '... — rzucił i z szopy wraz z synem wyszedł.

— Ćwieczek w głowie... — w sposobie uwagi powiedział do siebie pan Piotr. — Czysty wzór tych, licznych u nas niestety, co zamki na lodzie budują nie chcąc wiedzieć o tym, że zbawienie nasze tkwi przede wszystkim w pracy i oszczędności... Smutny donkiszot... A!... — ręką machnął i wzrok podniósł na te okna pałacu, w których mu się z daleka ukazywała niekiedy postać hrabianki.

W okna te bił blask słoneczny i powlekał szyby odcieniem ognistym. Zresztą widzieć się nie dawało nic. Pan Piotr okrywania drabin dokończył i do mularzy się udał.

Graf idąc przez podwórze powoli i zatrzymując się od czasu do czasu, wykładał synowi sytuację w sposób następujący:

— Wiem ja, że ludzie mnie za postrzelonego mają; pozory za tym są, wniknąwszy jednak w istotę rzeczy, nie do postrzeleńca podobny jestem, ale raczej do spekulanta giełdowego, obrachowującego szanse baisse i hausse. Na baisse'ach traci, ale się nie cofa dla niewypadnięcia z gry i liczy na hausse'ę, która raz przyjść musi, jest to bowiem w naturze rzeczy... Po baisse'ie następuje hausse'a, po hausse'ie baisse'a... Prusacy byli dotychczas en hausse; przychodzi więc dla nich baisse, zbliża się i ja ryzykować va tout już mogę... Że wygram, mam przeciwko jednej szans dziesięć, albowiem szanse moje podpiera Napoleon III... O?... rozumiesz?... — zapytał, palec nastawiając.

— Papa wykłada teorię gry...

— Czyż polityka grą nie jest!...

— Zapewne, ale w niej do układania seryj szans potrzeba karty nie tylko tasować, lecz i znaczyć...

— Toteż — podchwycił graf — znaczenia nie zaniedbuję... Nie dla czego innego, jeno w tym celu matka twoja w Paryżu siedzi...

— Hm!... — mruknął młody człowiek z akcentem, który grafowi wydał się akcentem niedowierzania.

— Wątpisz? — zapytał.

— Nie wątpię, do pewnego stopnia... Nie wątpiłbym zupełnie, gdyby po stronie naszej znajdowała się forsa pieniężna znaczniejsza trochę aniżeli ta, jaką mama w Paryżu rozporządza... Gdyby — dodał tonem insynuacji — gdyby to mama mogła dać... tak... na przykład... obiadek dyplomatyczny...

— No i co?... — odezwał się graf, na którego wyrazy te wrażenie niejakie wywarły.

— I podkarmiwszy a podpiwszy należycie biesiadników, wyciągnęła ich na jakoweś zobowiązanie się wyraźne...

— Ale jakich biesiadników?...

— Rouhera, Persignego, Oliviera...

— Tra-la-la... — odparł, palcem w powietrzu kręcąc. — Objedliby, opili, naobiecywali i niczego nie dotrzymali... Nie masz nic mniej pewnego jak ogony... Zamiast z ogonami, zawsze lepiej jest mieć do czynienia z głową... To zasada moja, a przy tym, w przekonaniu moim, sprawy ważne traktowane być powinny, jeżeli nie na czczo, to zawsze na trzeźwo... Plenus venter non studet libenter... Widzieliśmy rezultaty obiadków dyplomatycznych na kongresie wiedeńskim... Nie!... to proceder nie mój... Cieszy mnie nawet, że matka twoja nie rozporządza wielką forsą pieniężną, gdyby bowiem pieniądze miała, kusiłby ją może łatwy ujmowania sobie ludzi sposób i nazbierałaby, w zamian za pasztety z wątróbek gęsich i za wino szampańskie, pełno obietnic niewartych funta kłaków... Postara się o osobiste z Napoleonem widzenie i jemu rzecz przedstawi, jak należy.

— Nie wiem jeno... czy Napoleon... — zaczął Maurycy.

— Cóż masz mu do zarzucenia?

— Nic... Chciałem powiedzieć jeno: czy jest on przystępny?... czy się do niego tanim kosztem dostać można?...

Młodemu hrabiemu chodziło o to, ażeby wperswadować ojcu potrzebę pieniędzy i w sposób ten utorować sobie drogę do uzyskania jego przyzwolenia na mezalians. Dlatego to bił w punkty najdrażliwsze. Nadaremnie jednak. Graf był fortecą nie do wzięcia.

— Napoleonkowi — powiadał — potrzeba jeno mądre słówko w ucho rzucić... To majster!... słyszy, jak trawa rośnie: od pierwszego zrozumie słowa...

— Gdy słowo to ktoś z zaufanych poprze...

— Myślisz, że on ufa komu!... Dla takich jak on dobrym jest każdy, co mu drogę wskaże... Wziął to ze stryja, który także rozum swój miał...

— I był wojownikiem wielkim... — wtrącił syn.

— Na to, żeby Niemiachów pobić, nie potrzeba wojownictwa nadzwyczajnego... Potrzeba sprytu; a to sprytny, o! sprytny... Jak on się wykierował!... A... czy za pieniądze?... Wierz mi, mój Maurycy — mówił do syna sentencjonalnie — pieniądze niewiele warte... Pieniądze wynalezione są dla tych, którym oleju w głowie brak... Człek rozumny umie się bez nich obchodzić, czerpiąc sposoby działania nie w worku, ale w głowie... Zobaczysz, jak to pójdzie gładko. Prusacy długi moje popłacą, pałac mi umeblują i w konie angielskie stajnię zaopatrzą...

## XVII

Nie było sposobu trafić do grafa starego, zacietrzewionego w widokach, dla których szans na powodzenie nie było najmniejszych.

Graf należał do starej wielkopolskiej gwardii, liczącej w gronie swoim ludzi wartości wysokiej i narwańców. On był tych ostatnich typem.

Pan Maurycy nie raz i nie razy dziesięć zbierał się postawić kwestią jasno, wskazując ojcu otchłań pod nogami, ale się obawiał zrazić go sobie.

„Stara gwardia ginie, ale się nie poddaje".

W rezerwie miał postawienie czynu dokonanego; przed tą zaś ostatecznością pozostawała jeszcze matka, do której zakołatać postanowił listownie. Napisał. List jego był

na wskroś dyplomatyczny. Oznajmiał o zerwaniu z Misią i o zwróceniu zabiegów w inną stronę, ale przedmiotu zabiegów nie wymieniał. Wstydził się. Ogólnikowo wyrażał się o mezaliansie i o fortunie olbrzymiej, przeciwstawiając tę ostatnią opłakanemu stanowi interesów majątkowych. Wyglądało to tak, jakby ofiarę z siebie czynił na rzecz rodziców i siostry. Wreszcie wzywał matkę do przyjazdu w sposób naglący, zaklinał ją „na przyszłość dzieci". Wielkie zaklęcie! Liczył na to, że ono bez rezultatu nie pozostanie — bez rezultatu, na który oczekując nie miał do czynienia nic lepszego jak pozostawać we Śródborzu. Najdogodniej mu to wypadało.

Nic nie miał do czynienia lepszego jak w Śródborzu pozostać, ale w Śródborzu nic do czynienia nie miał.

Graf wyznaczył mu apartament na piętrze, odpowiedni symetrycznie temu, który panna Tekla zajmowała, lecz położony w stronie przeciwnej. Brata od siostry dzieliły pokoje puste, acz wspaniałe.

Młody człowiek, nawykły do próżniactwa pracowitego, skazanym się czuł na nudy.

— Nudy śmiertelne... — rzekł razu pewnego do siostry.

— Już?... — zapytała, zdziwiona, że powiedzenie to wygłoszonym zostało na piąty po przyjeździe dzień.

— Już prawie... — odpowiedział. — Mam je w przedsmaku.

— Cóż to będzie, gdy drugich dni pięć upłynie!...

— Nie masz tam do czytania czego?...

— O! mam... — zawołała uradowana.

Uradowanie jej pochodziło stąd, że młody hrabia nie należał zgoła do rodzaju ludzi w czytelnictwie zamiłowanych. Czytywał on — któż bowiem z tej sfery w w. XIX nie czytuje! — ale dorywczo, od niechcenia, uważając książkę za rodzaj zabawki niezupełnie odpowiedniej lu-

dziom serio. Miał siebie za człowieka serio. Panna Tekla zapatrywała się na rzecz tę inaczej. Czytywała więcej i uważniej aniżeli brat i powzięła to przekonanie, że książki dostarczają nie tylko przyjemności, dochodzącej niekiedy do rozkoszy, ale także udzielają wskazówek, kształtują umysł i serce. Z tej to racji uradowało ją zapytanie pana Maurycego. Zaprosiła go wnet do siebie.

— Chodź... zobaczysz... wybierzesz...

— Masz co z nowości?...

— Zobaczysz...

Cóż ona miała! — same rzeczy stare — stare, to jest przede wszystkim utwory poetów epoki mickiewiczowskiej, a obok nich dzieł parę historycznych i powieści zbiór znaczny. Jej to wystarczało; księgozbiór swój miała za znaczny z tego głównie powodu, że znajdowała w nim resurs na zajęcie czasu, gdy nie zajmowała się czym innym.

Pan Maurycy przyszedł, przed szafką stanął, okiem po tytułach książek powiódł i skrzywił się.

— Co?... — zapytała.

— Nie pożywię się u ciebie...

— To może... — zaczęła i urwała, jakby się zlękła tego, co powiedzieć miała.

— No?...

— Może by cię w książki zaopatrzyć mógł...

— Kto?...

— Pan Ostróżko...

— Kto?.. — zapytał powtórnie z przyciskiem zaakcentowanym zdziwieniem.

Panna Tekla powtórzyła nazwisko.

— Skądżeś jakiegoś pana Ostróżkę wygrzebała?...

— Dozorca przy robotach...

— Więc to... dozorca i zarazem literat?... kumuluje?...

— Człowiek ukształcony... interesuje się ruchem umysłowym...

— Jakże o tym wiesz?... ze słyszenia?...

Gdyby pan Maurycy w zapytaniu powyższym nie dodał był wyrazu ostatniego, byłby ją w okrutny wprawił ambaras. Wyraz ów z ambarasu wyprowadził. Nic nie odpowiedziała i tak to uszło. Zmieszała się. Zmieszania pan Maurycy nie zauważył i dodał:

— Hm?... spróbuję, zakołacę do Ostróżki ostrożnie; znajdę może partnera do ekarte...

— Czy umie... — wtrąciła panna Tekla.

— Nauczy się... byle ochotę miał, ochota zaś do karteczek w mężach tego rodzaju jest rzeczą zwyczajną...

Rzekłszy to kapelusz włożył i do mularzów się udał. Przy mularzach pana Piotra nie było. Na zapytanie, gdzieby się obracał, wskazano mu stancję w oficynie, służącą dozorcy za mieszkanie. Młody hrabia zawahał się na chwilkę; powiedziawszy sobie atoli „à la guerre comme à la guerre", do oficyny poszedł i do drzwi zapukał. Pukanie powtórzył razy parę, nadaremnie jednak. Ze środka nie odzywał się nikt. Klamkę pocisnął, drzwi się otworzyły; zajrzał do izby i zajrzawszy nie mógł się oprzeć ciekawości, jaka go pociągnęła do przestąpienia progu. Ciekawość wzbudził w nim widok wnętrza izby, przedstawiającego się pod postacią składu bezładnego przedmiotów należących do mineralogii i botaniki. Tak się to przedstawiało na pierwszy rzut oka. Na półkach, skleconych naprędce z desek prostych a ustawionych nie tylko pod ścianami, ale i na środku pokoju, widzieć się dawały kamienie i ziemie, zioła i trawy, kłosy i nasiona, złożone jedne na drzewie wprost, inne na czerepach i papierkach. Tu i owdzie spostrzegać się dawały notaty, pomiędzy którymi zafrapował go rulon mający pargaminowy pozór.

Rulon ów do ręki wziął, rozwinął i przejęty zdumieniem został. Był to dyplom na doktora filozofii, wydany na imię Piotra Ostróżki, cum maxima laude. Zwinął takowy i położył. Półki maskowały sobą sprzęty, które składały się ze stolika pod oknem wysokiego, o powierzchni pochyłej, takiego, przy którym pisze się stojąc, ze stołu zwykłego, dużego, książkami zawalonego, z paru stołków i z łóżka sypialnego, prostego, wąskiego, słomą napełnionego i kocem okrytego. Do sprzętów także zaliczyć należy dzbanek na wodę, misę zastępującą miednicę, ręcznik na kołku i narzędzia takie, jak piły, pilniki, młotki, świdry, obcęgi etc. Było to niby muzeum, niby pracownia. Pan Maurycy przeszedł się pomiędzy półkami zatrzymując się tu i owdzie i stanął w końcu przed stołem, na którym spoczywała książek kupa. Wziął do ręki jedną — była to geologia, drugą — traktat o uprawie roślin pastewnych, trzecią — o gospodarstwie rolnym, czwartą — botanika, piątą — chemia analityczna.

— Hm?... hm?... — pomrukiwał — doktor filozofii... no, proszę...

Z boku leżała książka w okładkach nowiutkich, nie porozcinana jeszcze — praca świeża pani Wilkońskiej.

— Hm?... — uśmiechnął się, książkę rzucił i ku wyjściu się miał, gdy do izby wszedł pan Piotr.

— A?... — odezwał się ten ostatni tonem zdziwienia lekkiego.

— Chwytasz pan mnie na uczynku gorącym zgwałcenia progów mieszkania pańskiego...

— Progi mieszkania mego nie są zakazane...

— Wszelako... Przepraszam pana... Pukałem i odpowiedzi nie otrzymawszy ośmieliłem się drzwi otworzyć... Ciekawość mnie pociągnęła... wszedłem... Przepraszam...

— Ależ... proszę pana... — odrzekł pan Piotr.

— Masz pan tu kolekcję zupełną...

— Za zbyt nawet zupełną, albowiem znajdują się tu przedmioty niektóre w egzemplarzach liczniejszych, jak potrzeba, inne zaś zanadto są pospolite... Z tego wszystkiego wybrałoby się okazów dziesiątków parę...

— Na cóż pan to zbiera?... — zapytał pan Maurycy po chwili.

— Zbieram... z nawyku... dla niestracenia wprawy, trochę z nudów wreszcie...

— Z nudów?... — pan Maurycy na to.

— Zajęcie moje przy mularce nie zabiera mi wszystkich dnia momentów...

— I czytujesz pan, jak widzę... — dodał młody hrabia wskazując oczami książki.

— No tak... „Kto czyta, od tego głód się odwraca...“ — odrzekł pan Piotr tonem, w którym się żartobliwość przebijała.

— Według tego przeto, ażeby głód odwrócić, dosyć by było ludzi czytania wyuczyć...

— W części... to tak jest... Czytanie ułatwia nabycie wiedzy, ta zaś jest potęgą, której się głód oprzeć nie jest w stanie...

Młody hrabia utrzymywał rozmowę dla rozmowy i szukał furtki jakiejś, przez którą by przeprowadził kwestią nudów swoich. Furtka jednak tego rodzaju trudną była do znalezienia u człowieka zażywającego na nudy lekarstwa, na które by się pan Maurycy nie zgodził. Jakżeby on po kamyki chodził i ziółka zbierał! Czegoś podobnego wyobrazić sobie nie było można. Najwyżej — polowanie: luboć myśliwym, w ścisłym wyrazu tego znaczeniu, nie był; wszelako zapolowałby w towarzystwie. Po ostatniej przeto pana Piotra odpowiedzi wziął ze stołu powieść pani Wilkońskiej, obrócił ją w rękach razy parę, otworzył, zamknął, ujął książkę w palce za jeden z rożków, wywinął ją i rzekł:

— Wszakże nie wydaje mi się przyjemnym towarzystwo, w jakim pan czas spędzasz...

— O jakim pan towarzystwie mówisz?... — zapytał pan Piotr.

— Kamieni, glinek, roślin...

— Czyż nie mam innego?...

— Na przykład?...

— Robotnicy... włościanie...

— E!... — rzucił pan Maurycy i ręką machnął.

— Towarzystwo... — zaprotestował pan Piotr.

— Zapewne; w żadnym jednak razie smakować nie mogące człowiekowi jak pan ukształconemu...

— Czyż ukształcenie smaku w kierunku tym nie zwraca?... Ukształcenie urabia smak wszechstronnie i nie wytrąca z takowego całego, tak dużego i tak ważnego, działu społeczeństwa...

— Działu w ciemnościach pogrążonego... — wtrącił pan Maurycy.

— Ciemności to koloryt, panie... — odparł pan Piotr — koloryt powlekający obraz, na którym, szukając, odnaleźć można piękności prawdziwe...

— Czyżby?...

— Tak, panie... poszukać tylko potrzeba...

— Szukałeś pan i znalazłeś?...

— O!... Jam szukać nie potrzebował... Dla mnie się to znalazło samo przez się...

— Tak jak się często w życiu znajdują rzeczy nie szukane... — dorzucił pan Maurycy.

— O, tak... — dorzucił pan Piotr.

Jeden pomyślał o Chanie, drugi o pannie Tekli. Nie szukał ani ten, ani ów i pod względem tym w położeniu dwóch tych młodych ludzi zachodziła analogiczność, która by ich zbliżyć mogła, gdyby nie oskrzydlające takową motywy. Analogiczność skarambolowała się niby dwie

bile na bilardzie i odbiegła tonąc w milczeniu, w jakim się pogrążyli jeden i drugi, potrąciwszy niechcący o materię, która zawadzała i temu, i temu.

Zawadzała ona panu Piotrowi mocno.

Cóż bowiem: byłoż jakie podobieństwo w tym kierunku, w którym się serce młodego człowieka zwróciło? Najmniejszego, wedle zdania jego samego. Trafiło mu się coś podobnego jak wędzidło włożone koniowi, który jeszcze wędzidła nie zaznał. Dziwiło go to i gniewało — gniewało dlatego, że czuł się wziętym, że się złapał.

Pan Maurycy zamieniwszy jeszcze frazesów kilka i przeprosiwszy raz jeszcze za zgwałcenie mieszkania, wyniósł się. Zmiarkował, że dozorca nie nadaje się na partnera, mając do zapełnienia czasu co innego aniżeli zaszczyt dotrzymywania towarzystwa hrabiemu. Ludzie, którym o zaszczyt ów chodzi, inną aniżeli on mają minę. Mina pana Piotra nie podobała się mu. Dopatrywał w niej czegoś podejrzanego — czego mianowicie?

— Ten twój pan Ostróżka — mówił do siostry, gdy się z nią zeszedł — to mąż światły, doktor filozofii, ale niepewny jakoś...

— Niepewny?... — zapytała hrabianka tonem zdziwienia.

— Takie sprawia wrażenie... Zdaje się, jakoby go o coś posądzać należało...

— Na przykład?... — odezwała się głosem zmienionym nieco, biorąc słowa brata do siebie.

— Nie wiem... — odrzekł. — Może jakie knowania socjalistyczne... Może jest agentem towarzystwa wabiącego chłopów do Ameryki... Może...

Spostrzegłszy, że posądzenia brata nie w tym, jak jej się zdawało, idą kierunku, ochłonęła i rozpytywać się jęła o szczegóły wizyty. Rozpytywała tak ciekawie, że pan Maurycy uwagę uczynił:

— Cóż ciebie tak ten Ostróżko obchodzi?!

— Czy nie wolno być ciekawą?... — odparła.

— Zapewne... Właściwość płci... Dla zaspokojenia przeto ciekawości twojej powiem ci, młodzieniec choruje na urodzenie własne...

— Co ty powiadasz!... — zawołała.

— Ma losom za złe, że się Ostróżką, nie zaś hrabią Grackim urodził... Choroba to bardzo pospolita: zapadają na nią Ostróżkowie wszyscy, jak skoro się poduczą trochę... Ze zdolniejszych wyrastają Pankracowie...

Słowa brata wprawiły pannę Teklę w zamyślenie. Młody człowiek interesował ją, interesował żywo, a tym żywiej od chwili, jak osłoniła go mgła zagadkowości. W zamgleniu tym zolbrzymiał niejako. Zapragnęła poznać go bliżej, dowiedzieć się o nim wszystkiego, co znamionuje człowieka we względzie wartości jego moralnej. Pragnienie to nie przyszłoby, gdyby człowiek ów był jej obojętnym, i właściwie było ono nie czym innym, tylko pretekstem, który się urodził mimo wiedzy hrabianki.

Zachodziła jednak niezmierna w urzeczywistnieniu pragnienia tego trudność. Dowiedzenia się o panu Piotrze dwa były sposoby: tajemny i otwarty. Pierwszy polegał na tym, ażeby za pomocą kogoś zaufanego kroki jego śledzić, drugi na tym, ażeby się z nim pod drzewem zejść i rozmówić. Pierwszy atoli ani się jej na myśl nasunął; co się zaś drugiego tyczy, zdecydować się nie mogła. Po raz drugi na odwagę zdobyć się już w stanie nie była. To uczucie, co się dziewiczym wstydem zowie, a które miłość potęguje, krępowało ją. Widywała młodego człowieka codziennie z daleka, najprzód o dnia świtaniu, następnie w ciągu dnia przy robotnikach, przeczuwała obecność jego wieczorem przy gnieździe bocianim.

Dnie upływały. Roboty przy stajni postępowały szybko, tak szybko, że panna Tekla podejrzywać poczęła pana

Piotra o przyspieszenie takowych umyślne. Młode bociany w pierze porastały i można je było widzieć niekiedy, jak się podnosiły, na nogach stawały, skrzydła rozkładały i wyciągały szyje.

Razu pewnego graf oznajmił synowi i córce:

— Matka przyjeżdża... — i dodał tonem uradowania wielkiego: — król pruski tyłem się do ambasadora francuskiego obrócił...

— Jak to?... — zapytał pan Maurycy.

— Ot tak... — odrzekł pokazując. — Obrócił się.

— Chybaż to bajka...

— Bajka!... I jam to za bajkę miał, ale... matka pisze... Matka z Napoleonem się widziała. To jej widzenie się i to królewskie obrócenie się... o... Będą Prusaczęta cieniutko śpiewały, gdy im napoleoński bas zagra, cieniej aniżeli baron von Krapiloff, kiedy przede mną ręce składał. Nadchodzi na nich czarna godzina...

Pan Maurycy obiekcję jakąś zrobił, ale graf go zagadał podnosząc wielką obrazę, jakiej się król pruski dopuścił względem majestatu cesarskiego, i wysnuwając z obrazy tej następstwa dla stosunków w świecie politycznym ogromne i dla Śródborza nie mniej wielkie.

— Miałem węch... — powtarzał — miałem węch...

— Cóż z mamą Napoleon?... — wtrącił pan Maurycy.

— Co?... rozmówili się...

— Jak?...

— Krótko... krótko, ale wyraźnie... Napoleon do matki waszej: „Madame?", a ona mu na to: Sire, Prusacy nam już kością w gardle stoją...

— A dalej?...

— Nic dalej... Tyle tylko wyczytałem ze sprawozdania cyfrowanego... Czyż tego nie dosyć... Czyż można się dy-

plomatyczniej i dosadniej zarazem wyrazić?... Prusacy nam już kością w gardle stoją... Ona to powiedziała, a tu depesza nadchodzi, że się król tyłem obrócił... Gdyby po tym Francuzi wojny nie wydali, w razie takim powiedziałbym o nich, że skapcanieli... Nie... to być nie może...

— Ależ, papo... — tonem refleksji zaczął pan Maurycy. — Niedawno, trzy lata temu król pruski był u cesarza francuskiego w gościach i były tam ze strony jednej i drugiej serdeczności takie...

— Co to znaczy!... Serdeczności w świecie dyplomatycznym są to wędki, haczyki, siatki na muchy, samotrzaski na ptaki, żelaza na niedźwiedzie... Cha, cha... serdeczność dyplomatyczna! — rzekł z przekąsem. — I myśmy jej na sobie doznali: zdusiła nas, o mało nam kości nie połamała...

Uniósł się i w uniesieniu sypał prawdę po prawdzie, na nieszczęście odnosił takowe do zajączka, co pokutował w głowie jego i czynił go typem narwańca politycznego, modelem najczystszym budowniczego zamków na lodzie. Prawił, analizował, krytykował i odgrażał się na Prusaków.

— Ja im dopiero końca dojadę...

Pan Maurycy i panna Tekla nie przeczyli przez uszanowanie dla ojca. Prócz tego zaś pan Maurycy miał swój szczególny powód nienarażania się rodzicowi. Wszakże to, na czym graf politykę swoją opierał, nie było pozbawione podstawy. Stosunki pomiędzy Francją a Prusami, dzięki nieprzezorności dyplomacji cesarskiej i machinacjom, które z buduaru cesarzowej wychodziły, zaostrzały się coraz to bardziej. Stronnictwo wojenne w Paryżu, nie mające o wojnie pojęcia, pchało do awantury, wołało o pochód do Berlina. Gazety rozdmuchiwały ogień. W świecie publicystycznym zapanowała wrzawa wielka,

która głuszyła głosy rozsądku i umiarkowania, upominające się o postępowanie rozważne.

— Czyście gotowi?... — zapytano.

— Ani jednego u kamaszów nie brak guzika... — była odpowiedź, którą zainteresowanemu żywo światu dał minister wojny.

Inny znów minister świadczył się „sercem lekkim“, z jakim gotuje rozlew krwi.

„Wojna, już Konrad powstrzymać nie zdoła wołania ludu i nalegań rady“.

Miał więc graf rację powtarzając:

— A co!... przewidywałem, przeczuwałem, obrachowywałem i rachuba mnie nie zawiodła...

Pokazuje się stąd, że kaliber grafa był jeden i ten sam co kaliber ludzi, którzy nawą Francji w czasie owym kierowali. Budował zamki na lodzie on, budowali i oni. Poznały się łyse konie na jarmarku. Jest to rzecz dla nas pocieszająca w tym względzie, że zarzucana nam fantastyczność w zakresie kombinacyj politycznych nie jest wyłącznym naszych mężów stanu przymiotem. Powodują się nią i tacy, co mogliby nie kręcić biczów z piasku. Nikt sterowników Francji nie naglił do mierzenia się z Prusami na polu zapasów wojennych; nikt ich do tego nie zmuszał. Spieszyło się im. Czynili wszystko, ażeby graf Gracki miał prawo rację sobie przyznać.

## XVIII

Pomiędzy osobistościami, które w opowiadaniu naszym występują, najmniej nam znaną jest hrabina. Nie dziw. Funkcje jej trzymały ją z daleka. Była ona — une dame diplomate, podobna do tych, jakie w czasach rozmaitych zapisały się na kartach historii, z tą atoli różnicą, że te ostatnie przemawiały półoficjalnie w imieniu mężów sta-

nu, co na rozporządzenie swoje mieli nerw wojny — pieniądze, ona zaś przemawiała oficjalnie w imieniu idei zaopatrzonej we wszystko z wyjątkiem nerwu onego. Różnica ta utrudniała położenie hrabiny ogromnie, nie zrażała jej atoli — przeciwnie: bodźca jej dodawała. Pomiędzy nią a mężem zachodził stosunek zaufania wzajemnego a nieograniczonego: graf był dla niej inspiracją; poglądy jego przyjmowała bezwarunkowo, bez zastrzeżenia najmniejszego, in crudo; za to on miał nieograniczoną w rozum jej wiarę — do niej się odwoływał, nią się świadczył i w dyskusjach, które mu się przychodziło staczać często, gdy mu argumentów brakło, miał zwyczaj słowa jej przytaczać.

— Żona moja powiedziała...

Znaczyło to, że gadać nie ma o czym. „Żona moja" w ustach grafa było tym samym zupełnie, co imię którego z ojców kościoła w ustach księdza. Po wymówieniu wyrazów tych sakramentalnych nie dyskutował już, nie słuchał nawet, co do niego mówiono.

Hrabina, jak mówiliśmy już, sprawowała interesa dyplomatyczne.

Dodawać nie trzeba, że małżeństwo to w najlepszej działało wierze. Nie było w nim, jak się Szewczenko w jednym z prześlicznych wierszyków swoich wyraża, „ziarna nieprawdy"; prawda jednak, która w nim była, miała pozory pomieszania na umyśle, ale nie wyjątkowego. Rozlewało się ono po głowach szlacheckich szeroko, przejawiając się rozmaicie, zawsze pod postacią kombinacji mniej lub więcej fantastycznych. Państwo Graccy stanowili typ, który się kwalifikował do domu wariatów, ale pod tym warunkiem, ażeby wraz z nim zamknąć mnóstwo ogromne właścicieli dóbr rycerskich, stawiających pałace na kredyt celem zaznaczenia powagi idei i bronienia jej w ten sposób. Byli to w rodzaju swoim obrońcy

gniazdowi, prowadzący obronę za pomocą rujnowania się. Czynili to w dobrej wierze. Pod względem intencyj nie było im nic do zarzucenia. Na korzyść marnotrawców tych trybunał najsurowszy przyznać by musiał okoliczności łagodzące. Wydawało się im, że „służą“ i „inaczej odbudowują“.

Graf na rzecz służby onej posiadał aparat cały częścią w głowie, częścią w biurze. W głowie miał alfabet do pisania kluczem znanym jemu tylko i hrabinie; w biurku ukrywał atrament sympatyczny, o którym myślał, że jest sekretem dla niego specjalnie przez aptekarza pewnego z Wrocławia wynalezionym. Sekret polegał na tym, że się atramentem zwyczajnym pisało na tych samych liniach, na których znajdowało się pisanie atramentem sympatycznym, i odczynnik wydobywał ten ostatni, niszcząc zarazem pierwszy. Graf tego był przekonania, że sekret ów jest tajemnicą, znaną tylko jemu jednemu na kuli ziemskiej. Receptę na pamięć umiał i zaufanym, z którymi w stosunkach politycznych pozostawał, udzielał przyrządzanego przez siebie atramentu w dwóch flaszeczkach — jedna do pisania, druga do odczyniania, nie powiadając, jakie się do spreparowania onego ingrediencje używają. Postępował we względzie tym z ostrożnością całą. Hrabina nawet tajemnicy tej nie posiadała.

Hrabina przyjechała.

Była to niewiasta wspaniała — słuszna, imponująca, piękna, mimo że na czasu zegarze południe dla niej od lat dziesiątka minęło. Patrząc na nią, wcale się o wieku jej nie myślało. Zdawało się, że jaką jest, taką była i będzie.

Zatrzymała się na najbliższej od Śródborza stacji kolei żelaznej. Zaszła była kwestia, kto po nią pojedzie.

— Ja... — podchwycił pan Maurycy, któremu chodziło o to, ażeby się z matką rozmówił najpierwszy.

O toż samo jednak chodziło i grafowi.

— Pojadę ja sam... — odparł.

— I ja z papą... — wtrąciła panna Tekla.

— Zostańcie wy i przygotujcie dla matki przyjęcie...

— Dla papy będzie to fatyga... — odezwał się pan Maurycy.

— Matka domu nowego nie widziała jeszcze... — odparł graf — wypada przeto, ażebyście ją godziwie w progach nieznanych spotkali...

— Z chlebem i solą.. — podchwyciła panna Tekla.

— Dobrze... — odrzekł graf — ale na to należałoby porozumieć się z robotnikami chyba, albowiem ściągnąć włościan trudno by było... Pomów z dozorcą...

Panna Tekla na ostatnie ojca wyrazy spłoniła się z uciechy. Sam przez się nastręczył się pretekst spotkania, którego ona tak gorąco pragnęła. Tu przyjazd matki, dla której żywiła w sercu swoim cześć, jako dla istoty podążającej ku celom wyższym, tu — to. Jak skoro przeto ojciec odjechał, pędem się do siebie na piętro udała i toaletę na sobie poprawiać jęła. Włosy przed zwierciadłem przygładziła, oblicze ręcznikiem wilgotnym odświeżyła, kołnierzyk u szyi naprostowała, kwiatek w warkocze wetknęła, rękawiczki włożyła, parasolkę wzięła i z okna oczami szukać poczęła. Szukała, nie znajdowała.

— Cóż by to?... — do siebie szepnęła. — Może się wybrał właśnie gdzie w okolicę... Ach!... byłoby to nieszczęście!

Nieszczęście to jednak nie nastąpiło. Ujrzała go wychodzącego z oficyny i idącego ku warsztatowi. Wnet ruszyła, po schodach zbiegła i rozpinając parasolik nad sobą, ruszyła krokiem pospiesznym, starając się na przełaj mu zajść. Manewr ten zdaje się zwrócił na siebie uwagę pana Piotra, zatrzymał się bowiem.

Panna Tekla, gdy do niego doszła, tak się zmęczyła, że przemówić nie mogła. Byłoli to zmęczenie fizyczne? —

o tym wątpić należy. Wszakże przemówić nie mogła, co widząc młody człowiek zaczął pierwszy.

— Pani, jak się domyślam, ma mi coś do powiedzenia?

— O!... tak, panie...

— Zapewne o bocianach, które mają się doskonale, rosną i niebawem same o sobie pamiętać będą...

— Ach!... tak... nie... mam prośbę do pana...

— Pani... — odrzekł przybierając postawę człowieka gotującego się do wysłuchania rozkazu.

— Mam prośbę... — bąknęła nieśmiało.

— Słucham...

Panna Tekla odchrząknęła. Zanim do przedstawienia żądania przystąpiła, wydawało się jej, że takowe samo jej z ust wypłynie. Stało się jednak inaczej. W chwili wygłoszenia wyrazu pierwszego strzeliło jej nagle w głowie zapytanie podające stosowność żądania w wątpliwość. Chodziło o owację hrabinie. Jakim tytułem w owacji tej pan Piotr miał wziąć udział? Czym dla niego była hrabina? Zapytania te razem w głowie panny Tekli się zbiegły i wprawiły ją w zmieszanie, w jakie zazwyczaj wpada człowiek spostrzegłszy się, że ma popełnić niedorzeczność, od której się cofnąć niesposób. Pożałowała tego, że wyszła. Spróbować chciała spolitykowania jakiegoś. Kobiety niekiedy po mistrzowsku wydobywają się z równie fałszywych położeń. Hrabianka jednak na nic takiego zdobyć się nie umiała. Zmieszana stała, bąkała, wreszcie zamilkła. Pan Piotr z pomocą jej pośpieszył.

— Pani by może stan robót widzieć chciała?...

— Dobrze... — odrzekła — jeżeli pan łaskaw...

— Proszę...

Wprowadził ją do środka, gdzie urządzano właśnie żłoby i układano podłogę, podczas kiedy w górze stawiano wiązanie pod dach.

— Widzi pani... — pośpieszamy... — rzekł pokazując.

— Panu się dłuży i nudzi w Śródborzu...

— O nie!... — odparł. — Ani mi się dłuży, ani nudzi... Pospiech idzie nie ode mnie...

— Nie od pana?... — zapytała głosem, w którym zabrzmiał akcent dziwny jakiś.

Pan Piotr z ukosa na nią spojrzał.

— A mnie się wydawało...

— Przecież obiecałem... — podchwycił pan Piotr.

Słowa te oprzytomniły niejako pannę Teklę. Spojrzała na młodego człowieka, uśmiechnęła się i wnet mówić zaczęła swobodnie:

— Tak, to prawda... Powinnam była o tym pamiętać i... pamiętałam... — rzekła z lekkim przyciskiem. — Z tym wszystkim... widząc pośpiech niezwykły...

— Niezwykłym on jest w rzeczy samej... Wśród robotników znajdują się w większej połowie ludzie, co do wojska należą; nakazano im pogotowie na pierwsze zawołanie...

— I oni pójdą?...

— Iść muszą...

— Będą się za Prusy bili?...

— Cóż poczną!...

— Biedni oni... — rzekła z uczuciem. — Czyż na to rady nie ma?...

— Hm?... — uśmiechnął się uśmiechem jakimś gorzkim.

— Nie ma?... — zapytała.

— Jest... — odrzekł i po chwilce tonem przekąsu dodał: — przede wszystkim, pałaców nie stawiać, następnie, bronić gniazd tak, jak bociany bronią...

— Czyż one obroniły?...

— Nie obroniły, obronić nie mogły, dlatego żeśmy spod nich grunt usunęli... I gniazd naszych, gdyby kto z gruntem pod nimi zrobił to, co my z dworem starym,

bronić byśmy w stanie nie byli... Ale my... burzymy je sami, z ochoty własnej... Robi się wesoło... bardzo wesoło....

Dla panny Tekli wyrazy te były rodzajem wymówki, uczuwała się bowiem i uznawała solidarną do pewnego stopnia w tym, co rodzice czynili. Odpowiedziała przeto:

— Surowym jesteś, panie, względem... nas...

— Mówię: my... — odparł.

— Czyżby to taką — zaczęła tonem wymówki — być miała rada na zapobieżenie losowi, jaki tych biedaków, powołanych do przelewania krwi za sprawę nie swoją, spotka?...

— Nie przepadaliby... Wracaliby do gniazd ci oczywiście, co by wracać mogli, i znajdowaliby ognisko własne, przy którym by się odgrzewali; nie odbiegaliby od takowego za morza... Czyżby bowiem emigrowali do Ameryki ci, którzy się braćmi młodszymi zwą, gdyby bracia starsi lepiej o dobro gniazd dbali i umiejętniej około onego chodzili?... Czy wie pani, że się połowa Śródborza do Ameryki wybiera?...

— Czy to być może!... — zawołała w przerażeniu prawie.

Przerażenie jej było prostym odbiciem opinii publicznej, powstającej drogą dziennikarską i wszelkimi innymi przeciwko wychodźstwu włościan za ocean, ale nie wykazującej, że do powodów ekonomicznych, wychodźstwo sprowadzających, dołączają się moralne, pochodzące od „starszej braci“ i oddziaływujące równie, jeżeli nie bardziej silnie. Do opuszczenia gruntu rodzinnego nie dosyć jest braku zarobku donośnego: potrzeba jeszcze zobojętnienia, które przychodzi drogą przykładów. Ci, co by przykładem świecić powinni, sprzedają ziemię Niemcom; cóż więc ta ziemia! — jaką mieć ona może wartość dla tych, co się na przykłady te zapatrują?... „Starsi bracia“ marnotrawią, „młodsi“ opuszczają. Wynika to jedno

z drugiego. Panna Tekla nie rozumiała tego dotychczas. Zrozumiała i — przeraziła się.

— Połowa się wybiera?... — dodała.

— Niestety... — odrzekł pan Piotr.

— Ach! panie... jakże to smutne!... zwłaszcza z tym „my“ w dodatku...

Młody człowiek z wyrazem rozrzewnienia w oczach hrabiance w oczy popatrzył i odrzekł:

— O, tak... Ale nie godzi się nam, wzorem mężów i niewiast biblijnych, w płacz uderzać i lutniom smutki nasze powierzać...

Panna Tekla westchnęła.

— Masz pani ochotę i czas do odbycia ze mną przechadzki niedalekiej?... — zapytał.

— O!... — zaczęła tonem uradowania, które wnet powściągnęła, i spokojniej dodała: — jeżeli to niedaleko...

— Kwadrans drogi pieszej...

— Kwadrans... dobrze... Ale... — przypomniała sobie nagle — mama dziś przyjeżdża... Papa po mamę pojechał...

— Graf nie może być przed trzema godzinami z powrotem...

— Mamy więc czas?... — zapytała.

— Do zbytku...

Przyszła pannie Tekli na myśl zamierzona dla hrabiny owacja, ale się z tym odezwać nie śmiała.

Poszli. Pan Piotr wyprowadził towarzyszkę swoją na jedną z drożyn międzypolowych i zwrócił się wprost do jednej z chat, zbudowanych oddzielnie a wchodzących do składu gminy śródborskiej. Przejście wśród pól nie zabrało czasu więcej aniżeli kwadrans. Przechadzka skończyła się na podwórzu, którego pozór znamionował byt dobry gospodarza.

— To jeden z tych — rzekł pan Piotr — co się do Ameryki wybierają...

— O?... — odezwała się ze zdziwieniem — bednarz?...

Było, w rzeczy samej, dziwić się czego. Chałupa wyglądała dobrze, zabudowania gospodarskie znajdowały się w komplecie, na płocie suszyła się bielizna w ilości znacznej, po podwórku przechadzały się kury, z karmnika odzywał się wieprz, pod szopą w głębi widać było człowieka zajętego wyginaniem obręczy.

Gospodarz gości ujrzawszy robotę zawiesił i kroków kilka ku nim postąpił.

— Niech będzie pochwalony... — zaczepił go pan Piotr.

— Na wieki wieków... — odpowiedział.

— Zaszliśmy do was w odwiedziny...

— Dziękuję i do chałupy proszę...

— Ale bo my zamiaru nie mamy przeszkadzać wam... Róbcie swoje, około was usiądziem i za chwilkę was pożegnamy...

Bednarz ceremonie robił, lecz pan Piotr na swoim postawił, pannie Tekli miejsce na koziołku bednarskim wskazał, sam na pieńku usiadł i gdy gospodarz do czynności przerwanej powrócił, tak do niego przemówił:

— Przychodzimy po to, ażeby z wami o zamierzonej przez was wędrówce za morze pomówić...

— Ano... Cóż by tam o tym do mówienia było?...

— Co was do tego zmusza?...

Chłop się palcami w łeb podrapał i z ukosa na hrabiankę spojrzał.

— Mówcie otwarcie... Może się nam uda wyperswadować wam...

— Hm?... — mruknął. — Człek się ogląda za tym, ażeby mu lepiej było...

— Czy to wam w Śródborzu źle?...

— Źle?... ot... W Ameryce lepiej...

Tu wymienił nazwisk kilka włościan, którzy za oceanem do majątków doszli i po zabraniu rodzin do kraju przyjeżdżali. Jeden miał dolarów tysięcy trzy, drugi pięć, trzeci ośm.

— To tak was dolary łakomią!... — odezwał się pan Piotr.

— Łakomią?... — mruknął wieśniak pod nosem, tonem takim, jakby wyraz ten przykrość mu sprawił.

— Nie mając dolarów tysięcy tyle, gdy się ma pieniądze na chleb, na naukę dzieci i na zostawienie im czegoś po sobie, toć milej w kraju własnym...

— Zapewne... — odrzekł — byłoby milej, gdyby ten kraj własny był doprawdy własnym...

— No?...

— A cóż!... Na chleb mam, Bogu Najwyższemu dzięki, mam i na naukę dzieci, ale nauka ta nastaje na to, ażeby dzieci moje nie moimi się stały, więc i chleb w gorycz mi się obraca... a przy tym: czy to o ziemię dba tu kto?... czy ziemi nie zabierają Niemcy?...

Chłop się rozgadał i tak dalej prawił:

— Jak zapamiętam, precz tu dookoła ciarachy byli nasi i Niemcy węszyli tylko z daleka wedle urzędu i sądu, więc mimo że i z naszymi nieraz do ładu trafić trudno było, zawszeć jednak trafiło się... Człek się pokłócił i pogodził... Teraz zaś z niemową mowy nie ma: ty do niego po ludzku, on do ciebie po niemiecku... Cóż?.... oto dziecko moje, ażeby się ostać mogło, zniemczyć się chyba i pamięci rodzicielskiej wyrzec musi... Kiedy człowiek to widzi i tego się spodziewa, to mu wszystko, panie, obrzyda...

— A tamże, myślicie, będzie inaczej?

— Tam?... Ludzie, co stamtąd przybyli, powiadają, że tam człowiekowi grozi jedno tylko: śmierć z głodu, a od niej jest ratunek gotowy i niezawodny w pracy... Tak ludzie powiadają...

I znów po imieniu świadków wymienił. A byli to świadkowie wiarogodni, albowiem przywieźli dolary.

— Zdaje mi się jednak — zaczął pan Piotr — że się namyślicie, zanim postanowienie weźmiecie...

— Myślę ja i tak, i inak, a zawsze mi wypada jednako... Co bym miał się dostać pod barona z Klatek, to wolę być sobie sam panem... Z baronem tym ludziom ciężko... oh!... — stęknął.

Rozmowa zakończyła się niebawem. Pan Piotr pamiętał o tym, że przeciągać jej nie można. Pożegnał więc bednarza i kiedy obok panny Tekli szedł z powrotem, zaczepił ją zapytaniem:

— Cóż pani mówi o tym?...

— Ach!... — ramionami wzruszyła.

— Przykład... przykład wiele tu znaczy... Przechodzenie majątków wielkich polskich w ręce niemieckie... Przyczyna wywołała następstwo...

— Gdyby przyczynę usunąć, czyby następstwo przez to upadło?...

— Niezawodnie... Mocno o tym przekonany jestem...

Po odpowiedzi tej nastąpiło milczenie. Panna Tekla część drogi uszła w zadumie, wreszcie zwróciła się do towarzysza z zapytaniem:

— Czy ja bym się do usunięcia przyczyny przydać mogła?...

Zapytanie to zaambarasowało nieco młodego człowieka.

— Hm?... — pomyślał. — To zależy...

— Od czego?...

— Trochę od warunków, w większej atoli części od dobrej woli i wytrwałości...

— Na woli mi nie brak; na wytrwałość, zdaje mi się, zdobyć bym się potrafiła...

— A na odwagę?... — zapytał.

— O! i na odwagę... — odrzekła, a policzki jej lekko spłonęły. — Czyż nie jestem wnuczką, prawnuczką rycerzy, którym na zalecie tej nie zbywało?... O! odwagę bym w sobie znalazła...

Zdawała się być obrażoną. Zamilkła. Droga prowadziła mimo parku; lecz i przez park przejście krótsze nawet było. Panna Tekla zwróciła się ku temu ostatniemu, weszła w jaworami wysadzoną aleję i uszedłszy takową kroków kilkadziesiąt, odezwała się niespodziewanie:

— Czybyś się zdobył pan?...

— Na co?... — zapytał młody człowiek.

— Na odwagę?...

— W jakim względzie?...

— Do zespolenia się ze mną w... usuwaniu przyczyn?...

Stanęła. Przybrała postawę, która ją podobną czyniła do jednego ze stworzonych przez Greków starożytnych ideałów piękna nadziemskiego, ubranego w postać mieszkanek Olimpu. Biły od niej powaga i determinacja, które się malowały w jej oczach surowo patrzących i na jej czole ściągniętym jakby w gniewie. Zwróciła się do młodego człowieka i na odpowiedź czekała.

Pan Piotr cofnął się o krok w tył, okiem ją od góry do dołu zmierzył, pięści zacisnął, głowę schylił i podnosząc ją po chwili, głosem przytłumionym, jakby sam sobie gwałt zadawał, zawołał:

— Pani! nie wyzywaj mnie do powiedzenia ci...

— Czego?... — zapytała spokojnie, jak sędzia delikwenta pyta.

— Że... kocham ciebie...

Panna Tekla rękę wyciągnęła. Pan Piotr pochwycił ją, do ust przycisnął i na kolano jedno przykląkł.

— Stało się... — rzekł wstając i zawołał: — Co ja temu winien!...

— Jam winna... — odparła. — Ale to nic... Widzisz, żem odważna?...

Oblicze jej jaśniało uciechą wewnętrzną, wielką, ale spokojną.

— Co to się stało?... — zapytał młody człowiek sam siebie.

— Stała się rzecz zwyczajna... Dwoje ludzi młodych spotkało się i pokochało... Niech to pana nie dziwi, panie Piotrze Ostróżko...

## XIX

Nie stało się, w rzeczy samej, nic nadzwyczajnego. Dwoje ludzi młodych pokochało się. Przytrafia się to tak często, że mówić by o czym nie było, gdyby nie okoliczności szczególne, wśród których się miłość ta zawiązała. A była ona ze strony pana Piotra trochę studencka — studencka w tym względzie, że przeminąć miała bez następstw. Takie pan Piotr wziął był przed się postanowienie. Postać hrabianki wpadła mu w oko od dawna, jak studentom wpadają w oko córki profesorów; podobała się mu, zajął się nią, stała się dla niego przedmiotem rojeń rozkosznych, którym się oddawał, gdy miał czas po temu. I miało to tak pozostać na zawsze. Najwyżej, czego pragnął, była pamiątka jakaś, którą chciał schować, ażeby służyła jako przedstawicielką rzeczowa wspomnienia na wskroś idealnego, które samo przez się było rodzajem wyjątku od ogólnej w przekonaniach reguły. Pozwolił sobie na wyjątek ów i chciał takowy zachować dla siebie samego, jak skąpy lichwiarz chowa brylant nie zastawiony u niego, ale znaleziony na drodze i tym też droższy. Nie pragnął, nie pożądał niczego innego i niczego więcej. Ani marzył, żeby z nią mówić miał kiedy. Przedstawiała się mu ona dwojako: raz jako istota eteryczna, nieujęta i niedostępna, wcielenie tej

poetyczności, której zaczyn spoczywa w duszy realisty najzawziętszego i najbardziej przekonanego, po wtóre, jako osobistość nieujęta i niedostępna z powodu przedziału pomiędzy nią a nim, wyrytego przez uprzedzenia społeczno-towarzyskie, na przekroczenie którego nie dozwalała miłość jego własna. Zbliżać się do niej — nie chciał. Pozostawiał ją dla siebie w sferach powietrznych — w oddaleniu, na kształt gwiazdy na lazurze, wybranej wśród gwiazd milionów na to, ażeby się zachwycać, przyrównywując do niej gwiazdy wszystkie inne. W sposób ten wyznaczył rolę, jaką w życiu jego odgrywać miała ona, o której powiedzieć chciał: „Ja... przebiegłszy świat, kochałem jedną“ i chodzić z nią, „jak dwie mary dziwne, jedna z marmuru a druga z kamienia“.

Chcenie to złamało się.

Wprawiło go to w gniew srogi przeciwko samemu sobie. Czuł się upokorzonym przez „jedno dziewczę“ — i tak silnie słabą ręką ujętym, że wola jego, którą miał za potęgę, stopniała jak śnieg na słońcu.

Nastąpiło wyznanie miłości nagle i niespodzianie. On o tym nie myślał; ona się tego nie spodziewała. Przyszło to samo przez się. Stało się.

W razach takich o żadnych postanowieniach, projektach i planach mowy być nie może. Upojenie przeszkadza rozmyślaniu; rozwaga w dalekie wynosi się strony. Pozostaje upojenie.

Szczęściem dla młodej pary, rzecz stała się w jasny dzień, przy świetle słonecznym, w warunkach nie podniecających romantyczności, odbyła się więc bez żadnych dodatków, w razach podobnych zwyczajnych. Wyznali sobie miłość w alei; zatrzymali się na tak długo, ile było potrzeba na zamienienie wyrazów kilku; następnie mówiąc szli dalej; że zaś aleja do pałacu prowadziła, więc do schodów na balkon prowadzących zaszli i byliby zapewne po parku

dłużej krążyli, gdyby nie pan Maurycy. Gdy hrabianka brata ujrzała, doznała czegoś na kształt zatrwożenia. Wrażenie to przeszło wnet.

— Do widzenia... — rzekła do pana Piotra.

— Do widzenia... — odpowiedział tenże.

Rozstali się bez oznaczenia pory i miejsca spotkania późniejszego. Na myśl im to nie przyszło. Pan Piotr zwrócił się na drogę, co pałac obchodziła, panna Tekla weszła powoli na schody.

— To dozorca robót był z tobą?... — zapytał jej pan Maurycy.

— Pan Ostróżko... — odpowiedziała.

— Szukałem ciebie...

— A?... — odezwała się tonem, w którym brzmiało zapytanie: „W jakim celu?“

— Mama przyjeżdża...

— Prawda!... — wydała okrzyk.

— Czyś o tym zapomniała?...

Wyrazy te zmieszały pannę Teklę.

— Zdaje się, jakbyś była w roztargnieniu...

— Tak... w rzeczy samej... — zaczęła.

— Myślałem, że zajmujesz się przygotowaniem dla mamy przyjęcia.

— Miałam zamiar ten, ale...

— Zapewnieś robotników u dozorcy zamówiła...

— Nie...

— A więc wystąpi jeno służba: Bartek, Maciej, Józef, z którymi mówiłem... Za mało ich... trzech tylko... I cóż?... czyż pan Ostróżko odmówił?...

— Nie prosiłam go wcale...

— Nie prosiłaś?... — rzekł ze zdumieniem. — Cóżeś z nim do mówienia miała?...

— Mówiliśmy... o ruinie gniazd...

— Bocianach?... — podchwycił pan Maurycy z przekąsem żartobliwym. — Zdaje się, Luciu, że twoi na suchym drzewie wychowańcy zajechali ci furą siana do głowy...

— Tak się tobie zdaje... — odparła spokojnie.

Pan Maurycy, który pragnął matkę ująć dla siebie, nie kontent był z obrotu, jaki wzięła sprawa przyjęcia hrabiny. Ponieważ jednak zaradzić temu sposobu nie było, dał więc rekryminacjom niepotrzebnym pokój.

Zaradzić temu sposobu nie było dla braku czasu. Zaledwie panna Tekla wyrazy powyżej przytoczone wygłosiła, aliści na drodze ukazał się pojazd, wiozący grafa, hrabinę i pakunki. Trzeba było spieszyć na ganek, na którym, oprócz hrabiego młodego i hrabianki, zebrało się głów siedem. Nie było to zbyt suto — cóż jednak!... Pojazd przed ganek zajechał — hrabina wysiadła.

Hrabina przedstawiała się pod postacią kobiety nadającej się na model do posągu symbolicznego. Niemłoda — piękniejszą być nie mogła w dniach młodości: słuszna, kształtnie i silnie zbudowana, rysów oblicza regularnych, oczów pogodnych, wejrzenia, w którym się wyższa jakowaś mądrość przebijała, postawy pełnej powagi, odpowiadała wszystkim warunkom artystycznym. Biło od niej coś starożytnego. Patrząc na nią myślało się o Fidiaszu i o tym, że pierś jej na jego szła miarę. Przed nią się czoła mimowolnie chyliły.

Wysiadła — panna Tekla do matki się pogarnęła.

— Jak się masz, Luciu... — odezwała się hrabina tonem bardzo uprzejmym, w którym atoli serdeczność czuć się przez przypuszczenie jeno dawała.

W tenże sam sposób powitała syna, z lekka głową służbie kiwnęła i przez męża poprzedzana do salonu weszła. Ruchy jej i gesty nie świadczyły, ażeby ją obchodzić zby-

tecznie miały ten pałac, te pokoje i ta różnica, jaka pomiędzy budowlą a umeblowaniem wewnętrznym zachodziła.

— A co?... — pytał graf.

— Podróż mnie znużyła...

— Odpoczywajże... odpocznij, a wówczas powiesz, jakie to wszystko — oczami na ściany wskazał — na tobie wrażenie sprawia...

Hrabina oczy przymrużyła i z uśmiechem na ustach głową z lekka pokiwała. Usiadła i po chwili milczenia odezwała się:

— Masiu, Lusiu... jakże mi miło, że was oglądam!...

Głos, którym wyrazy te wymówiła, nie był drewniany, a przecie dźwięczał niby w próżni.

— Mamo kochana... — odpowiedziała panna Tekla.

— Wyjechałaś, jak się fundamenty pod pałac kopać poczynały... — dorzucił graf.

— Nie widzieliśmy się tak dawno... rok z górą...

— Zmężniałaś, winszuję ci... — rzekła hrabina do córki. — Wywarłabyś wrażenie... w świecie... A i ty — zwróciła się do syna — zyskałeś wiele...

Słowa te były niejako tematem, który, poruszony przy spotkaniu pierwszym, rozwijał się następnie i uwyraźniał. Hrabina w dniu przyjazdu mówiła mało, poszła do łóżka wcześnie i nazajutrz wstała późno. Około dziesiątej graf ją po pałacu oprowadzał. Okazywała zadowolnienie.

— Dobrze... — powtarzała. — To mi się podoba...

— Nie powiesz przynajmniej, że mi gustu brak — chwalił się graf.

Do rodziców przyłączyli się młody hrabia i panna Tekla.

W jednym z pustych salonów pan Maurycy odezwał się:

— Wszystko tu jest, z wyjątkiem... mebli...

— Które będą... — odparł graf.

— Kiedy?...

— Jak Francuzi Prusaków potłuką...

— Ach, papo... — westchnął młody człowiek.

— Czy wątpisz jeszcze?... — zapytał graf z przekąsem i do żony się zwracając rzekł: — Powiedz Tomaszowi temu, coś słyszała i widziała...

— Wojna niezawodna...

— Ależ — podchwycił młody człowiek — temu ja nie przeczę... Wojna pewną się być zdaje... Ale: jaki obrót weźmie?... to raz, a po wtóre: w najpomyślniejszym dla Francuzów razie, jaka z niej dla nas korzyść wyniknie?...

— Dla nas?... dla kogo mianowicie, czy w ogóle?... — zapytał graf.

— Nie w ogóle, papo kochany... Mam na myśli nas, Grackich...

— Hm?... — uśmiechnął się graf w wąsy i tak wykładać począł: — Mogę wam już plan mój w całości wykazać... Oto tak... Dzwoniłem ja na to nabożeństwo od chwili, jak Napoleonik władzę w ręce swoje dostał, wiedząc z góry, że prezydentura na cesarstwie się skończy i że cesarstwo o odwecie za Waterloo pomyśli... Ho, ho!... żadne l'empire c'est la paix i inne w tym guście żarty w pole mnie nie wywiodły... Byłem swego pewny: matka pilnowała sprawy za granicą, a ja tu, na gruncie, szykowałem się do spotkania, jak należy, wypadku niechybnego... Przewidywania mnie nie zawiodły... Wojna!... Wojska francuskie pomaszerują do Berlina wprost i do nas dojdą, a wówczas... co? hę?... Jak myślicie: kogo Napoleon zamianuje gouverneur général Wielkiego Księstwa Poznańskiego?... Co?... kogo?... Jak myślicie?... Jam na nabożeństwo to od dawna dzwonił... i postawiłem pałac w tym celu, ażeby na wielkorządztwo przejść nie spod strzechy słomianej, ale z domu pokaźnego... Oto tak... Nazywano mnie narwańcem: narwaniec milczał, swoje robił i zrobił;

pałac postawił i wojnę wydzwonił... W pałacu tym — wyrazy te z przyciskiem wymówił — dam dla cesarza Francuzów bal... O!...

Wyrazów tych hrabina wysłuchała z uśmiechem, hrabianka z zajęciem żywym; na panu Maurycym zrobiły one wrażenie przygnębiające prawie. Podniósł oczy na matkę, ażeby w oczach matki otuchę dla siebie wyczytać, i nie wyczytał takowej. Zdawało się, że hrabina uznaje wykład męża, wykład, wobec którego nie było co występować z widokami, jakie się przywiązywały do pojęcia za towarzyszkę dozgonną ekshandlarki pierników. Miliony Chany na wartości traciły. Wielkorządztwo spodziewane usuwało je w cień, pozbawiało ich doniosłości i znaczenia. Jedynym w tym razie ratunkiem było podanie nadziei tej w wątpliwość. Pan Maurycy przeto odezwał się:

— Papo kochany: czy to pewne?

— Kiedym ludziom w uszy kładł, że do wojny pomiędzy Prusami a Francją przyjdzie, powiadali: czy to pewne?...

— Tak... zapewne... ale...

— Nie ma ale... — przerwał graf. — Jak się sprawdziło jedno, tak sprawdzić się musi drugie...

— A... czy nie może to papy ktoś, jakiś Działyński, jakiś Mielżyński ubiec?...

— Zagwarantowałem się przeciwko ewentualności podobnej... Matka... o...

Na hrabinę wskazał.

— Czy to — ciągnął dalej — ona za granicą przesiadywała dla prostej, własnej przyjemności?... dla teatrów, koncertów, figurowania po salonach, gapienia się po ulicach Paryża?... Czym to ja na próżno, bez celu z ostatków się ciągnął? Zabezpieczyłem się nie dla siebie, Bóg widzi... nie dla siebie, ale pro bono publico przede wszystkim... Rozważyłem, rozmyśliłem, wszystkom ułożył, wszystko

przewidziałem... krótko, ale wyraźnie, tak wyraźnie, że jak skoro wojska francuskie do Berlina wkroczą, natychmiast cesarz zapyta: „A gdzie hrabia Gracki?...“

Hrabina słowom powyższym potakiwała gestem i uśmiechem. Niedowierzający pan Maurycy uwierzył przez pół, to jest przypuścił, że to, na co ojciec liczy, stać się może, albowiem niepodobieństwo nie nastręczało się żadne. Byłoż to niepodobieństwem, że Francuzi Prusaków pobiją? W momencie owym nikt nie przypuszczał, ażeby inaczej być miało, zwłaszcza że wiele nadziei różnorodnych wiązało się do tej wojny „cesarzowej Eugenii“. Dla Stolicy Apostolskiej była to walka katolicyzmu z protestantyzmem, dla Austrii odwet za Sadowę, dla Rzeszy Niemieckiej okiełznanie Prus, dla świata słowiańskiego ukrócenie drangów germańskich, dla grafa Grackiego wybrnięcie z toni. Nadzieje — nie dziw — przedstawiały się różowo i liczyły na powodzenie oręża francuskiego. Pan Maurycy przyjmował punkt ten wychodni jako więcej aniżeli prawdopodobny i miał do przeciwstawienia onemu tylko jedno: arcybiskupa gnieźnieńskiego, który zawzięcie germanizował seminaria. Arcybiskup, zdawało się, nie podzielał nadziei ogólnej. Młody hrabia wspominał o tym.

— Ach!... — rzucił się z indygnacją graf, który dla duchowieństwa w ogóle niechęć żywił. — Quem Juppiter perdere vult, dementiat... Jego eminencja wyniesie się w bagażach pruskich, jeżeli go przyjaciele nie zostawią losowi własnemu...

I ta obiekcja nie utrzymała się. Pan Maurycy gotów by był od widoków na miliony wbrew przysłowiu, że „lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu“, odstąpić, gdyby nie stojące mu żywo w pamięci i wdrożone w przekonanie perswazje księdza Jana, które go podtrzymywały. A przy tym zżył się już z myślą mezaliansu; oswoił się

z ideą bogactwa, które mu się oddawało samo niezwłocznie, pod postacią skarbu zaczarowanego; pragnął, ażeby czar pękł jak najrychlej, a idea owa rzeczywistością się stała. Zmilczał więc. W milczeniu towarzyszył dalej ojcu, matce i siostrze; razem do parku zeszli, po parku pochodzili i wobec drzewa z bocianami się zatrzymali.

— A... o... — odezwał się graf — dzieło Luci, która gniazdo bocianie uratowała...

— Nie ja... — odparła panna Tekla.

— No... ty... Gdyby bowiem nie ty...

— Nie... — broniła się.

— Przy pomocy... — zaczął graf.

— Pan Ostróżko zrobił wszystko... — przerwała.

— Cóż to za jeden?... — zapytała hrabina od niechcenia.

— Dozorca przy robotach... — rzucił graf tonem lekceważenia.

Panna Tekla nic nie odpowiedziała na to.

Zwiedzanie nie objęło stajni. Graf nie uważał za rzecz potrzebną prowadzić tam hrabiny. Z daleka jeszcze wskazał jej wznoszące się mury i tłumaczył:

— Będzie to skończone za dni kilka... Robotnicy się spieszą, z powodu że, powołani do wojska, chcą biedacy zarobić sobie jeszcze....

Panna Tekla okiem po dachu powiodła i zobaczyła pana Piotra, który na krokwi jak na koniu siedząc pokazywał, jak się mają dachówki przybijać. Zoczył go i pan Maurycy.

— O... — odezwał się do matki, palec w kierunku dachu wyciągając — ów pan Ostróżko, geolog, botanik, zoolog, doktor filozofii, jak się zdaje... wbija ćwieczki... Na to być warto doktorem filozofii...

— Uhm... — mruknęła hrabina.

Ktoś z sąsiedztwa w goście przyjechał. Towarzystwo przeniosło się do pokoju bawialnego. Zawiązała się rozmowa o wypadkach politycznych, które w czasie owym były przedmiotem zajęcia tak ogólnego, iż dwóch ludzi nie schodziło się w celu innym jak dla udzielania sobie wzajemnie wiadomości z Paryża i uwag, jakie takowe nasuwały. Przybycie z Paryża hrabiny potęgowało interes towarzystwa jej. Rozprawiano i do niej się odwoływano, chcąc się upewnić w tym, co powszechnie uważanym było za rzecz pewną. Opinia publiczna przypisywała Napoleonowi III genialność, którą on nie grzeszył ani trochę, i przewidywała następstwa genialności owej mniemanej odpowiednie. On biedak i sam w to mocno wierzył. Treść przeto ogólna rozmów o wypadkach nastąpić mających obracała się około tego: z jakim Francuzi Prusaków sosem zjedzą.

Powtarzało się to bez końca i miary.

Goście do Śródborza przyjeżdżali częściej niż zwykle i odjeżdżając unosili to przekonanie, że graf w rzeczy politycznej był jasnowidzem. Jak przepowiadał, tak wszystko się stało.

[U nas jest słabość do wierzenia w przepowiednie. Kabałki i prognostyki odegrywują niemało ważną w życiu naszym rolę.]

Z racji tej graf prędko urósł w opinii sąsiedztwa na męża stanu i Śródborze stało się punktem ogniskowym, w którym czerpano poglądy i hasła we względzie tego, co robić.

— Co robić?...

— A nic: czekać...

Graf tego nie wypowiadał, ale do zrozumienia dawał, że co do zrobienia było, to on zrobił już sam, bez pomocy ni porady niczyjej.

— Czekać... — powtarzał i zalecał.

 

Zalecanie to dogadzało wszystkim, z wyjątkiem pana Maurycego, który wiedzieć pragnął, czego się ma koniec końcem we względzie rodziców, co się Chany tyczy, trzymać. Czekanie było mu nie na rękę dlatego, że nie wiedział, azali to jej pogarnięcie się do niego nie było kaprysem, który przeminie. To ostatnie szczególnie go niepokoiło i pod wpływem niepokoju tego małżeństwo z Chaną nabierało w oczach jego uroku osobliwego. Dodać atoli potrzeba, że urok ów szedł nie od osoby, ale od przynależności jej. Osoba znikała w oddaleniu, a miejsce onej zajmowały kolumny talarów — tysiąc kolumn po tysiąc sztuk każda — jaśniejące w imaginacji młodego człowieka ponętami niezrównanymi. Ponęty podobne pokazywał Mefistofeles Faustowi. Dla pana Maurycego były one tak potężne, że zaćmiewały widoki, jakie mu w perspektywie niedalekiej wskazywał ojciec. Po zastanowieniu się widoki owe przedstawiały się mu pod postacią gruszek na wierzbie. Postanowił więc kwestię tę rozjaśnić sobie — i w tym celu, korzystając z pierwszej okazji, zaczepił matkę.

— Mamo — przemówił — czy mama wierzy doprawdy w to, co papa mówi?...

— A... tak... wierzę... — odrzekła z wahaniem niejakim.

— Czy nie jest to przypuszczenie?...

— Zapewne... jest to w części przypuszczenie...

— Więc się na tym zawieść można...

— Zapewne... można...

— Owóż, o co mi chodzi, mam bowiem do przedstawienia mamie coś mniej zawodnego...

— Pisałeś do mnie... — wtrąciła.

— Właśnie też... Liczę na interwencję łaskawą mamy kochanej w sprawie bardzo delikatnej... Chodzi tu o mezalians...

— A?... — uśmiechnęła się — jaki?...

— Jak się mama na mezalianse zapatruje?... — zapytał.

— To zależy... od warunków...

— Romansowych czy praktycznych...

— Hm?... — uśmiechnęła się. — Raczej drugich aniżeli pierwszych...

— Owoż te drugie przedstawiają się jak najświetniej...

— Parę kroć sto tysięcy talarów...

— Milion...

— A!... — odezwała się z gestem. — To co innego... Czy jednak milion ów jest rzeczą nie urojoną?...

— Jest rzeczywistością najrzeczywistszą...

— Więc gdy o mezalians milionowy chodzi, tyczy się on Żydówki chyba...

— Zgadła mama kochana...

Hrabina ramionami ścisnęła, na syna spojrzała i zrobiła gest oznaczający półaprobatę.

— Nie śmiem o tym papie oznajmić i chcę prosić mamy o pośrednictwo w tym względzie...

— Wszak rozporządzasz sobą... — zauważyła hrabina.

— Tak... — odparł. — Pragnąłbym tylko uniknąć gadania, które by mi położenie towarzyskie utrudniło... Nie odmówi mi mama pośrednictwa swego?...

— Nie wiem, o ile ci się ono przyda...

— Przyda się czy nie: to kwestia inna... Proszę tylko stanąć po stronie mojej...

— Dobrze... — odrzekła. — Udziel mi jednak szczegółów jakich, dotyczących się tej materii...

— Szczegóły wyrażają się krótko: Ona się we mnie rozmiłowała...

— Wygląda to romantycznie... Cóż to za jedna?...

— Żydówka...

— Présentable przynajmniej?...

 

— Du tout, mamo kochana... — odrzekł i dodał: — zwłaszcza, że ją talary podszywają... Mama kochana — zakonkludował — praktyczniejszą jest aniżeli papa...

Hrabina się uśmiechnęła.

— W rzeczy samej — rzekła — praktyczną jestem... Spodziewam się, że i ty praktycznie się urządzisz...

— Mamo!... — zawołał — urządzę się tak, że przede wszystkim każę sobie posag położyć na stole...

## XX

Co do praktyczności, panna Tekla ustępowała bratu. Podczas kiedy on o posagu myślał, ona usiłowała rozwiązać zadanie, które jej miłość do rozwiązania dała. Nie było to zadanie lada jakie, albowiem i miłość jej lada jaką nie była. Łączyły się w niej dwa pierwiastki: powszedni, ten, co urabia sympatię pomiędzy młodzieżą płci odmiennej, i wyższy jakiś, subtelniejszy, znaczący skojarzenie rozumu i uczucia za pomocą zrównoważenia tych dwóch władz i kierowania onych ku rozwiązywaniu problemów życiowych. Te ostatnie nasuwały jej do głowy jakby rodzaj warunku poręczającego jej przyszłość. Sprawiał to pan Piotr, który się hrabiance przedstawiał pod postacią wcielenia rozumu. Garnęła się do niego sercem całym; chroniła się myślą pod skrzydła, pod którymi przeczuwała pełnię bytu. Więc zadanie miała niełatwe, a tym trudniejsze, że rozwiązanie onego komplikowało się tym, że zależało nie od niej samej. Ba! — gdyby od niej zależało... Chodziło o wytknięcie celu i o wytyczenie drogi do takowego. Mogłaż zrobić to sama? W czynności tej przede wszystkim udział należał się panu Piotrowi, następnie rodzicom. Przede wszystkim jednak jemu.

Była sposobność porozumienia się z nim pod tym względem i sposobność ta, niestety, przeminęła bez porozumie-

nia — czy bezpowrotnie? Zapytania tego hrabianka nie zadawała sobie, a jednakże stanowiło ono oś, około której krążyło rozmyślanie jej, układające się w rodzaj obrony adwokackiej wobec zarzutów możliwych, które przewidywała ze strony nie tylko rodziny własnej, ale wszystkich. Któż by się na to nie oburzył! Przy tym i okoliczności jej nie sprzyjały. Widoki, jakie się dla grafa otwierały, a które ona na serio brała i życzeniem popierała, stawały w poprzek uczuciu, które ją opanowało. Ani o nim przeto wspominać mogła, nie dlatego, ażeby się obawiać miała czegoś podobnego jak zakaz, ale dlatego, że się lękała usłyszenia niekorzystnych lub ubliżających o panu Piotrze sądów. Obawa ta jej była naturalną. Obawy tego rodzaju doznają matki, gdy o synach ich mowa. Broniłaby w razie takim, ale nie dowierzała sobie, azaliby bronić, jak należy, zdołała. Wolała więc czekać, aż się zdarzy okazja, która zadanie ku rozwiązaniu poprowadzi.

Okazja nie była na zawołanie — sama zaś nie nastręczała się; przeciwnie: okoliczności, zdawało się, jakby się sprzysięgały na to, ażeby zadania do rozwiązania nie dopuszczać.

Wśród okoliczności tych wystąpiła przede wszystkim sprawa matrymonialna pana Maurycego.

Pan Maurycy listy otrzymywał i na takowe odpisywał. Domyślać się można, że korespondencja ta tyczyła się sprawy onej, która w Śródborzu, przez to samo, że mówił o niej z siostrą i matką, uważana być mogła jako przez pół na stół wytoczona. Panna Tekla o niej coś niecoś wiedziała; hrabina wiedziała więcej; pozostawało tylko hrabiego zawiadomić i targu dobić.

Nie była to rzecz łatwa. Młody hrabia rozumiał to i dlatego ociągał się; otrzymawszy jednak list ostatni doznał tego, czego doznaje koń dotknięty mocno ostrogą jeźdźca.

Przeczytał, namarszczył się, przez nos razy kilka z przyciskiem czmychnął i do matki się udał.

— Mamo droga, nie zwlekajmy...

— Tak ci pilno?... — zapytała hrabina.

— Mam współzawodników niebezpiecznych... W razie ostatecznym pojadę i tę papie siurpryzę zrobię, że mu przywiozę synowę... A tak bym chciał, żeby się to za jego wiedzą i (wyraz następny z akcentem wymówił) zezwoleniem odbyło!... Mamo, do ataku idę, podtrzymywać mnie proszę...

Od matki udał się do siostry.

— Lusiu, nadchodzi dla mnie moment wyroczny... Chodzi mi o wyjednanie zezwolenia papy na... mezalians...

— Mezalians?... — wyrzekła hrabianka ze zdziwieniem. — Niceś mi nie mówił o tym...

— Czy cię to razi...

— Nie... bynajmniej... — odpowiedziała powoli, myśląc o mezaliansie, który się jej tyczył.

— Przyrzekłaś po mojej stać stronie...

— I przyrzeczenia dotrzymam...

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się bez skruchy. — Chodźmy tedy...

Ramię siostrze podał i poszli oboje przez szereg pustych pokojów na dół do grafa, u którego ich hrabina wyprzedziła.

Graf dwa dzienniki razem czytał sprawdzając wiadomości i wykładał właśnie hrabinie kruczki, za pomocą których Napoleon Prusaków w pole wywabia. Tłumaczył jej, jak to „sztuką durniów tłuką".

— Nie wykręcą się już, nie wykręcą, ani sianem nawet... — mówił. — Bismarck by sobie ucho urznąć dał, ażeby wojny uniknąć, ale... niedoczekanie jego... Ten Napoleon Mały większym się okazuje aniżeli Wielki... W cichości przygotował się i naostrzył: ani jednego guzika

u kamaszów im nie brak... o! czytałaś?... Ani jednego guzika!... Gidulciu!... Otóż Prusiętom lanie sprawią!... Cha, cha, cha!... — śmiał się. — Powinszować sobie możemy, że w sprawie tej nasz palec jest...

W chwili tej weszli pan Maurycy i panna Tekla. Graf powtórzył im słowami innymi wiadomość o gotowości Francuzów, opierając nacisk na guziku.

— Ani jednego guzika!... A mitraliezy?... L'empire c'est la paix... Nie ma co mówić, to majster ten Napoleonik: ...powyciągał im muchy z nosa... No...

— A tymczasem, papo kochany... — zaczął pan Maurycy.

— Co?...

— Warto by może zająć się bliżej nas dotyczącymi sprawami...

— Bliżej dotyczącymi? — zawołał graf tonem indygnacji.

— Odnoszącymi się do nas bardziej bezpośrednio... — poprawił się pan Maurycy.

— Ciekawym, co do nas bardziej bezpośrednio odnosić się może jak czekające Prusaków kropienie...

— Toć kropienie to spadnie na Prusaków...

— Ano...

— Nie na nas...

— Jużci nie... Obchodzi nas jednak...

— Przypuszcza papa atoli sprawy osobiste obchodzące nas i blisko, i bezpośrednio, i w dodatku w sposób naglący...

— Sprawy osobiste... hm?... tak... — odpowiedział graf. — I jakież to na przykład?..

— Chociażby takie bagatelne jak ożenienie papinego syna...

— Wszak wzmiankowałeś, żeś z Misią zerwał dla jakiejś tam gotówki...

— Wzmiankowałem i obecnie wzmiankę ową stawiam pod postacią postulatu, dla którego potrzebnym jest konsens ze strony kochanego papy...

— Cóż ci tam po konsensie moim!... Pełnoletni jesteś: chcesz się ożenić, to się żeń...

— Ba!... — odrzekł pan Maurycy. — Zachodzi tu pewna okoliczność drażliwa, której złagodzenie od papy zależy...

— Na przykład?... — zapytał graf.

— Mezalians...

Graf na syna badawczym spojrzał okiem, wzrok na nim na chwilę zatrzymał, chwilkę milczał i tak zaczął:

— Myślałbym, iż wobec ważnych, jakie się przygotowują, wypadków, wobec tego, co mnie czeka, można by tego rodzaju sprawy odłożyć na później... Nie stracisz na tym ty, nie straci wybrana twoja, zwłaszcza że jakeś wspominał, jest coś pieniężnego i jak się domyślam, pieniężność nęci ciebie... Pieniężność, mój Masiu, schodzi dla nas obecnie na plan drugi... Niebawem będziesz miał pieniężne panny do wyboru, bez narażania się na mezalians... Moja więc rada: poczekaj... poczekaj...

— Papo! książęca fortuna...

— Powiadam ci, że fortuny będziesz miał do wyboru...

— Kto wie...

— Ja ci mówię... Nie wierzysz mi?...

— Wierzę, papo... — odrzekł pan Maurycy tonem zakłopotania — ale...

— Jeżeli Masio pokochał... — wtrąciła panna Tekla.

— Pokochał... hm?...

Wymówił graf wyrazy te tonem takim, że się pan Maurycy uśmiechnął, a hrabina ramionami wzruszyła.

— Jeżeli pokochał, to... co innego...

— Nie o to chodzi... — zaczęła hrabina — ale o to, że interesa nasze znajdują się w stanie nieświetnym...

— Stan ten zmieni się... — graf na to.

— Niezawodnie, przewidywać jednak należy moment przednówku... przednówku trudnego...

— Któremu bym z ochotą zaradził... — podchwycił pan Maurycy.

Na słowa te graf rękę z akcentem protestującym podniósł i głosem pewnym odrzekł:

— Radź ty sobie... Nie liczyłem i nie liczę na łaskę waszą... Jeszcze... hm... — chrząknął.

— Przeciągają, dajmy na to, traktem mimo Śródborza — zaczęła hrabina — wojska francuskie, zatrzymują się i marszałek dowodzący nimi zajeżdża do pałacu naszego: co on powie, gdy w większej połowie pokojów pustki znajdzie?... Co my na ugoszczenie starszyzny i żołnierstwa przygotowanego mamy?...

Graf odsapnął, brwi zmarszczył, wąsy rozgładził, westchnął i do syna się zwracając zapytał:

— Więc jakże, panie Maurycy?... żenimy się?...

— Zdaje się, że nic lepszego zrobić nie możemy...

— A z kim, jeżeli zapytać wolno?...

— Mezalians...

— Byle nie z Żydówką...

— Właśnie że... — odparł pan Maurycy ramiona podnosząc.

— Z Żydówką?... — zapytał graf z przyciskiem.

— Z Żydówką, papo...

Graf się zerwał i po pokoju chodzić począł. Chodził, przed oknem się od czasu do czasu zatrzymywał, znów chodził i milczał. Widać po nim było, że go to mocno zraniło. Kipiał w duszy. Powściągał się. Wybuchnął wreszcie.

— Co!... — krzyknął. — Nie!... to być nie może... Urządzaj się, jak ci się podoba: ja o tym wiedzieć nie chcę... Ja!...

We drzwi się rzucił — wyszedł.

Hrabina, pan Maurycy i panna Tekla po sobie spojrzeli. Hrabina ramionami wzruszyła. Graf z powrotem wpadł.

— Nie!... — zawołał. — Nie pozwalam!... Błogosławieństwa mego nie udzielę!... Przeszkadzać będę!... Wydziedziczę, wyklnę!

— Sztofeczku!... — odezwała się hrabina.

— Hm — hum!... — chrząknął groźnie. — Do skandalu podobnego dopuścić nie mogę...

— Sztofeczku...

— To przechodzi wszystko...

— Sztofeczku...

— Powiadam ci — do pana Maurycego się zwrócił — poczekaj trochę... poczekaj: co ciebie nagli?...

— To papo, że mi milionerkę sprzed nosa zdmuchną...

— Znajdziesz inną... bogatszą...

— Bogatszej chyba nie znajdę... Kto w czasach naszych daje córkom posagu milion czterykroć sto tysięcy talarów?... Książęta nawet panujący nie mogą pozwalać sobie na hojność taką... To fenomen...

— Fenomen!... — podchwycił graf z gniewem, łagodniejszym atoli aniżeli poprzednio. — To fenomen, od którego ja ręce umywam...

— Fenomen ów czy nastąpi, czy nie, to zależy; w każdym razie jest to rzecz niepewna... — wtrąciła hrabina tonem insynuacji. — Pewnym jest tylko, pewniejszym aniżeli wszystko inne, majątek znaczny...

— I za który — graf na to — ludzie nas będą palcami wytykali...

— Niekoniecznie, papo kochany... Wskażę papie ludzi, ludzi bardzo poważnych, co nie tylko aprobują, ale poniekąd interes ten sprowadzili...

— Na przykład?... — zapytał graf.

— Ksiądz Zmianko...

— A!... — krzyknął. — Klerykali, ultramontanie, jezuici!... Domyślałem się w tym palca ich... Oho!... Ahm!... Domyślałem się tego... Ano... — westchnął. — Gdzie się obrócisz, wszędzie oni: kroku bez nich zrobić niesposób... Za gardło nas trzymają... Przyczyna wszystkiego złego, wszystkich nieszczęść, jakie na nas spadły, w nich...

— Gdyby nie oni — wsunęła hrabina — nie byłoby tej wojny, co, Sztofeczku, tak cieszy ciebie.

Graf zamilkł, usta zacisnął i w żonę się wpatrzył. Hrabina mówiła cedząc wyrazy:

— Oni na cesarzową wpłynęli, a cesarzowa wpłynęła na cesarza... Gdyby nie oni przeto... nic by z tego nie było...

— Ach!.... — machnął graf ręką. — Oni, powiadasz?...

— Oni...

Zastanowiło go to.

— Oni?... — zapytał.

— Oni...

— A czemuż Ledóchowski Niemcom baki świeci?...

— Dla uwikłania ich...

Oczy szeroko otworzył i w hrabinę się wpatrzył.

— A więc, papo kochany?... — zapytał pan Maurycy.

— Co?...

— Mam za sobą mamę i Lusię, mam księdza Jana; śmiem więc spodziewać się, że papa nie odmówi aprobaty swojej...

— Cóż robić!... — odrzekł, ręce rozkładając. — Ha!... Jeżeli, w rzeczy samej, klerykalizm tę wojnę wykrzesał, w razie takim, hm?... Cóż robić!... — powtórzył, brwi zmarszczył i dłonie zatarł. — Bądźmy chyba klerykałami i my, do czasu przynajmniej... Tylko mi arcybiskup zawadza, że Niemcom basuje...

— Toć to dlatego, ażeby ich wyprowadzić w pole...

— Może... Dyplomacja... Ja się tam na tym nie znam; ty, Gidulciu, cóż ty mówisz na to?...

Hrabina uśmiechem podkreśliła odpowiedź niemą. która tym była dyplomatyczniejszą, że dawała się tłumaczyć zarówno przez „tak“ i przez „nie“.

— Więc ja — zaczął Maurycy — przyzwoleniem papy drogiego silny, sprawę moją ku rozstrzygnięciu poruszę...

— Rób, co chcesz... — rzekł graf niecierpliwie trochę. Mezalians mu nie dogadzał i przypuszczać należy, iżby przyzwolenia na takowy był nie udzielił, gdyby nie zainterweniowanie hrabiny z oną o wpływie klerykalizmu na wojnę wiadomością. Na grafa wiadomość ta silne wywarła wrażenie. Klerykalizm, który on postponował, przydał się. Wbiło mu to klina w głowę. Graf, pospolitym polityków naszych domorosłych wzorem, sprawy prywatne z publicznymi łączył. Ponieważ przeto klerykalizm tak przezeń pożądaną wojnę sprowadził, a zatem czuł się w obowiązku odwzajemnić się mu i ustępstwo uczynić w popieranej przez księdza Zmianko sprawie syna. Wysnuwało się to jedno z drugiego i wplotło w wypadki, które jedne po drugich szybko następowały.

Wiadomości o wypadkach prześcigały się. Dzień każdy przynosił coś nowego, a nowość każda wprawiała grafa w zachwyt, każda bowiem popierała widoki jego i utwierdzała go w tym mniemaniu, że na kazanie to dzwonił.

— Z górym obrachował — słowa jego — każdy zwrot, tempo każde... Raz, dwa!... raz, dwa!... Lewa, prawa, lewa, prawa!... Maszerują...

Wymaszerowali przede wszystkim robotnicy, co stajnię kończyli. Biedacy — we dnie i w nocy pracowali. Pan Piotr ich nie odstępował — ułatwiał im, pomagał i tak rzeczy pokierował, że powołani do szeregów nie stracili z zarobku swego feniga jednego. Na dwadzieścia cztery

godziny przed terminem, w którym się na punkt zborny stawić byli powinni, robotę ukończyli całkowicie. Graf o tym urzędowo otrzymał zawiadomienie od architekta, który umyślnie do Śródborza zjechał, w celu oddania właścicielowi budowli. Oddanie odbyło się z ceremonią odpowiednią. Robotnikom sprawiono ucztę; architekt i dozorca dostali zaproszenie do pałacu na obiad, na którym towarzystwo powiększyło sąsiadów kilku.

Zbytecznym byłoby opisywanie obiadu, zwłaszcza że się takowy do opisu nie nadawał. Brakło mu, niestety, wiele pod względem każdym. W zastawie, szacowanej jako zabytek tych czasów, kiedy Graccy zasiadali w krzesłach senatorskich, postrzegać się dawały szczerby znaczne; potrawy przyrządzał kucharz nietęgi; wino nie lało się strumieniami. Osobliwość obiadu tego na tym polegała, że pan Piotr po raz pierwszy przy stole grafskim miejsce zajmował. Siedział na szarym końcu i nie widać po nim było, ażeby zwracał uwagę na rozmowę, jaka się toczyła, a która nie odstępowała od materii zajmującej wszystkich żywo. Szeroko rozprawiano; on milczał i nie odezwał się, aż gdy wprost zainterpelowany został. Interpelacja nastąpiła z powodu, że ktoś z obecnych z utyskiwaniem odezwał się o robotnikach, zmuszonych w szeregach pruskich walczyć za sprawę nie swoją.

— Biedacy!...

— Cóż państwo powiecie na to — odparł architekt — że są tacy, co z własnej idą ochoty...

— Być nie może!... — zaprotestowano.

— Wskażę państwu ochotnika...

— Któż on?...

— O... — odrzekł architekt, oczami pana Piotra ukazując — pan Ostróżko...

— Pan?... idziesz?... jako ochotnik?... — odezwało się zapytanie zbiorowe.

— Idę jako ochotnik... do Czerwonego Krzyża... — odpowiedział spokojnie.

O Czerwonym Krzyżu nie wszyscy mieli pojęcie dokładne. Graf o stowarzyszeniu tym słyszał, nie znał atoli znaczenia onego we względzie międzynarodowym; nie wiedział, że jest ściśle neutralnym; tego był przekonania, że idzie ono na rachunek patriotyzmu szczególnego. Patriotyzm szczególny w razie tym odnosił się do Prus. To go poruszyło.

— Ph... — odezwał się. — Winszuję ochoty... Służę Prusakom, kiedy mnie oni za kark biorą i w szeregach stawiają; ale... służyć im z dobrej woli?... uhm...

Uwaga ta utonęła wśród gwaru rozmowy ogólnej. Zagadano ją. Pan Piotr na nią nic nie odpowiedział — mimo uszów ją puścił, tylko zwrócił spojrzenie w kierunku panny Tekli, która mieniła się niby obraz cudowny; raz bladła, znów się rumieńcem oblewała, a oczy jej napełnił wyraz niepewny. Źrenice migotały blaskami, które przebiegały i nikły. Sąsiadowi, co obok niej siedział, odpowiadała z roztargnieniem, które wzrastało. Szczęściem dla niej, działo się to pod koniec obiadu. Wkrótce potem towarzystwo od stołu wstało; damy przeszły do salonu, z mężczyzn niektórzy na fajki i drzemkę poobiednią się wynosili i za nimi byłby się zapewne pan Piotr z pałacu wyniósł, gdyby mu hrabianka drogi nie zabiegła.

— Wszak nas pan nie opuszczasz jeszcze?... — rzekła z tym przymileniem, do którego grzeczność upoważnia.

Młody człowiek skłonił się jej.

— Proszę...

Poszedł za nią do salonu, którego drzwi parapetowe wychodziły na balkon zwrócony ku parkowi. Hrabianka go na balkon wyprowadziła.

— Co to znaczy, panie?... — zapytała, gdy się od towarzystwa nieco oddaliła.

— Wytłumaczę pani znaczenie Czerwonego Krzyża...— odpowiedział i w kilku wyrazach wyłożył zadanie, jakie stowarzyszenie to filantropijne na siebie wzięło.

— Zawsze jednak — wtrąciła — będziesz pan po stronie... nieprzyjaciół naszych...

— Będę po stronie tych, co cierpią... W wojnie tej przy tym, co na wybuchnięciu jest, nie masz strony nam przyjaznej... Do walki występują dwie ambicje państwowe, z którymi my wspólnego nie mamy nic...

— Francuzi... — bąknęła. — Papa na nich liczy...

Pan Piotr ramionami ścisnął i westchnął.

Gest ten był tak wymowny, że hrabiance obiekcje, jakie czynić zamierzała, na ustach zamarły. Spojrzała jeno młodemu człowiekowi w oczy i spojrzeniu temu nadała wyraz taki, że wzrok spuścił. Mógłby powiedzieć o sobie:

„Powiew miłości owiał mnie uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy".

Był jednak hartowniejszy aniżeli idealny kochanek „W Szwajcarii", albowiem wnet głowę podniósł i zamiast iść „za nią przez góry, doliny", spokojnie wytrzymał pocisk, który mu padł w serce pod postacią pełnych niedomówień wyrazów następujących:

— Odchodzisz pan... na... przepadłe...

Wyraz ostatni jęknął odgłosem zrywającej się struny.

— Odejść muszę... — odrzekł.

Panna Tekla coś na to odpowiedzieć chciała, lecz zbliżająca się matka czasu jej na odpowiedź nie dała. Hrabina szła pod ramię z jedną z sąsiadek, w towarzystwie pana Maurycego. Zanim doszła, hrabianka mogła jeno rzucić wyrazy:

— Powrócisz?... powróć!... powróć!... Czekać będę na pana... Powrócisz?... co?...

— Postaram się... — rzekł półgłosem.

— Proszę... błagam... zaklinam...

W chwili tej zabrzmiał głos pana Maurycego.

— O bocianach mowa... Lusia i pan Ostróżko złączeni są wspólnością troski o gniazdo, które uratowali.

Wyrazy te w formie objaśnienia stosowały się do matki i sąsiadki.

— Cóż, panie? — zapytał zwracając do pana Piotra mowę — cóż się z wychowańcami pańskimi stanie, gdy pan znamieniem Czerwonego Krzyża ramię naznaczysz?...

— Wychowańce moi opierzyły się i oskrzydliły, obejdą się już przeto bez opieki mojej...

— Odlecą...

— I powrócą...

— Spodziewać się należy — dodała hrabina — że pan, jeżeli nie dla nas, to dla nich Śródborze odwiedzisz...

Pan Piotr ukłonem na tę grzeczność hrabiny odpowiedział.

Ukłon ten był ukłonem pożegnania. Cofnął się i odszedł. Po odejściu jego hrabianka usunęła się z grona gości, pędem wbiegła na piętro, zajęła w oknie apartamentu swego stanowisko obserwacyjne i na próżno usiłowała raz jeszcze widzieć z daleka tego, do którego sercem przylgnęła. Pan Piotr się ulotnił.

## XXI

Jakie na pannę Teklę sprawa brata wrażenie wywarła, to się wypowiedzieć nie da. Gdy poznała, o co chodzi, owładnęło nią zdziwienie i oburzenie; żal się jej zrobiło tej kobiety; urobiła się w niej zaciętość — w czym i do czego? Zaciętość nie przybrała wyrazu ściśle określonego, w ogóle zaś w ten wyrażała się sposób, że — szeptała sobie — gdyby się na miejscu pana Maurycego znajdowała, za skarby żadne nie odważyłaby się na frymarkę podobną.

Wychodząc z tego punktu wychodniego, stawiała siebie w położeniach rozmaitych: raz na miejscu Żydówki — tej żałowała, przypuszczała bowiem z jej strony miłość dla Maurycego, który odwzajemniał się jej spekulacją; znów na miejscu rodziców — o tych sądzić zabraniała sobie, ustępstwo ich bowiem wydawało się jej czymś więcej aniżeli słabością, bardziej aniżeli występnym; przypuszczała, iżby się o rękę jej człowiek bogaty zgłosił, i zapytywała siebie, jakby się w podobnym znalazła wypadku. Rozmaite przez głowę jej przesuwały się przypuszczenia, a wszystkie wytwarzały dokoła niej rodzaj atmosfery obcej, w której uczucia jej, na próby wystawione, mocno cierpiały — cierpiały przez to najbardziej, że z kim pomówić nie miała. A tak tego potrzebowała!

Potrzebowała się zwierzyć, wyspowiadać — komu? Z czego? Ten, co jej sprzed oczów znikł, nasiał jej w duszę ziarn pełno, nad kiełkowaniem których czuwać należało. Każdy niemal wyraz, który z ust jego wyszedł, był ziarnem. Przed panną Teklą otworzyły się horyzonty odmienne od tych, jakie ją dotychczas otaczały, a w których poczęło jej być duszno, tak niemal jak w izbie bardzo ciepłej a zamkniętej. Płomienistość patriotyczna ojca, dyplomacja matki, samolubstwo brata przedstawiły się jej pod postacią taką, pod jaką — przypuśćmy — astronomowi wydałyby się planety, gdyby słońce w oczach jego znikło. W razie takim astronom by zapytał: około czego one krążą? Podobne pytania zadawała sobie hrabianka co do otaczających ją osób. Obracały się one, działały, krążyły, ale słońce, około którego ruch ten odbywał się, z oczów jej znikało. Nie znikało ono atoli w istocie. Każda z nich miała je, ale miała w sobie i dla siebie. Wynikały stąd sprzeczności, które do harmonii sprowadzały ustępstwa wzajemne, jakie jedno drugiemu czynić było zniewolone.

Wyglądało to tak, jakby jedno drugie oszukiwało, pomimo że w rzeczy samej każde oszukiwało przede wszystkim siebie. Dodajmy do tego gwar, jaki sprawiały wypadki, a będziemy mieli wyobrażenie niejakie o odmęcie, jaki w myślach hrabianki zapanował po odejściu pana Piotra. Ani się zwierzyć, ani wyspowiadać komu, ani się poradzić kogo nie miała, a przy tym nie miała możności w skupieniu ducha zastanowić się nad sensem gwaru, w którym niebawem jako nuta dominująca zapanowała wiadomość o rozpoczęciu kroków wojennych.

Wiadomość ta wprawiła grafa w szał radości, w szał, który powściągać usiłował. Usiłowanie nie zawsze mu się udawało — wybuchał niekiedy.

— A co!... — wywoływał — a co... — i powiedział to samo, co powiedziała cesarzowa Eugenia: — „To wojna moja..."

Ręce hrabiny całował i dziękował jej, a tłumaczył:

— Qui ne risque rien, n'a rien: jam zaryzykował wszystko... Sztuka w tym, ażeby wiedzieć, kiedy ryzykować... Ryzykuje się wówczas, kiedy idzie najgorzej, wówczas bowiem zbliża się i moment zmiany szansy... Nikt nie rozumiał tego po Sadowej... Zrozumiałem ja sam tylko i oto... owoce usiłowań moich... Zaczął się taniec... Tańczcie, Prusięta!...

Troska jego cała zwróciła się obecnie do kwestii umeblowania pałacu, zaopatrzenia piwnicy, spiżarni i przysposobienia usługi. Wszak spodziewał się francuskich generałów, marszałków, kto wie, Napoleona samego, a nie miał ani na czym ich posadzić, ani — na wypadek, gdyby na noc zostali — położyć, nie mówiąc już o porządkach kredensowych, którym nadać należało akcent zaznaczony przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu". Na wszystko to potrzeba było pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pienię-

dzy. Do radości przeto dołączała się gorycz — ziarnko gorczycy bardzo przykre, albowiem stan interesów nie pozwalał na zaciągnięcie pożyczki. Nie było skąd dostać ani grosza. Ani grosza!... Śródborze zastawionym było całkowicie, tak że jako ewikcja pozostawała tylko rachuba na powodzenie oręża francuskiego; ewikcja zaś ta nie miała znaczenia najmniejszego ani w zakładach kredytowych, ani u kapitalistów prywatnych. Graf wiedział o tym, mimo to zakołatał tu, tam i ówdzie — dlatego, jak myślał, ażeby sobie nic do wyrzucenia nie mieć. Wszędzie — jak się spodziewać należało — spotkała go odmowa. Gniewało go to i gryzło srodze.

— Co ja pocznę, Giduleczko?... — pożalił się razu pewnego hrabinie przedstawiwszy jej kłopoty swoje.

Hrabina ramionami wzruszyła.

— Bydlęta... — odezwał się o tych, co wierzycieli jego zastępu powiększyć ochoty nie czuli.

— Co się im dziwić!... — zauważyła.

— Zapewne, tym bardziej że nie mogę każdemu łopatą w głowę kłaść... Ale czyżby się domyśleć nie mogli?... Któż tu zajmie stanowisko naczelne?... Prosty, zdrowy rozsądek wskazuje z góry mnie, nie kogo innego...

— Ludziom jednak wydaje się, że zajść mogą jakieś wypadki nieprzewidziane...

— Jakież na przykład?... Wojska maszerują...

— Może się uda jeszcze cios odwrócić...

— Jak?... Oho!... — zawołał.

W chwili tej przyniesiono z poczty dzienniki. Graf pochwycił najpierwszy z wierzchu, zdarł z onego opaskę, rozłożył i zaledwie okiem rzucił, krzyknął:

— Łupień!... łupień!...

Oczy mu się śmiały, oblicze promieniało, nozdrza rozdęły.

— Cóż?... — zapytała hrabina spokojnie.

— Tylko się zetknęli, wnet łupnia dali...

— No?...

— O... słuchaj...

Odczytał depeszę zawiadamiającą o mniemanym zwycięstwie, odniesionym przez Francuzów pod Saarbrücken. Wiadomo, co to za zwycięstwo było. Triumfowała blaga, która za czasów cesarstwa drugiego wysoko we Francji stała. Rzecz prosta, że graf znać nie mógł istoty rzeczy, przyjmował więc wiadomość w znaczeniu literalnym i cieszył się, o! cieszył się:

— Było to do przewidzenia... Czyż przypuszczać można, ażeby Prusacy Francuzom czoło stawić byli w stanie!...

Mówiąc to, patrzał na rozłożoną mapę i po chwili milczenia dodał:

— Będą tu za... miesiąc... za dwa miesiące najdalej... Jazda francuska ma już szpicruty gotowe...

Powiedzenie ostatnie była to aluzja, która tyczyła się wkroczenia Francuzów do Berlina za czasów Napoleona I. Jazda przy okazji tej zaopatrzyła się była w szpicruty, celem okazania Prusakom lekceważenia. Zwycięzcy spod Jeny na zwyciężonych przez ramię spoglądali. Wspomnienie to odgrzebane podsycało chełpliwość stronników wojny we Francji. Dziennikarstwo imperialistowskie rozdmuchiwało je i roznosiło po świecie w postaci świadectwa, że narwańcy tego rodzaju co graf nie w samej tylko pojawiali się Wielkopolsce. We Francji było ich pełno. Dzierżyli władzę, kierowali polityką, rozporządzali środkami olbrzymimi i wprawiali w obłęd poczciwców, co o nich nadzieje i widoki zaczepiali. Graf im wierzył, ufał i pewnym był, że spod Saarbrücken wojska francuskie, zatrzymawszy się jeno tu i ówdzie dla wykropienia Niemców, drogą najkrótszą do Berlina pójdą. Marszrutę nawet znał. Spodziewał się ich przeto za miesiąc,

za dwa najdalej — i dlatego wnet po daniu folgi uradowaniu, które mu pierś rozpierało, dłonią w czoło się uderzył i zawołał:

— Pieniędzy!... pieniędzy!... — i dodał spokojniej nieco: — Gdyby mi kto dziś dziesięć tysięcy talarów wyliczył, oddałbym mu za dwa miesiące we dwójnasób...

— Masio... — bąknęła hrabina.

— Co?... — zapytał, w żonę się wpatrując.

— Gdyby ożenienie jego przyspieszyć...

— Ażeby mi — odrzekł z przyciskiem — ona wsparcia udzieliła?... Niech Maurycy wsparcie przyjmuje, jeżeli mu się to podoba; ale... ja?... nigdy!...

Zauważymy, że w czasie owym „nigdy!“ w modę było weszło — wprowadził takową imperializm. Że zaś hrabina, ze względu na funkcję swoją, mocno była imperializmem podszyta, więc usłyszawszy z ust męża wyraz wyroczny, zamilkła. Milczenie jej wziął graf w sensie uznania.

— Nigdy!... — powtórzył z przyciskiem mocniejszym. — Pieniądze te dłonie by mi paliły, tym bardziej... że...

Zająknął się i zaciął. Wypomnieć chciał interwencję klerykalną i powiedzieć, że klerowi bądź co bądź nie dowierza; lecz — o klerze wyobrażenie zmienił — szacunek dla niego powziął — był już sam klerykałem przez pół. Czoło dłonią potarł i westchnął. Głową kręcił. Odchrząknął z przyciskiem razy parę.

— Co ja pocznę!... — skąd ja pieniądze wytrzasnę?...

— Gdybym w Paryżu być mogła... — zauważyła hrabina.

— A, ba... O dostaniu się tam ani myśleć teraz... Wojska drogę zastąpiły, wszystkie koleje zajęły... i idą, idą... A tu u nas pustki... Pustki w pokojach, pustki w spiżar-

ni, pustki w piwnicy... Co ja bez pieniędzy pocznę!... co pocznę!...

W zafrasowaniu wielkim chodzić jął po pokoju zatrzymując się od czasu do czasu przy oknie i wyglądając na podwórze. Powtórzyło się to razy kilka, na podwórze spoglądał obojętnie, aż nagle brwi zmarszczył i wzrok wytężył.

— Co to znaczy?... — przez zęby przecedził. — Po co on tu?... Hm?...

Zapytanie ostatnie zwracało się do jegomości jakiegoś, który, od bramy wjazdowej zmierzając ku pałacowi, co chwila się zatrzymywał i przypatrywał. Na obliczu jego malowała się owa zwyczajna ciekawość zwiedzających, która się nie dziwi, ale notuje. Zatrzymywał wzrok raz na frontonie, znów na kolumnach, dalej na oknach, gzymsach etc. A nie był to ktoś nieznajomy, pomimo że na pierwszy rzut oka nieznajomym się wydał z powodu, że go graf od dawna nie widział. Obecność jego grafa zdziwiła.

— Po co on tu?... — powtórzył.

Był to baron von Krapiloff z Klatek.

Prawie o nim nie słychać było przez lat kilka, zjawienie się przeto jego niespodziane zastanowiło grafa.

— Baron z Klatek... — rzekł do żony.

— Ahm... — odezwała się hrabina.

— Co przybycie jego w tym momencie znaczyć by mogło?...

— Interes jakiś...

— Hm?... Czy nie chce Prusak względy sobie skarbić?...

— Może... — wtrąciła.

— Boć — ciągnął graf — interesy sąsiedzkie załatwialiśmy za pomocą korespondencji lub pośrednictwa... Hm?...

hm?... No, jakby tam nie było, nie wyjdę naprzeciwko niego, ale go przyjmę grzecznie... bardzo grzecznie...

Przy wyrazach ostatnich patrzał na hrabinę. Hrabina je głowy skinieniem aprobowała. W chwil kilka później baron się na progu ukazał.

— Aa?... — zawołał graf przeciągle z akcentem zapytania.

— Służby moje najposłuszniejsze wam, panie graf... — od progu przybyły odpowiedział.

— Tak dawno nie widziany!...

— Nie pokazywałem się... Siedziałem jak mysz w dziurze po nauce, jakąś mi pan dał...

— Aha!... Ano...

— Powiedziałem sobie to, co by powiedziała mysz, gdyby mówić umiała: baronie von Krapiloff, kota się wystrzegaj... O...

— Kota?... — zapytał graf.

— Jużci tak... Czyżeś mnie, grafie, nie złapał jak kot?... Nie zdusiłeś mnie dlatego, żem twardy i grube mam kości... Ale do razu sztuka... Nie próbowałem kości moich wystawiać powtórnie... dziś zaś ośmielam się panu, mości hrabio, czołobitność moją złożyć, albowiem dowiedziałem się, iż mogę mu małą przysługę sąsiedzką wyświadczyć...

— Obcinanie psom ogonów podawałeś za przysługę sąsiedzką...

— Nu... ja... — odparł Niemiec tonem dobroduszności. — Wówczas wychodziłem z punktu widzenia innego, dziś wychodzę z innego...

— Spodziewam się... — odezwał się graf triumfu tonem.

Baron się głęboko hrabinie ukłonił.

— Czołobitność moja... — rzekł i celem zmienienia snadź materii rozmowy dodał: — Jakież tu zaszły zmiany od czasu, jakem do Śródborza nie zaglądał...

— Zaszły zmiany... — odrzekła pani. — Postarzeliśmy się, baronie...

— Nie to na myśli miałem; tego bym ani spostrzegł... ale: ten pałac... Wygląda niby zamek zaklęty... Piękny, o! piękny...

— Nieprawdaż? — zapytał graf.

— Piękny... — powtórzył Niemiec tonem, w którym gdzieś w głębi, zdawało się, jakby się odzywała nuta fałszywa. — Co do tego — ani słowa... Ale — dodał — miałbym z wami, grafie, słów kilka do pomówienia, a lękam się, ażeby... pani hrabina...

— O!... — podchwycił graf. — Pomiędzy mną a hrabiną tajemnic nie ma...

— Nie o tajemnice, ale o interesa, które by może panią hrabinę trochę znudziły, chodzi...

— Mnie nie nudzą interesa tyczące się grafa... Jeżeli jednak obecność moja w czymkolwiek przeszkadzać by miała, w razie takim...

— Przeszkadzać?... — przerwał baron tonem protestacji. — Przeszkadzać!... Nigdy na świecie... Przeciwnie, obecność pani pomóc by tylko w razie danym mogła... Interes zresztą jest krótki... słów kilka... Czy wolno? — zapytał, ku hrabinie zapytanie zwracając.

— Proszę pana...

— Powoduje mną chęć szczera wyświadczenia przysługi sąsiedzkiej...

— We względzie?... — zapytał graf.

— Rzecz bagatelna... drobiazg... — odpowiedział Niemiec z lekceważeniem. — Słyszałem, że pan graf potrzebujesz kredytu w wysokości kilku czy kilkunastu tysięcy talarów...

— W rzeczy samej... — odrzekł graf — potrzebuję w momencie tym kredytu na... krótki termin...

— O termin mniejsza przy... ewikcji...

— Ewikcja pewna... — zaczął graf i miał zamiar w szczegóły ewikcji wejść, lecz w porę za język się ugryzł.

Ewikcja jego opierała się na przybyciu Francuzów.

— Ph... — odrzekł baron, dłonią od niechcenia machnąwszy i dorzucił: — To rzecz wiadoma... O tym mówić nie warto... Więc pozwoli mi pan graf, ażebym mu we względzie tym użytecznym się stał...

Oświadczenie to wygłoszone było tonem dobroduszności znakomicie udanej.

— Panie baronie!... — odpowiedział graf na to, spoglądając znacząco na żonę.

Hrabina znaczącym głowy skinieniem odpowiedziała mężowi.

— Zażartowałem niegdyś z pana; zażartowałeś pan ze mnie; pomiędzy sąsiadami zdarzają się wypadki podobne...

— Panu, jak się zdaje, panie baron, chodzi o to — zaczął graf z akcentem przymówki delikatnej — ażebyś sąsiadem moim pozostał nadal...

— O i bardzo... — odparł tenże.

— Obecnie nawet... kiedy Francuzi?...

— Co?...

— Wykurzą was...

— A!... co tam!... Co Francuzom do stosunków sąsiedzkich?...

— W ogóle jednak ciekawi będą może dowiedzieć się co i jak?...

— Ciekawość ich we względzie tym nie ja zaspakajać będę... Co mi tam do tego!...

— Może zapytają mnie... — wtrącił graf tonem półinsynuacji.

— Może... nie wiem... A może zadowolnić się zechcą odpowiedzią, jakiej im nie omieszka Moltke udzielić. Zresztą — dodał — mniejsza o to... Rzecz nie w tym, ale w tym: ile pan graf w chwili tej potrzebujesz?...

Graf znów na żonę spojrzał i ta mu znów znak zachęcający dała.

— Ile?... — powtórzył baron zapytanie.

— Uhm? — wygłosił graf powoli. — Ile?... talarów tysięcy kilkanaście...

— Piętnaście, na przykład?...

— Nie tyle...

— Ale... dla zaokrąglenia liczby...

— Ph... zapewne... Tysięcy parę mniej albo więcej rzeczy nie stanowi...

— Niechże pan, panie grafie, pisze rewers...

Graf posiadał wielką w redagowaniu dokumentów tego rodzaju wprawę; mimo to, zaskoczony niespodzianie, zawahał się. Łatwość, z jaką mu pożyczka ofiarowaną została, mieszała go. Gdy przeto baron do pisania rewersu go wezwał, zapytał jak student:

— Rewers... jak?...

— Jak się panu podoba... Niech graf sam termin wyznaczy...

— Na trzy miesiące...

— Dobrze... jeżeli to panu różnicy jakiej nie uczyni...

— Procent?...

— Hm.. — mruknął baron z gestem — dwa... dwa i pół... trzy...

— Zwyczajny?... bankowy?... — zapytał graf.

Baron głowy skinieniem dał odpowiedź twierdzącą — i podczas kiedy graf dokument przysposabiał, przysiadł się do hrabiny i prawił jej o tym, jak to on się w okolicy zaaklimatyzował.

— Bardzo mi tu dobrze, bardzo miło, tak dalece, że się już o siebie lękać poczynam.

— W jakim względzie?...

— Żebym się nie spolaczył...

— O!... dla pana, zdaje się, niebezpieczeństwo podobne nie istnieje...

— Czemu nie... — odparł. — Pozostaje mi tylko... z Polką się ożenić; żona by mnie przerobiła... Czuję to...

Rozmowa w materii tej potoczyła się dalej, utrzymywana w tonie półżartobliwym. Niemiec ulokował komplimentów parę pod adresem hrabiny. Hrabina okazywała się względem niego grzeczną i uprzejmą, odpowiadała, zapytywała, wygłaszała opinie swoje, aż graf się z rewersem pojawił i przerwał:

— Oto... — rzekł, papier baronowi podając.

Baron nie czytając rewers w zanadrze schował i wręczył grafowi przekaz na bank, opiewający na piętnaście tysięcy talarów. Odbyło się to tak od niechcenia, jakby to nie był ten sam człowiek, co Żydów oszukiwał i o fenigi się targował.

Gdy zamiana dokumentów dokonała się, baron wstał i rzekł:

— Rzecz załatwiona... Pozostaje mi pożegnać panią hrabinę i pana grafa i polecić się względom ich łaskawym...

— Ależ... — graf na to tonem protestacji. — Baron zechcesz nam chwilkę czasu darować jeszcze...

Niemiec się skłonił z akcentem wdzięczności i wnet wszczęła się pogawędka treści politycznej, którą graf w następujący zagaił sposób:

— Kropią naszych, uważacie... — rzekł.

— Co to znaczy?... — zapytał baron.

— Francuzi przetrzepali wojska pruskie...

— Ej... to nic jeszcze nie znaczy. Finis coronat opus...

— Zapewne... Jednakże... temu zaprzeczyć nie można, że Francuzi odnieśli zwycięstwo ogromne...

— Tak, o!... tak: pół na pół z blagą... Francuzi?... My ich znamy...

— I my znamy...

Niemiec się złośliwie uśmiechnął i odpowiedział:

— O, tak...

I następnie potwierdzał wszystko, co graf powiadał, tak że kiedy w końcu pożegnał gospodarstwo domu i odszedł, graf zawołał:

— O, to Niemczysko basuje!... o też basuje!... Kręto być koło Prusaków musi... Złagodniał jak baranek, pazury pochował i śpiewa piosenkę nie tę, co dotychczas śpiewał... To najlepszy dowód, że papiery nasze w górę poszły... Nie zdziwię się, gdy drugi jaki Niemiec nastręczy się z przysługą sąsiedzką... A kłopotałem się o pieniądze!... Piętnaście tysięcy talarów spadły mi niby z nieba... Teraz trzeba zająć się umontowaniem domu, czasu nie tracąc... Gidulciu — do żony się zwrócił — pojedziemy... co?...

— Jedźmy... — hrabina na to.

— Do Berlina czy do Wrocławia?... Do Wrocławia chyba, jako do starego grodu polskiego...

— W Berlinie łatwość większa i wybór lepszy... — zauważyła hrabina.

## XXII

Czy w Wrocławiu, czy też w Berlinie grafstwo się umontowali, to do rzeczy nie należy. Do rzeczy należy tylko umontowanie się, to zaś zrobiło się o ile szybko, o tyle świetnie, pomimo że świetność względną, szychową była. Czyż można bowiem za piętnaście tysięcy talarów pałac umeblować? Nie można. Zrobiło się jednak dużo — wszystko, co do zrobienia było, z pominięciem dzieł

sztuki. Pokoje się zapełniły, ściany ożywiły; w stajni pojawiły się konie, w wozowni pojazdy. Brakło malowideł, posągów, odlewów, zwierciadeł zbyt kosztownych, kobierców zanadto drogich, ale nie brakło sprzętów i ozdób czyniących zadość przeznaczeniu swemu. Krytyka niejedno by do zganienia znalazła, gdyby nie brała na uwagę skromności środków, jakimi rozporządzał graf, któremu żal było, że tak szczupłą u barona pożyczkę zaciągnął.

— Dwa razy taka za wysoką by nie była... — powtarzał.

Powtarzał to, pewnym będąc możności oddania — względnie przybycia Francuzów, którzy się tymczasem pobijać raz po razu dawali. Grafa to nie mieszało zgoła. Fantazji i nadziei nie tracił, albowiem znał albo raczej odgadywał plan kampanii, mającej na celu Berlin. Gdy przeto dokoła niego smucono się wieściami o rozprawie pod Wissenburgiem, w której wódz francuski zginął pierwej, nim oczy przetrzeć zdołał, a żołnierze ze snu w objęcia śmierci wpadali; gdy się przerażano pogromem pod Wörth, gdzie sztab francuski, w ślepej o siłach przeciwnika nieświadomości, pozwolił armią na winne zbić jabłko; gdy po takich dowodach odzywać się poczynano z wątpliwościami w gwiazdę napoleońską, graf odpowiadał:

— To manewry... to manewry. Francuzi wabią w stronę tamtą Niemców, ażeby ich z mańki zajść, obejść i na tyły im wleźć... To manewry...

Zasłaniając się manewrami tymi, wykończał montowanie pałacu i co chwila wzywał to hrabinę, to pannę Teklę, ażeby pokazywać im perspektywę w salonach, zastawionych stołami, stolikami, krzesłami, fotelami, konsolami, przyozdobionych w zwierciadła, obrazy, firanki, urny, wazy, etc., etc.

Wciąż spodziewał się generałów, marszałków, kto wie, Napoleona samego.

Stało się to jego manią-chorobą, jego deską zbawienia, której się trzymał uparcie, pomimo że wieści niepomyślne nadchodziły jedna po drugiej, coraz to częściej i coraz to wyraźniejsze. We wszystkim tym atoli uparcie manewry widzieć chciał i widział. Nie przypuszczał, ażeby inaczej być miało. Przysposabiał się na przyjęcie uczciwe gości dostojnych i podczas kiedy na nich oczekiwał, progi pałacu przestąpił gość niekoniecznie pożądany.

Przyjechała pani Anna Kalisz.

Ukazanie się jej karety na podwórzu wprawiło mieszkańców pałacu w zdziwienie niemałe, kareta owa bowiem równie jak zaprząg, konie, służba znamionowały bogactwo wielkie. Graf i hrabina znali się na tym. Panna Tekla, pomimo że znawczynią we względzie tym nie była, niemniej przeto zdziwieniu uległa z powodu nowości widoku, nacechowanego zbytkiem. Nie zdziwił się jeden pan Maurycy, który, na dzień przed tym przyjechawszy, spodziewał się wizyty tej i zapowiedział rodzicom takową. On też na ganek, na spotkanie wybiegł.

Pani Anna wysiadła, obejrzała się i zawołała:

— Och... — jakże tu pięknie!... Jam słyszała o pałacu, alem wierzyć nie chciała, ażeby to był pałac prawdziwy... No, no... phi... Toć to pałac!...

Pan Maurycy do środka ją zapraszał.

— No... niech się ja jeszcze przypatrzę trochę... A gdzież — zapytała — podział się ten dwór stary, do któregom ja z ogonami przychodziła?...

— Zburzony został... — była pana Maurycego odpowiedź.

— Zburzony... szkoda... Ja bym waszemu ojcu, panie Maurycy, przypomniała, jakem tam przychodziła.

— Niech pani papie nie przypomina tego...

— Czemu?...

— No... tak... — odpowiedział nie wiedząc, w jaką żądanie swoje ubrać racją. — Sprawiłoby mu to przykrość. No... tak... — powtórzył i dodać coś chciał, ale mu wejście ojca przeszkodziło.

— Witam panią dobrodziejkę...

— Pan się nic a nic nie zmienił, a jam się zmieniła... Pan by nie poznał mnie.

— Nie, zaprawdę... — odrzekł graf. — Nie przypominam sobie, ażebym kiedy miał zaszczyt panią oglądać...

— Gdybym panu powiedziała, to by pan graf przypomniał sobie... Nie powiem jednak... Powiem tylko, że było to w tamtym dworze, co go zburzyli, na którym była strzecha słomiana, a na strzesze bocian w gnieździe siedział...

— Dostąpiłem więc zaszczytu tego, żeś pani w domu moim była?... — zapytał graf zaintrygowany.

— I... co to za zaszczyt!... Teraz to zaszczyt, bo ja bogata, ale wtenczas...

— Proszę... służę pani... – podchwycił pan Maurycy na drzwi ręką wskazując, a chcąc przerwać rozmowę, która się z fałszywego, w mniemaniu jego, rozpoczęła tonu.

Graf poparł inwitacją syna i pani Anna wkroczyła do sieni, z sieni do przedpokoju, z przedpokoju do salonu jednego, do salonu drugiego, aż się zatrzymała w tym, w którym na środku spotkały ją hrabina i hrabianka.

— No... pani hrabina... — zaczęła. — Jak się pani ma?... I pani się zmieniła... Ale oto, kto się zmienił!... — zawołała, na pannę Teklę wskazując. — Była tyćka, a teraz... hhi!... panna... Jak to prędko rośnie!...

— Niechże pani usiąść raczy... — zawezwała hrabina.

— Siadajmy... co stać mamy!...

Panie miejsca pozajmowały. Pani Anna zwróciła się wnet do pana Maurycego i z poufałością, oznaczającą zażyłość, do niego się odezwała:

— A tam są moje konie, moi ludzie i moja panna Marianna: niech pan o nich pamięta, bo — ze znaczącym dodała uśmiechem — panna Marianna o panu pamiętała... Niech no się pan pofatyguje, to ona coś, gościniec jakiś tu przyniesie...

Pan Maurycy, który wobec ojca, matki i siostry czuł się zawstydzonym niejako, wstał; zanim jednak odszedł, hrabina głos zabrała:

— Pani zrobi nam ten zaszczyt i u nas gościnę przyjmie...

— Wskażże, Masiu, służącym pani pokój gościnny... — przemówiła do syna.

— Apartament na lewym skrzydle, od strony parku, pokój różowy... — dodał graf.

Pan Maurycy po chwili powrócił, ale nie sam. Towarzyszył mu ksiądz Jan, który zwyczajem swoim rubasznie witał się z gospodarstwem, zaczynając od hrabiny, kończąc na hrabiance. Na ostatku zwrócił się do pani Anny.

— A co? — rzekł — widzisz pani: dotrzymałem słowa...

— Jam się wielmożnego pana zastać spodziewała...

— Ano... przypóźniłem się trochę; lepiej jednak późno jak nigdy... Zagapiłem się... Mości hrabio — do grafa mowę zwrócił — co to będzie?...

— Albo co?... — hrabia na to.

— Kropią naszych...

— Manewry... fortele... Na tym sztuka wojenna stoi... Sztuką durniów tłuką, a któż powie, że Francuzi nie mają więcej aniżeli Niemcy dowcipu?...

— Piękny mi dowcip, dać się w twierdzy zamknąć!...

— Zobaczysz acan dobrodziej, że Metz grobem się dla Niemców stanie... Francuzi się naumyślnie zamknąć i obsaczyć dali... Wytną oni sztukę taką, że świat zadziwią... Oho!...

— Uhm... — mruknął ksiądz, ramionami ściskając. — Na to się nie zanosi; kto wie jednak...

Ze słowem tym treść rozmowy zmienił. Zaczął o pałacu; przeszedł do pogody; z pogody wysnuł materię o zdrowiu i przypomniał horam canonicam. Przypomnienie to w dobry wypadło moment — w godzinę obiadową.

Przy obiedzie to tylko było do zanotowania, że tak na zastawie stołu i daniach jako też na usłudze widzieć się dał wpływ piętnastu tysięcy talarów. Pożyczka występowała pod postacią szyku pańskiego, któremu odpowiadał dobry ton, jaki hrabina nadać umiała. Ton ów pani Annie zaimponował. Pochodziło to w części stąd, że wiedząc o smutnym interesów śródborskich stanie nie spodziewała się wystawności takiej.

— No — odezwała się po obiedzie do księdza na stronie — tu takie wielkie państwo...

— Hm... — ksiądz chrząknął i głową ruszył. — Tak to, pani. Cóż — zapytał — nie spoczniesz pani trochę po podróży?...

— Ależ ja nie wiem, gdzie ten pokój różowy, który dla mnie przeznaczono...

— Panna Tekla pokaże pani...

Ksiądz podprowadził panią Anne do panny Tekli, powiedział, o co chodzi, i dwie te panie udały się na piętro. Na dole pozostali państwo Graccy, pan Maurycy i ksiądz Jan.

Ten ostatni rzecz zagaił:

— Nie powabna ani ponętna... — rzekł, o pani Annie mówiąc — ale pożądana, z punktu praktycznego wychodząc... W gruncie dobra kobieta; trafiła się jakby przez Opatrzność przysłana umyślnie do ratowania jednego z rodów stojących na brzegu otchłani.

Graf zaprotestował przeciwko wyrazom ostatnim, a na dowód protestacji swojej poświadczył się przysługą sąsiedzką barona.

— Niemiec ma węch — dokończył — nie ryzykowałby, gdyby nie był pewnym przybycia Francuzów.

— Nie znam ja rachub barona — odparł ksiądz — ale są one nieco podejrzane... Czy to nie wyzwanie jakie?... Zobaczymy... Na wypadek wszelki dobrze jest uzbroić się... w talary, zwłaszcza, że się okazja trafia...

— Myśmy — odparł graf, we własnym i w hrabiny imieniu odpowiadając — dali już, zbyteczne zresztą, zezwolenie nasze...

— O ilem wyrozumiał — ksiądz na to — pani Anna gotową jest Śródborze oczyścić...

— Veto!... — zawołał graf. — Śródborze oczyszczę sam... Francuzi przyjdą...

— Panie grafie... — przerwał ksiądz — wybijcie sobie to z głowy... Francuzi w Metz zamknięci...

— Jedni, a drudzy w Châlons się gromadzą, na odsiecz pójdą... ruszyli już, Niemców zgniotą, marszem spacerowym naprzód ruszą... Zamknięcie się Francuzów w Metz jest z ich strony nie czym innym jak fortelem, który Niemców będzie kosztował drogo.

Ksiądz nie obalał tych złudzeń, których się uparcie trzymała fantazja polityczna grafa. Nie chciał biedakowi wyrządzić przykrości, a przy tym i sam spodziewał się rezultatu jakiegoś przyzwoitego po operacji, do której powołaną została armia pod dowództwem naczelnym marszałka Mac-Mahon. Czy nie liczono na nią? Czyż ks. de Palicao nie oznajmiał triumfu niezawodnego? Ksiądz Jan przeto liczył trochę na to, że się Francuzi wywikłają z kłopotów, w jakie ich wtrąciła niezaradność synowca wielkiego wojownika. Dlatego fantazji grafa bujać pozwalał, nawet ją od czasu do czasu podsycał.

## XXIII

Uprzejmość, z jaką pani Anna podejmowaną i goszczoną w Śródborzu była, nic do życzenia nie pozostawiała. Zadawalniała ją ona zupełnie. Śródborze się jej podobało równie jak pałac, który gdy się w nim rozpatrzyła, wydał się jej jako rodzaj etalażu, na którym bogactwa jej prezentowałyby się świetnie. Sprzęty, acz świecące, ale ubogie, które budowlę zapełniały, wzbudzały w niej politowanie. Znała się na imitacjach wszelakich i powiadała:

— Niechaj no tu przyjdzie złoto prawdziwe, jedwab prawdziwy i robota od majstrów rzetelna: ot, dopiero na co popatrzeć będzie...

Uwag tego rodzaju udzielała pannie Mariannie, która ze swojej strony przedstawiała jej piękność mianowania się hrabiną.

— To jest... ja będę niby tak jak pani hrabina...

— Pani będzie nie niby, ale hrabiną prawdziwą...

Razu pewnego jednak pani Anna, gdy jej panna Marianna po raz może setny piękność przyszłego jej prawdziwego hrabstwa przedstawiła, rzekła:

— To się pokaże...

Dni upływały i w ciągu takowych nadeszła wieść dla grafa straszna, wieść iście Hiobowa: o pogromie sedańskim. Nie uwierzył jej zrazu. Fakt wydał się mu o ile potwornym, o tyle niemożliwym.

— Nie!... nie!... — krzyknął — to nieprawda!... — kłamstwo!... łgarstwo!...

Gazetę w garści zmiął i na podłogę cisnął.

— Wojska broń złożyły... — odezwał się ksiądz.

— Być nie może!...

— Cesarz się w niewolę oddał...

— Czyste niepodobieństwo!...

Wierzyć nie chciał; w końcu atoli uwierzyć musiał i osłupiał. Doznał czegoś na kształt sparaliżowania władz umysłowych. Zdobył się tylko na zarzut zwrócony do księdza Jana.

— Wyście to sprawili!... — rzekł — klerykali!...

Następnie sposępniał, zamilkł i spode łba jął się patrzeć na wszystkich, na hrabinę nawet. Zły humor jego potęgowały przykrości różne, które napływać poczęły jakby na zamówienie. „Nieszczęście — jak powiadają — nie przychodzi nigdy samo". Po wieści fatalnej spadły na grafa pozwy — pozwy groźne, brzemienne nie tylko wywłaszczeniem przez kredytorów, ale torbami żebraczymi. Groźność ich atoli malała wobec ciosu, jakim było zapadnięcie się złotych nadziei w bagno sedańskie. Graf tak o wszystkim wiedział, tak plany znał i rozumiał, tak rezultatu pewnym był, że kiedy się pokazało, że były to bańki z mydła, uczuł się jakby zgruchotanym. Wszystko inne uważał za głupstwo. Wierzyciele? A! Przedstawili się mu oni pod postacią tych much, co w jesieni dokuczają. A właśnie jesień była.

Dlatego zdziwił go i trochę oburzył list, jaki otrzymał od barona, list, treść którego obracała się całkowicie około interesów śródborskich i wyprowadzała z takowych konkluzję wcale niespodziankową. Baron wykazywał grafowi ruinę majątkową niechybną a bliską, oznajmił, że jest głównym jego wierzycielem, albowiem skupił większą połowę weksli, jakie na Śródborzu ciążą, i oświadczył się o rękę panny Tekli. Podpisał się: Baron, etc. „Hycel". List cały grzeczny był i uprzejmy; jeden tylko ten wyraz zaznaczał sens onego. Niemiec wymedytował zemstę, którą obliczył matematycznie — za pomocą rachunku prawdopodobieństwa. Tak samo gabinet berliński obliczył odwet za Jenę i za zdobycie z rajtpajczem w ręku Berlina. Przeciwko obrachowaniom tego rodzaju są obrachowania.

Francja nie czyniła takowych i graf nie czynił: nastąpiły przeto dwa pogromy — jeden głośny historyczny, drugi cichy historyczny; obydwa wyraziły się pod postacią bankructwa. Zbankrutowało cesarstwo, dla którego szlachta polska wąwozy samosierskie zdobywała; zbankrutował szlachcic, który na cesarstwo liczył. Na co innego liczyć należało.

Oświadczyny barona zdziwiły grafa i oburzyły trochę. Nie wziął ich do serca od razu. Gdy list po raz pierwszy po cichu czytał, nie wydały mu się niczym osobliwym. Powtórne jednak żonie, córce i synowi odczytanie z siodła go niejako wysadziło.

— Ahm!... — krzyknął, zawarczał niby.

Tytuł, jaki sobie baron nadał, przedstawił się mu pod postacią urągowiska.

— Ja mu!... ja go!... ja jemu!... ja z nim!...

Próbował się odgrażać — nie wiedział, w jaki sposób pogróżkę sformułować. Poznał, że się znajduje w ręku nieprzyjaciela i że Niemiec będzie dla niego bezwzględnym. Poznał to z uprzejmości, jaką list był nabrzmiały. We względzie tym nie pozostawała wątpliwość najmniejsza.

W łonie rodziny zamanifestowało się zmitrężenie, które ujść nie mogło uwagi gości — księdza i pani Anny. Sama hrabina spokoju zachować w stanie nie była. Panna Tekla doznała przerażenia. Pan Maurycy był zmięszany. Ksiądz wpadał na domysł odnoszący się do syna starszego hrabstwa, który kampanię w szeregach wojskowych odbywał; pani Anna wpadała na domysł tyczący się spraw majątkowych.

— Ani chybi... kredytor jakiś nacisnął... — szepnęła księdzu na stronie.

— Chyba że nie... Coś to innego... Czy nie od Bysia albo o Bysiu wieść zła?...

— Od Bysia?... Bysio!... Aha! to panicz starszeńki, co się u wielmożnego pana edukował?... — odezwała się pani Anna.

I na potwierdzenie domysłu tego nie czekając, zwróciła się do grafa z kondolencją:

— Co tam... — poczęła. — Kto to wiedzieć może... List?... wielka mi rzecz... Owa!... Mało o czym listy się nie piszą... To zapewne nieprawda...

— Czarno na białym... — odrzekł graf.

— Bywa zielone na żółtym...

— Pisze wyraźnie...

— Jak to wyraźnie?...

— Oświadcza się...

— I o co?... I kto?... — zapytała zmiarkowawszy, że pocieszanie jej jest trafianiem kulą w płot...

— Baron... — zawołał graf z indygnacją — o rękę Lusi...

— Baron?... ten od rybek?... od szkła?... od psich ogonów?...

— Hycel...

— No?... a onże czemu hycel?...

— Czemu?... Praktykował bez patentu, dostał wyrok i sam się w tytuł ten przyozdobił... O...

Księdzu list wręczył, ksiądz odczytał, usta zacisnął, wykrzywił takowe i rzekł:

— U?... to źle...

— Co źle?... — zapytała pani Anna.

— Ultimatum fatalne...

— Co to ma znaczyć?...

— Z nożem przy gardle stanął...

— Czy nie wedle długów?... — zapytała odgadując istotę rzeczy.

Ksiądz nic na to nie odpowiedział, graf głowę schylił; milczenie chwilowe, jakie zapanowało, przerwała pani Anna, rękę wyciągając:

— No... co tam... Jeżeli to bagatelą taka, to nic... To ja... ja weksle popłacę... Popłacę weksle wszystkie, jakie tylko są... Co tam!... To głupstwo... Sto, dwakroć sto tysięcy talarów... co to?... to nic... Niech się tym państwo nie frasują... Kiedym ja pierniki sprzedawała, to jam nic nie mogła, to mi nieraz w krzyżach trzeszczało; ale teraz ja mogę...

Podczas kiedy ona mówiła, graf odetchnąwszy z głębi piersi, jął się po pokoju przechadzać; hrabina patrzyła na nią z wyrazem rozrzewnienia w oczach; pan Maurycy siedział z głową pochyloną; panna Tekla miała minę istoty na gorącym pojmanej uczynku; ksiądz, odchrząkując od czasu do czasu, dłonią sobie usta obcierał, jakby się do przemówienia przysposabiał. Jakoż przemówił:

— Przedziwne Opatrzności zrządzenie... — zaczął — zrządzenie, dzięki któremu rzeczy się tak ułożyły. Dziełem to jest niczyim, tylko Opatrzności, to sprowadzenie ku skojarzeniu się węzła małżeńskiego dwojga ludzi...

Pannie Tekli oczy napełniły się wyrazem zgrozy. To, co się o uszy jej obijało, było dla niej nowością, niespodzianą a wstrętną. W świetle najlepszym przedstawiała się jedna pani Anna. Od niej odbijali: ojciec, matka, brat, ksiądz. Więc ręce palcami splotła, dłonie załamała, ramiona do góry podniosła i z pokoju wybiegła. Udała się na piętro, do apartamentu swego.

— Panienko!... co panience?... — zapytaniem tym spotkała ją Maryś.

— O Boże!... — jęknęła i dodała: — Idź... nie przeszkadzaj mi...

Cóż czynić zamierzała? Zamknęła się i usiadła przy oknie, z którego widziała kawałek podwórza, stajnię, przy

której tak niedawno widywała pana Piotra, i drzewo suche z opuszczonym przez bocianów gniazdem. Wspomnienia tłumnie do głowy jej napłynęły. Postać młodego człowieka w oczach jej stanęła.

O! jakże postać ta wydała się jej piękną, czystą, jasną.

— Gdzie on?... co się z nim dzieje?... gdyby się tu w chwili tej znajdował...

Gdyby się znajdował, poszłaby do niego i opowiedziała mu wszystko. W myśli sobie opowiadanie układała. Opisałaby rozpaczliwe rodziców położenie, z położenia tego wyciągnęłaby dla nich okoliczności łagodzące i postawiła zapytanie: czy wyjście jej za barona byłoby dla nich ratunkiem? Baron bowiem, nie zobowiązując się do niczego, występował jako wierzyciel i pretendent do ręki hrabianki. Przypuszczać należało niejaką ze strony jego, gdyby zięciem grafa został, dla tego ostatniego względność. Do przypuszczenia tego jednak łączyło się inne, czepiające się zniewagi, jakiej przed laty doznał, a którą przypomniał, dodając w podpisie tytuł, który ją wyobrażał. Nie zachodziła przeto wątpliwość najmniejsza, że baronowi chodziło o odwet — o poniżenie, o zdeptanie szlachcica — o poniżenie, zdeptanie człowieka, co był hrabianki ojcem, którego ona, bądź co bądź, kochała, szanowała i żałowała. Ofiara jej przeto okazywała się nieprzydatną.

Pogoda jesienna odpowiadała harmonii jej myśli i uczuć. Niebo osłaniały ciężki pozór mające chmury, deszczyk mżył i zasępiał widnokrąg, w dali ukazywały się widma lasów, od czasu do czasu rozlegało się krakanie wrony i krakanie to niby nóż wbijało się w serce hrabianki, zgryzionej, zrozpaczonej, spoglądającej zaczerwienionymi od płaczu oczami.

Wyjście jedyne, uczciwe a szlachetne, polegało na wyjściu ze Śródborza, nie zabierając ze sobą nic, ani nawet kija do ręki. Niewyraźnie tylko snuło się jej w głowie

postanowienie niekorzystania ze sposobów ratunku, jakie się przedstawiały. Tyczyło się to osoby jej wyłącznie, nie zaś ojca, matki i brata, których jednak los obchodził ją bardziej aniżeli jej własny.

W usposobieniu takim zeszła ją Maryś.

— Panienko, a tam panienkę proszą...

— Co?... — zapytała.

— Ksiądz Zmianko odjeżdża i z panienką pożegnać się chce...

— Ach!... — dłonią sobie czoło przycisnęła.

Miała zamiar nie schodzić. Zmiarkowała się atoli. Ręcznikiem zmoczonym oczy sobie przemyła, włosy przyczesała i oblicze odpowiednio nastroiwszy zeszła po schodach.

Ksiądz Jan, w towarzystwie grafa i pana Maurycego, czekał na nią w przedpokoju.

— O! panna Tekla popłakała sobie trochę... — odezwał się tonem dobrego humoru. — Ten okropny baron łzy pani z oczu wycisnął... Francuzi powiadają, że wszystko jest dobrym, co się dobrze kończy... Baron usunięty i obezwładniony... Co się zaś reszty tyczy, w panu Maurycym nadzieja: Proszę się nie smucić i nie płakać... oczów szkoda...

To rzekłszy, z panną Teklą się pożegnał i z grafem i z panem Maurycym na ganek wyszedł.

Po odjeździe pani Anny w Śródborzu powrócił tryb życia zwyczajny, różniący się od dawniejszego tym tylko, że graf zaprzestał układania kombinacji politycznych. We względzie tym zaszła w nim zmiana radykalna — zmiana pospolita w ludziach kierujących się nie na wyrozumowaniu opartymi przekonaniami, ale wypływającymi z uczuć wrażeniami. Na ludzi takich wpływa lada co — pierwszy lepszy o zakroju niezwyczajnym fakt. Graf zobojętniał zrazu, zobojętniał tak absolutnie, tak dalece, że postradał

świadomość: jestli demokratą czy arystokratą, Polakiem czy Niemcom. Nie czuł, nie myślał — drewnianym się stał. Zobojętnienie trwało do chwili, w której się dowiedział o obecności przy uroczystości przyjęcia w Wersalu przez króla pruskiego tytułu cesarza niemieckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Wiadomość ta wstrząsnęła nim, zelektryzowała go. Obecność arcybiskupa, prymasa duchowieństwa polskiego, przedstawiciela Polski w czasie bezkrólewia, wydała mu się wyskokiem mądrości stanu, czynem polityki tak głębokiej i tak rozumnej, że doznał rodzaju olśnienia wewnętrznego. Stało się mu to, co czasu onego św. Pawłowi, gdy do niego głosem ludzkim oślica przemówiła. W chwili jednej nawrócił się. Wolnomyślący, ateusz prawie, ultramontaninem został w przekonaniu, że:

— Ksiądz Ledóchowski nie bez kozery lutrom basuje... Ultramontanie Niemcom końca dojadą...

Z imperialisty zawziętego zmienił się w zawziętego klerykała i nadzieję, rachuby i plany swoje na Rzymie opierać począł.

Rzym zastąpił dla niego Paryż, ojciec święty cesarza Francuzów, religia politykę.

Zwrotowi temu w przekonaniach grafa hrabina, jak się zdaje — potakiwała. Kiedy rozprawiał, nie odpowiadała, ale nie przeczyła: spodziewała się może zmiany nowej w przyszłości niedalekiej. W Wielkopolsce zmiany tego rodzaju są na porządku dziennym; w oczach naszych fronty polityczne zwracały się tam ku Paryżowi, Wiedniowi, Petersburgowi, Rzymowi i w jednym tylko Wielkopolanie wytrwałymi są: w marnotrawieniu majątków.

Wiadomości z teatru zapasów wojennych nadchodziły coraz to gorsze — gorsze w tym sensie, że po upadku Napoleona III chodziło już o rzeczy ważniejsze aniżeli te,

które wojnę spowodowały. Przewaga oręża niemieckiego Niemcom nawet pożądaną być nie mogła. Przewaga ta utrzymywała się stale, sprowadzając do Wielkopolski jeńców i rannych — rannych, w liczbie których znalazł się młody hrabia Bolesław Gracki.

## XXIV

Panna Tekla w oknie siedziała i po podwórzu pałacowym, po stajni, po oczekującym na powrót bocianów gnieździe okiem powodząc rozmyślała nad położeniem upokarzającym, w jakie ją i jej najbliższych okoliczności wtrąciły. Rozmyślała nad tym, wyjścia nie widziała i jednego pragnęła: tego mianowicie, ażeby się cudem jakim z panem Piotrem rozmówić mogła. Wydawało się jej, że on ją pocieszy, on jeden wskazówkę da, on jeden radę znajdzie.

— On jeden... — w duchu sobie powtarzała.

— Gdzież on jednak?

Dni kilka temu graf dostał zawiadomienie urzędowe o powrocie z pułku syna starszego rannego. Dnia, w którym to nastąpi, nie znano. Zależało to od kolei żelaznych, zajętych ogromnie. Spodziewano się przybycia młodego hrabiego lada dzień i o spodziewanie to panna Tekla zaczepiała nadzieję dowiedzenia się czegoś o panu Piotrze, o którym od początku wojny wiadomości nie miała najmniejszej.

W oknie — jakeśmy rzekli wyżej — siedziała i okiem po podwórzu powodziła. Nagle we wrotach pokazał się pojazd kryty. Na widok ten serce jej mocno zabiło — czemu? — sama nie wiedziała, przekonanie bowiem powiadało jej, że to z sąsiedztwa ktoś w odwiedziny przyjeżdża, a to dlatego, że było już osób kilka, zgromadzonych na

dole w salonie. Ktoś nowy przybywa, byle nie pan X. z córkami, do których by zejść musiała. Nie z powodu jednak przypuszczalnie panien X. wizyty opanował ją niewytłumaczony jakiś niepokój, z jakim śledziła ruchy pojazdu, który, trawnik objechawszy, przed gankiem się zatrzymał. Z pojazdu wyskoczył jegomość jakiś w mundurze i oznakach służby sanitarnej.

Jegomość jakiś.

Na widok jegomościa tego z siedzenia się zerwała, krzyknęła; zbladła; zachwiała się tak, że dla odzyskania równowagi ręce wyciągnąć musiała i odzyskawszy nagle siły, pędem po schodach zbiegła. Biegła; w korytarzu się zatrzymała, celem uregulowania w płucach oddechu, którego jej brakło chwilami. Ręką jedną za poręcz się ujęła i dłonią sobie piersi przyciskała. Oddychała ciężko, głęboko. Znów ruszyła; iść chciała powoli; lecz pośpiech ją parł — pobiegła; przeszła pokojów kilka, przedpokój, sień, wydostała się na ganek i ujrzawszy pojazd odjeżdżający zwróciła się do salonu. W salonie przedstawiła się jej grupa, otaczająca wpółleżącego na szezlongu żołnierza, w którym brata poznała. Obok siedziała matka, przy matce stał ojciec wśród sąsiadów, skupionych w sposób taki, że jeden drugiego maskował. Ruszyła do brata, przyklękła przy nim, przytuliła się do niego, coś mówić chciała i nagle skoczyła, ramiona podniosła i otoczyła nimi szyję jegomościa w służby sanitarnej oznakach. Stało się to w jedno oka mgnienie. Nie było w tym — rzecz prosta — premedytacji najmniejszej. Siła jakaś niepowściągniona pchnęła hrabiankę do popełnienia czynu, który zdumiał i zgorszył sąsiadów i rodziców. Mówić chyba nie potrzeba, że napadniętym w sposób tak niezwykły jegomością był pan Piotr. I jego to zdziwić musiało, a zdziwienie wzrosło, kiedy się panna Tekla odezwała:

— Mężu!... mężu mój!...

Do obecnych się zwróciła i powtarzać z pośpiechem poczęła:

— Mąż!... mój mąż!... to mój mąż!...

Mówiąc to za rękę go trzymała i uradowaniem promieniała.

— Mąż!... mąż!... on!... och, on!...

Zdziwienie obecnych wielkim było. Graf osłupiał; hrabina spoglądała oczami szeroko otworzonymi; pan Bolesław tylko z wyrazem uznania w oczach spoglądał na parę młodą i odezwał się po chwili, rękę do siostry wyciągając:

— Dobrze, Lusiu... dobrze: rozwiązałaś zadanie, którego rozwiązanie trudnym mi się wydawało... Papo, mamo... — do rodziców się zwrócił — udzielcie parze tej błogosławieństwa waszego... To para dobrana... Kochają się, a pan Ostróżko jest człowiekiem wielkiego serca, wielkiego charakteru i zdrowego rozumu.

Interwencja ta złamała lody. Nastąpiło uznanie czynu dokonanego, którego nie uznać nie można było — tak czyn ów pojawił się natrętnie i w sposób naglący. Było to niespodzianką dla wszystkich, nie wyjmując pana Piotra i panny Tekli.

Nie będziemy opisywali następstw, jakie się stąd bezpośrednio wysnuły — tych następstw, co zazwyczaj wypełniają momenty przedślubne. Powiemy tylko, że momenty te były dla młodej pary trudne. Graf nie ukrywał niechęci; hrabina okazywała niezadowolnienie; pan Maurycy nazywał to wybrykiem romansowym; stawiano przeszkody, które panna Tekla łamać musiała przy jedynej chorego brata starszego pomocy. Usunęła je w końcu. Ślub cichy i bardzo skromny odbył się w miesiącu maju. Państwo młodzi przenieśli się na mieszkanie własne, od pałacu o kilometrów parę oddalone, do chałupy nabytej od bednarza, który do Ameryki wywę-

drował. Pan Piotr kupił ją z gruntem, za pieniądze zapracowane i zaoszczędzone i „z pałaców sterczących dumnie“ wprowadził do niej młodą żonę, znającą z daleka tylko tak mieszkania tego rodzaju jako też przywiązane do takowych życie pracy. Toteż na wstępie w następujące odezwał się do niej słowa:

— Lękam się jednego tylko... tego, ażeby ci nie zabrakło odwagi i wytrwałości...

— Tak źle sądzisz o mnie!... — odrzekła.

— Mamy przed sobą do rozwiązania zadanie niełatwe...

— Praca... — podchwyciła.

— Nie tylko... Nie praca sama, ale przykład... przykład, będący głównym a najważniejszym szlachty naszej zadaniem, którego ona, niestety, najprzód uznać, a następnie rozumieć nie chce... Szlachta nasza, związana z chłopem węzłem rodzinnym bardzo silnym, ma w odniesieniu do niego obowiązki rodzinne, których niepełnienie pociąga za sobą następstwa naturalne... Na nic się, na przykład, nie przyda moralizowanie we względzie pozbywania się ziemi ojczystej i wywędrowywania z kraju, kiedy szlachta czyni to samo... Nie słów, czynów potrzeba... Szlachcie brzmią hasła takie piękne: „Wstańcie, czyny moje!...“ Gdzie one?... Zdobędzieszże się na nie ty, prawnuczko wojewodów?...

Pani Tekla, zamiast odpowiedzi, męża szyję ramionami otoczyła i w usta jego ustami się wpiła.

W sposób ten zainaugurował się miesiąc miodowy, który dla hrabianki — na dobry ład — upływać był powinien w przerzucaniu się z wagonu do hotelu i z hotelu do wagonu, ażeby zapoczątkować życie pędzone na ślizgawkach i zakończone wywróceniem kozła. Ona zapoczątkowała życie inaczej. Mąż ją za rękę wziął i prowadził, to jest, stopniowo a kolejno wskazywał jej jeden po drugim obo-

wiązki, jakie pełnić miała. Pani Tekla zdecydowaną była od razu do roboty się wziąć. Pan Piotr nie dopuścił tego; okazało się to rzeczą zbyteczną, a to dlatego, że zastosował do gospodarstwa rolnego sposoby racjonalne, dające mu w rezultacie zmniejszenie trudu i pomnożenie plonu. Bez wysiłków szczególnych zbierał trzy razy tyle co sąsiedzi jego. Przykład jego oddziaływał. Chłopi rozpytywali; on im opowiadał — nauczał, wskazywał, zwabiał do zawiązywania spółek, do gromadnego działania, do obchodzenia się bez pośredników i faktorów, gdy się produkty sprzedawały. Snuło się to, snuło i rozsnuwało, na kształt sieci ekonomicznej, która z czasem okryła Śródborze całe i pomykała dalej, coraz to dalej — ciągniona przez hrabiankę. Na dolę pani Tekli wypadło zadanie edukacyjne — nie szkolne bynajmniej, ale czysto wychowawcze, które wynikało samo przez się stąd, że się z pałacu do chałupy przeniosła i gniazdo założyła — gniazdo, do konstrukcji którego weszły te pierwiastki, które przed wiekami szlachtę wytworzyły. Pierwiastki te były — jak wiadomo — natury czysto obronnej. Wsiąkały one w chłopstwo dokoła i poprawiając edukację szkolną niemiecką nadawały jej akcent czysto polski, udaremniający usiłowania germanizacyjne.

— Pamiętasz gniazdo bocianie?... — zapytał jej razu pewnego mąż wskazując na rezultaty osiągnięte.

— A pamiętasz — odparła — jakeś wątpił, czy znajdę w sobie odwagi i wytrwałości dosyć?...

— Znalazłaś...

— I czekać nie potrzebowałam... Znalazła się ona sama... dzięki tobie... — i dodała z przymileniem:

„Tyś mnie wysłuchał, ty skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniósłeś mnie do siebie.“

Poetyczna ta apostrofa prozaicznie w ten tłumaczyła się sposób, że para ta przedstawiała sobą harmonijne,

w jedno zlane połączenie rozumu i serca. Połączenie to nastąpiło na gruncie narodowym, pod niemiecką przewagą, posiadało przeto z konieczności rzeczy charakter na wskroś obronny. Pan Piotr mimo że się z hrabianką ożenił — nie wyzyskiwał sąsiadów; był dla nich ich człowiekiem bogatym w zasoby rozumowe, którymi się z nimi ochoczo dzielił odkrywając na użytek ich Amerykę na miejscu, na gruncie rodzinnym, w samopomocy praktykowanej siłami zbiorowymi. Chłopi garnęli się do niego, raczej do nich — do niego po rozumne wskazówki, do niej celem ogrzania się przy cieple jej duszy.

I ona — hrabianka — czuła się zadowoloną.

— Cóż tam u ciebie słychać?... — zapytywał jej ojciec, którego odwiedzała w pałacu od czasu do czasu.

— Niech też papa kochany do nas zajrzy kiedy... — prosiła.

— Hm... hm... — odpowiedział i usta zaciskał.

Zajrzeć do państwa Piotrostwa ochotę miał, ale to go wstrzymywało, że udawał, jakoby zięcia ignorował. Pan Piotr nie istniał niby dla niego, a to dla dwóch powodów: raz dlatego, że Ostróżką się nazywając Gracką za żonę pojął, po wtóre dlatego, że się otwarcie do potępionego przez patriotyzm kościelny pozytywizmu przyznawał. Tego mu eks-demokrata wybaczyć nie mógł. Trzymał się więc od zięcia z daleka i w osamotnieniu tak gorliwie polityki nowej niwę uprawiał, że organ klerykalny w Poznaniu przygotował zawczasu, na wypadek zgonu jego, nekrolog, zaznaczając w takowym szczególnie cudowne bałwochwalcy nawrócenie się. Pan Maurycy z żoną i matką wyjechał, pan Bolesław, z ran się wyleczywszy i nie chcąc na łasce brata pozostawać, do pułku powrócił. Stary graf pozostał sam w gmachu, na straży niejako murów, w których gościć miał Napoleon III i w których spodziewał się przyjmować wstrętnego mu niegdyś kardynała

Ledóchowskiego. W osamotnieniu tym pomieszania zmysłów dostać by mógł, gdyby umysł jego nie znajdował karmy w gazetach, odbieranych w ilości ogromnej z poczty codziennie i odczytywanych sumiennie. Były to organa wyłącznie klerykalne: „Germania“, „Univers“, „Union”, „Monde“, „Czas“, „Kurier Poznański”, „Przegląd Katolicki“, „Niwa“, którą cenił wysoko dlatego, że i na nią, równie jak na niego, łaska nawrócenia spłynęła, etc., etc. Czytanie dawało mu niekiedy asumpt do pisania. Pisywał do gazet korespondencje, do mężów stanu listy i memoriały. Pierwsze przepadały w koszach redakcyjnych, drugie w części odszukają się kiedyś w archiwach watykańskich. Że zaś ani te, ani owe nie zawierały w sobie treści, więc mu nie odpowiadano. We względzie tym wyjątek stanowił don Pedro, cesarz brazylijski, który ma ten co J. I. Kraszewski zwyczaj, że na wszystkie listy skrupulatnie odpisuje. I ten atoli odpowiadania zaprzestał od chwili, jak mu graf ofiarował koronę polską. Ofiarował ją także hrabiemu Chambord, don Karlosowi, byłemu królowi neapolitańskiemu, któremuś z arcyksiążąt austriackich i kilku jeszcze innym koron amatorom, pewnym a bez zajęcia, których mu natchnienie wskazywało. W sposób ten starzec politykę nową prowadził i uwolniony od kredytów a interesów, czas sobie zajmował. W nekrologu, jaki na intencję jego powyżej wzmiankowana redakcja w pogotowiu trzymała, zamianowanym został „skałą wiary, stawiącą burzom czoło harde“.

I czas mu upływał swobodnie, spokojnie, bez wstrząśnień, w tym przekonaniu, że od triumfu Stolicy Apostolskiej, pewnego w przyszłości niedalekiej, zależy całkowicie triumf sprawy stanowiącej przedmiot stały trosk i miłości jego. Przekonanie to w następstwie logicznym wydało kwietyzm bezwzględny, wyrażający się na polu pod postacią składania jak najdonioślejszych ofiar pieniężnych

na rzecz nieomylnej głowy kościoła, która sama zrobi wszystko. Składał przeto ofiary — czerpał z kieszeni synowej i dawał na świętopietrze, dawał na składki, opłacał prenumeratę dzienników, brał udział we wszystkich operacjach pieniężnych mających na celu podtrzymanie ducha wiary, nie okazywał się głuchym nigdy, gdy do niego w imię ducha onego zakołatano. A kołatano często. I on miał zawsze. Raz tylko wzruszenia doznał. Stało się to w chwili, gdy mu oznajmiono, że córka powiła syna.

— Wnuk! — krzyknął, brwi zmarszczył i wąsy rozgładził.

— Wnuk?!... — powtórzył po chwili z akcentem zapytania.

Okrzyk pierwszy był wyrazem ochoty pójścia do córki i zaniesienia błogosławieństwa dziecku dziecka jego.

Zapytanie nastąpiło wskutek refleksji. Było to wprawdzie dziecko dziecka jego, ale nazywało się Ostróżką. „Ostróżko?". Pomyślał, zastanowił się i nie poszedł.

Pani Ostróżczyna w tygodni kilka później przyniosła syna do pałacu dziadkowi do pokazania. Graf się uśmiechnął na widok zdrowego i tęgiego chłopaka, któremu pyzia obwisały i na czółku zarysowywał się mars dziadkowski, mars zaznaczony na portretach wszystkich jego przodków po mieczu. Mars ten zwrócił na siebie grafa uwagę. W oczach starca zajaśniało rozrzewnienie. Palcem na takowy wskazał i coś w odniesieniu do onego powiedzieć chciał. Wstrzymał się jednak i po chwili rzekł:

— Bocian ci go, Lusiu, przyniósł...

— Bocian, papo... — odrzekła.

Ramionami wzruszył i westchnął. Po chwili odezwał się, jakby mówił sam do siebie:

— Szkoda...

Pani Tekla nie podniosła wyrazu tego, którego znaczenie zrozumiała. Nie wdawała się z ojcem w dyskusje

nigdy. Wiedziała, iżby to nie doprowadziło do niczego. Zwróciła się do niego z prośbą:

— Pobłogosławcie, ojcze, wnuczkowi...

— Ano... tak: niech mu Bóg błogosławi...

Rękę wyciągnął, dziecko przeżegnał i zapytał:

— Jak mu na imię?...

— Krzysztof...

— Uhm... — mruknął i głową z takim zacięciem pokiwał, jakby żałował, że imię to nosić będzie Ostróżko; następnie zadał pytanie, które zazwyczaj zadawał: — Cóż tam u ciebie słychać?...

— Dobrze, papo...

— Mogłoby jednak być lepiej...

— Może... nie wiem i nie życzę sobie...

— Skromne masz życzenia...

— Kocham, szanuję; kochaną i szanowaną jestem... Na niczym mi nie brak...

— Nie przychodziż ci, moje dziecko, na myśl nigdy, czym jest twoja matka, czym były babki i prababki twoje?...

Rzekłszy to, ręką wskazał szereg zawieszonych na ścianie portretów, przedstawiających, obok mężów w pancerzach, niewiasty w piórach i klejnotach.

Pani Tekla okiem powiodła i nic nie odpowiedziała, dlatego że do powiedzenia miała wiele, ale nic takiego, co by ojcu przyjemność sprawić mogło.

— Cóż ty na to?... Gdybyś się była nie pośpieszyła zbytecznie, gdybyś była poczekała; gdybyś...

— Ależ ja, papo kochany — podchwyciła — pośpiechu nie żałuję!... ależ mi dobrze! ależ się czuję zadowolnioną i w sumieniu moim spokojną!...

— W sumieniu spokojną mogłabyś być, gdybyś męża nawróciła...

Po raz pierwszy jej o mężu wspomniał.

— Na jakąż religię, na jaką wiarę nawracać bym miała człowieka posiadającego religię obowiązku i wiarę w pracę!...

Graf ręką machnął, westchnął.

Ksiądz Jan z grona osobistości, które w opowiadaniu niniejszym występują, wypadł z szeregów ludzi żyjących. Inne wszystkie żyją.

Żyje graf, pomimo że na śmierć jego czeka nekrolog.

Żyje hrabina Krzysztofowa i hrabstwo Maurycostwo,

Żyją państwo Ostróżkostwo.

Tym ostatnim powodzi się dobrze, bardzo dobrze, tak dalece dobrze, że do zadowolnienia, jakie pod strzechą ich panuje, przybyło jeszcze inne, które im niesłychane sprawiło uradowanie. Gmina Śródborza założyła fundusz przeznaczony na wykupywanie gruntów z rąk niemieckich i zapewniła funduszu tego wzrost. Kiedy pan Piotr wiadomość tę żonie zakomunikował, pani Tekla na kolana się osunęła i ręce modlitewnie złożywszy, tonem akcentu dziękczynności pełnym zawołała:

— O Boże!...

— Co szlachta straci, to chłopi odbiją — w sensie uwagi rzucił pan Piotr.

— Tyś to sprawił!... — krzyknęła, z klęczek się zrywając i na męża palcem wskazując.

— Tyś to sprawiła... — odparł.

— Ty!...

— Ty!...

I wszczęła się kłótnia małżeńska. Jedno drugiemu ustąpić nie chciało.

— Ty!...

— Ty!...

Któż? — któż, koniec końcem, to sprawił?... Nam się zdaje, że pomiędzy nimi dwojgu siekierka utonęła. Połączenie się harmonijne rozumu i serca, obecność w szeregach pracowników doktora filozofii, który mógł sobie karierę ministerialną krzesać, i hrabianki, która powinna była salonową lalką zostać, przykład, wszystko to razem wzięte oddziaływało i sprowadziło rezultat... bardzo obiecujący.

KONIEC

## OMYŁKI DRUKU

| *Str.* | *wiersz* | | *jest:* | *powinno być:* |
|---|---|---|---|---|
| 46 | 6 | od góry | Danfe | *Dafne* |
| 68 | 1 | „ „ | podchywił | *podchwycił* |
| 70 | 17 | „ „ | odkrzekła | *odrzekła* |
| 75 | 11 | „ „ | Crilonu | *Chillonu* |
| 93 | 8 | od dołu | i ja siedzę | *i ja nie siedzę* |
| 127 | 2 | „ „ | trosze | *troszkę* |
| 136 | 13 | „ „ | tak | *taki* |
| 163 | 16 | „ góry | zacieśniały | *zacierały* |

CZYTELNIK